

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, PARIS, 9^e

NUMER PODWÓJNY

CENA 2 F.

PRIX 18 F. B.

20-27 grudnia 1970
décembre

Rok wydania XIII

Nr 51-52 (687-688)



Wesołych Świąt

FOP 9272

NA Jlepszego

NA Jciekawszego

NA Jpożyteczniejszego

**PODAREK
ŚWIĄTECZNY**

to

ALMANACH

„Tygodnika Polskiego” 1971

Największą przyjemność sprawicie sobie i swoim Bliskim, kupując na święta to pięknie ilustrowane, interesujące wydawnictwo. Zapewnicie sobie zajmującą lekturę w języku polskim i francuskim, dowiedcie się szczegółów w sprawach renty, jak dbać o zdrowie Waszych dzieci. Poza tym spotkacie na łamach ALMANACHU „TYGODNIKA POLSKIEGO” 1971 swych ulubionych autorów — Józefa GRZYBKĄ, Walentego GAWĘDĘ, MICHALINKĘ i MARTINE. Cena ALMANACHU 5 franków.

Wytnijcie poniższy kupon, podając dokładny adres i przyslijcie na adres redakcji „TYGODNIKA POLSKIEGO” 23, rue Taitbout, Paris 9-e, lub też wstąpcie do LA BOUTIQUE POLONAISE 25, rue Drouot, Paris 9-e, gdzie można nabyć również ALMANACH „TYGODNIKA POLSKIEGO” 1971.

Proszę przesłać Almanach „Tygodnika Polskiego” 1971 — na opłatę załączam czek, wysyłam mandat pocztowy, równowartość w znaczkach pocztowych (niepotrzebne skreślić).

Imię i nazwisko

Adres:



DZIŚ W NUMERZE:

na str. 3: **KRAKOWSKA TO SZOPKA Z NATCHNIENIA JEST WZIĘTA...**

na str. 7: paryska placówka „Cepelii” w fotoreportażu „**JEST SIĘ CZYM POCHWAŁIĆ**”;

na str. 8, 9 i 38: **KARCZMA „POD KLUKĄ”** (o restauracjach, laureatkach „Srebrnej Patelni”, kultuwających polskie tradycje kulinarne);

na str. 10: **MŁODZIEŻ, TRADYCJE GWIAZDKOWE I POLSKA**;

na str. 11 i 12: **150 LAT ZAKOPANEGO** (szkic o Tytusie Chałubińskim, odkrywcy Zakopanego);

na str. 12, 13 i 14: **MARZENIA I RZECZYWISTOŚĆ** (plon ankiety przeprowadzonej wśród młodzieży przebywającej na koloniach w Kraju);

na str. 15 i 37: **W KRĘGU KONTESTACJI** (z cyklu „Dwa pokolenia” — o rodzinie Bodziniów z Wattlelos);

na str. 16: **ŁAŃCUCH NASZYCH PRZYJACIÓŁ**;

na str. 17: **WIELKI KONKURS ŚWIĄTECZNY** (20 atrakcyjnych nagród głównych i 20 nagród pocieszenia);

na str. 18: **PASJĘ MALARSKĄ NARZUCIŁ RODZINIE** (o Zygmuncie Biernackim z Nordu);

na str. 19: **POLONICA W „BIBLIJ FRANCUSZCZYŃNY”** (o dziewiętnastowiecznym „laickim świętym” i jego „Słowniku języka francuskiego”);

na str. 20: **„POLSKA ZWYCIĘŻY” — GŁOSIŁ WIKTOR HUGO** (o wielkim pisarzu, żołnierzu wolności i przyjacielu Polski);

na str. 21, 22, 23 i 24: **MIASTO JEST ICH HOBBY** (o najpiękniejszym mieście Opolszczyzny — Nysie i jej zasłużonych mieszkańców);

na str. 24, 25 i 38: **LE PLUS GRAND PHÉNOMÈNE ARTISTIQUE POLONAIS DE LA PREMIÈRE MOITIÉ DU VINGTIÈME SIÈCLE** STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ;

na str. 26: **LIST WĄTROBY DO CZŁOWIEKA** (aktualny temat w okresie świątecznym!);

na str. 27: **DLA PAŃ I O PANIACH**;

na str. 28: **BOGOWIE — ZAŁOGĄ RAKIETY SPRZED TYSIĘCY LAT?**

na str. 29: Martine — **NOËL ET LA POLOGNE**; **GWIAZDKOWY LIST HENIA ZUBRYCKIEGO**;

na str. 30: List Józefa Grzybka — **NIECH W ŚWIĘTA W NASZYCH DOMACH POWONIE OJCZYSTYM POWIETRZEM**;

na str. 31, 32, 33 i 34: nasze powieści — **„FILIZANKA CZARNEJ KAWY”** Barbary Gordon oraz **„PIGULARZ”** Wacława Gąsiorowskiego;

na str. 35: **RADY OD SERCA, MICHALINKA MA GŁOS**, Program telewizyjny;

na str. 36: Legende des Tattras — **DE JESUS ET DES BRIGANDS**;

na str. 37: **TYGODNIOWA GAWĘDA MARIANA**; **DLACZEGO RYBA NIE BIERZE?**;

na str. 38: **TYDZIEŃ KULTURY POLSKIEJ W FRESNES-SUR-ESCAUT**;

na str. 40, 41: **SAGA RODU SKORUPKÓW** (o książce Wawrzyńca Skorupki pt. „Moje morgi i katorgi”); **6-LETNIA KRYSIA PI-SZE LIST DO DZIADKA PO POLSKU**;

na str. 42: **ROZRYWKI UMYSŁOWE** (rozetka z choinką, spirala, konikówka, logogryf);

na str. 43: **DELEGACJA RYBNIKA Z WIZYTĄ W BRATNIM ST. VALLIER**;

na str. 44: **GWIAZDKOWY HUMOR GWIDONA MIKLASZEWSKIEGO**.

Następny numer „TYGODNIKA POLSKIEGO” ukaże się z datą 1—3 stycznia 1971 r.



**NAJPIĘKNIEJSZE PODARUNKI
NA ŚWIĘTA**

poleca po cenach najniższych

la boutique polonaise

25, rue Drouot
PARIS 9^e

téléphone: 770-83-37
c.c.p. Paris: 189.46.68

- ◆ Karty świąteczne
- ◆ Wyroby sztuki ludowej: lalki, makaty, kilimy; kasetki, kosze ze słomy, meble zakopiańskie, bursztyny, kryształy
- ◆ Książki, albumy, encyklopedie, słowniki, przewodniki turystyczne w języku polskim i francuskim, mapy Polski i województw

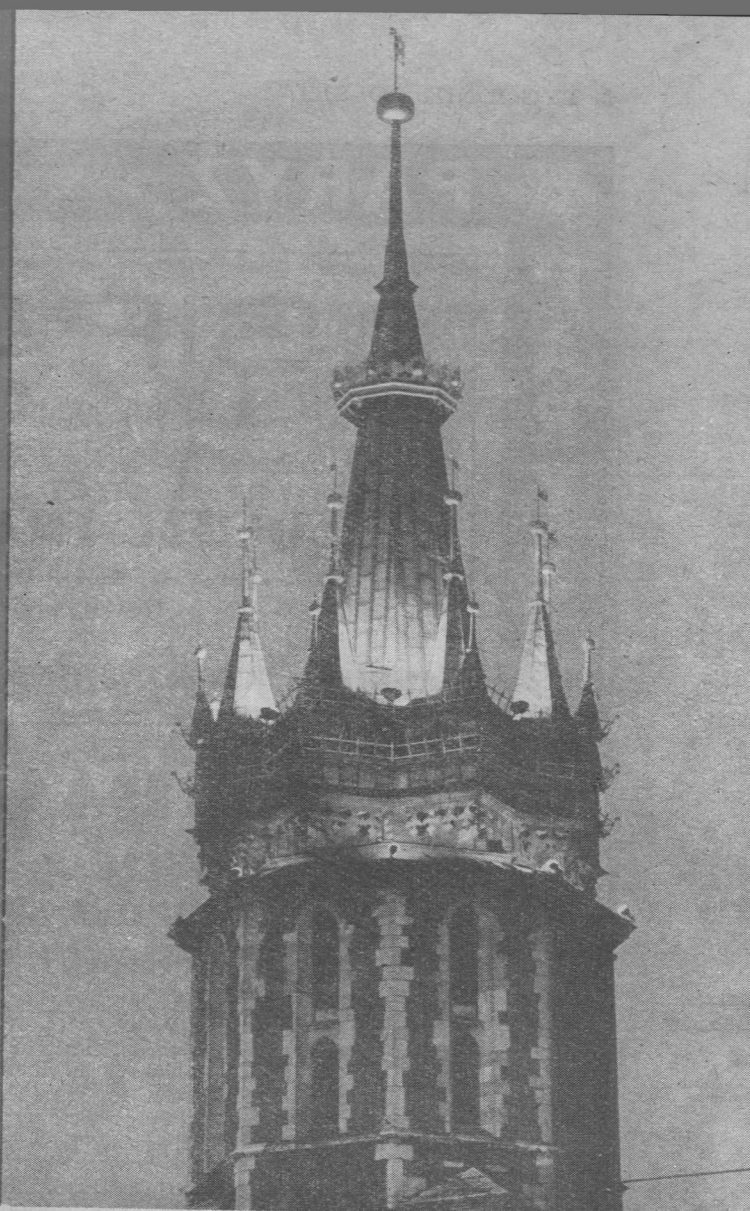
- ◆ Płyty muzyki ludowej i klasycznej nagrane w Polsce i we Francji
- ◆ Płyty z kolędami
- ◆ Polskie znaczki pocztowe
- ◆ Albumy i klasery
- ◆ Afisze
- ◆ Kalendarze
- ◆ Dzienniki i tygodniki
- ◆ Abonamenty pism

Zamówienia listowne przesyłamy odwrotną pocztą

Czytelnikom
Przyjaciółom
Korespondentom
Sympatykom
i
Kolporterom
życzy

Wesołych
Świąt

redakcja
i administracja
Tygodnika Polskiego



Krakowska

to szopka

z natchnienia

jest wzięta...

Krakowskie szopki są najpiękniejsze. Zastanawiają swą konstrukcją, urzekają fantazją i kolorami, imponują pomysłowością, precyzyjnie wykonanymi szczegółami wież, baszt, murów i figur, ich artystyczną finezją. I tak od wieków, bo od wieków trwa ludowa tradycja prezentowania szopek na krakowskim rynku w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Wszystko to zastanawia, budzi zdumienie, a nieraz wprost czaruje. Skąd u ludowych twórców bierze się tyle artystycznej inwencji, skąd czerpią swe wzory dla okazałych budowli z tektury, cieniutkich listewek drewnianych i kolorowego papieru?

Z samego Krakowa, z jego architektonicznego i artystycznego piękna, które wyrosło w średniowieczu, z przedziwnego, niepowtarzalnego uroku tego miasta, z jego rynku, ulic, gmachów, kościołów, zabytków. Najczęściej spotykanym motywem w szopkach powstałych na krakowskich przedmieściach są fragmenty Kościoła Mariackiego, Wawelu i Sukiennic. Oczywiście z uzupełnieniem własnej artystycznej wizji i pomysłowości twórców.

Przypatrzcie się z uwagą zamieszczonym obok fotografiom. Wieża Kościoła Mariackiego w oświetleniu wigilijnej nocy i wieża szopki wykonanej przez jednego z krakowskich murarzy ze Zwierzyńca. Ież w niej wspólnych elementów, szczegółów oraz symbolicznych uzupełnień, ileż wspólnego piękna. Nietrudno przy tym odgadnąć źródło artystycznego natchnienia, odczucia i uchwycenia prawdziwego czaru średniowiecznych budowli Podwawelskiego Grodu, które przetrwały tyle burz dziejowych.

Powiecie: „Dobrze, zdjęcia Kościoła Mariackiego i Sukiennic, które nam prezentujecie, wyglądają nocą rzeczywiście pięknie, ale gmachy są przecież w elektrycznym oświetleniu, więc jak to było dawniej?” — Po prostu: w pogodną noc spadziste dachy, strzeliste wieże i dostojne mury wylaniały się z nocnego mroku w blasku księżycy...



PARYŻ  **PARYŻ** 

**P
A
R
Y
Ż**

ASIPAG

109, rue de l'Université — PARIS 7-ème
(Esplanade des Invalides)

Tél. 555-23-10

SOCIETE FRANCO-POLONAISE

Objet: Représentation des Entreprises Polonaises du Commerce Extérieur, spécialisées dans les Produits Agricoles et Alimentaires:

AGROS • ANIMEX • HORTEX • POLCOOP • RYBEX

ASIPAG

— POŚREDNIKIEM W IMPORCIE
POLSKICH ARTYKUŁÓW SPOŻYWCZYCH
DO FRANCJI

Nie wszyscy nasi Czytelnicy wiedzą zapewne, że od blisko już dwóch lat działa w Paryżu polsko-francuska spółka **ASIPAG** która za cel postawiła sobie reprezentowanie we Francji polskich central eksportowych artykułów rolno-spożywczych i pośredniczenie w imporcie oraz ułatwianie importu między Polską a francuskimi klientami. Prezesem spółki jest **p. Antoine Delepouille**, zaś dyrektorem generalnym — **p. Józef Krakowiak**.

W ciągu tych blisko dwóch lat działalności **ASIPAG** zdobył już sobie duże uznanie wśród francuskich klientów, o czym najlepiej świadczy znaczny i stały wzrost obrotów. Klienci francuscy wysoko sobie cenią jakość polskich artykułów rolno-spożyw-

czych i chętnie je kupują. Największym powodzeniem cieszą się na rynku francuskim konie rzeźne i mięso rzeźne, dziczyzna, drób polski, ryby, pulpy owocowe, pierze. Asortyment sprzedawanych we Francji polskich artykułów rolno-spożywczych stale wzrasta. Tak więc poza wymienionymi wyżej artykułami poprzez **ASIPAG** na rynek francuski dostarczane są m.in. polskie szynki, wędliny, wyroby mleczne, soki i konfitury owocowe, ogórki konserwowe, grzybki, konserwy z bigosem, słodycze, miód, wódka, piwo.

W coraz większej ilości, dzięki **ASIPAGOWI**, znajdują więc będziemy w sklepach francuskich polskie artykuły spożywcze i z tego Polonia na pewno będzie zadowolona.

B. DOWOJNA-BIENAIME

TLUMACZKA PRZYSIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle **PARIS (5e)**

TELEFON: ODEon 41-17. METRO: PONT-MARIE



HOTEL OPERA - LAFAYETTE

CATEGORIE "A"

RESTAURANT

Dyrekcja: Zenon LUBINSKI

80, rue Lafayette-PARIS 9-ème

Métro: CADET lub POISSONNIERE

Téléfon: 770-43-43 824-41-50

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku

*Serdeczne Życzenia
Świąteczne i Noworoczne*

SKŁADA

**POLSKA RESTAURACJA W HALACH
„VARSOVIE”**

10, rue Etienne Marcel, Paris 2-ème
Métro: Etienne Marcel, tel: 231-74-18

I RÓWNOCZEŚNIE

ZAPRASZA NA OBIADY I KOLACJE

Znakomita kuchnia polska
Wieczorem melodie i piosenki
Przy fortepianie: Andrzej ROPSKI

Zamknięte w niedzielę

POLSKI ODDZIAŁ BIURA PODRÓŻY

TRANSTOURS

życzy

swoim Klientom

pomyślnego Nowego Roku 1971

Przypominamy, że również w nowym roku:

- ◆ Organizujemy wyjazdy do Polski w odwiedziny do rodzin
- ◆ Załatwiamy wszelkie formalności dla wyjeżdżających indywidualnie i grupowo, samochodem, koleją, samolotem
- ◆ Dokonujemy przekazów pieniędzy do Polski po bardzo korzystnej relacji
- ◆ Sprowadzamy krewnych na urlop z Polski do Francji

**ZORGANIZOWANE WYJAZDY NA BOŻE
NARODZENIE ORAZ NA WIELKANOC**

informacje:

TRANSTOURS

PARIS: 49, avenue de L'Opéra — PARIS 2-ème.
Tel: 742-47-39

LILLE: Mme Janina Zuwal — 53, rue des Arts — 59
— LILLE Tel: 55-15-66

KNUTANGE: M. ROMAN WAWER — 5, rue des
Argonnes — 57 — KNUTANGE Tel: 84-15-84
oraz korespondenci terenowi



PARYŻ

**POLSKIE BIURO PODRÓŻY
ORBIS**

18, rue Louis Le Grand-PARIS 2-ème
Tél. 073.62.26 i 742.05.60

◆
**Z okazji Świąt
i Nowego Roku
życzy
wszelkiej
pomyślności
i zaprasza
serdecznie
do Polski**

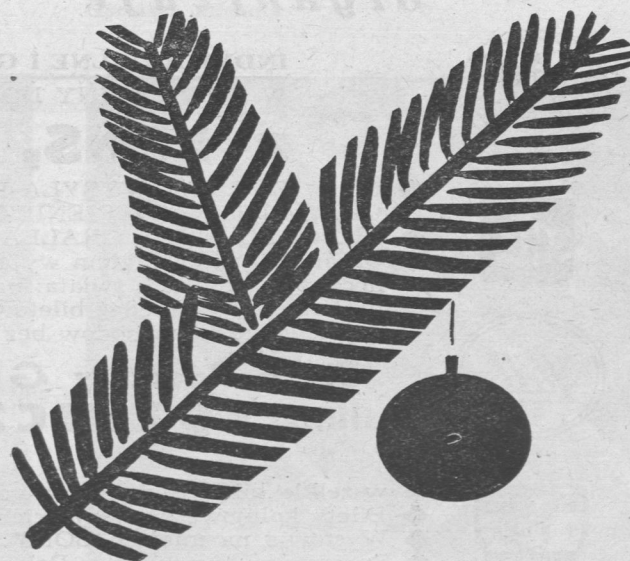
PKO

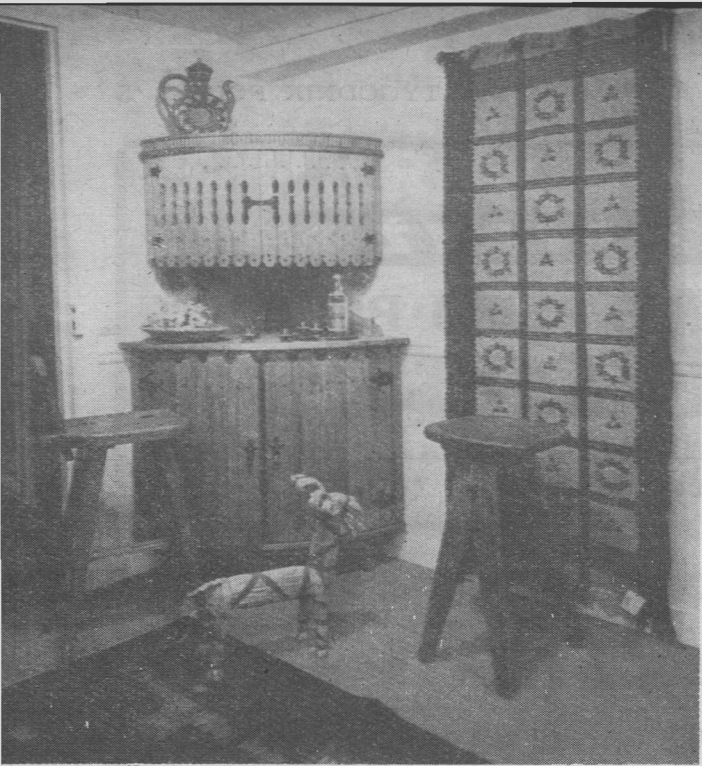
**BANK
POLSKA KASA OPIEKI S.A.**

23, rue Taitbout—PARIS IX-ème
Tél. 824.42.02 Métro: Chaussée—d'Antin

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
 - Przesyła z Francji do Polski towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
 - Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
 - Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

BARDZO NISKIE KOSZTY, SZYBKA I WYKWALIFIKOWANA OBSŁUGA





CEPELIA

ART — Folklore et Artisanat polonais EN FRANCE

En plein coeur de Paris, CEPELIA a ouvert un centre de diffusion d'Objets d'Art et de Productions Artisanales Polonaises:

- Tapis et tapisseries éclatants (primés à diverses expositions internationales)
- Tapis en fourrure
- Linge de table brodé
- Objets d'art en bois sculpté
- Manteaux de fourrure ouvragés
- Meubles rustiques
- Céramique d'art régional
- Articles cadeaux et de décoration
- Poupées régionales
- Affiches de théâtre et de cinéma

Ces articles sont disponibles immédiatement pour les Revendeurs et Décorateurs dans notre salle d'exposition.

23, rue Taitbout, PARIS 9^{ème}

PARYŻ

Nous indiquons aux lecteurs de LA SEMAINE POLONAISE, les adresses des boutiques où ils peuvent se procurer les articles de l'Artisanat Polonais.

PARIS — BOUTIQUE POLONAISE — 25, rue Drouot — PARIS 9^{ème}

REGION PARISIENNE

MERLIN L'ENCHANTEUR 8, rue de la Salle — SAINT GERMAIN EN LAYE (78)

Mr TRANCHARD 22, rue Charles Gounod — REUIL MALMAISON (92)
Mme Simone COLDEFY 8, Place de Sèvres — LA CELLE SAINT CLOUD (78)

MARCHAND D'OUBLI 24, rue de la Paroisse — VERSAILLES (78)

IDEE TRADITION 4, avenue de la République — VITRY SUR SEINE (94)

LA BOUTIQUE DU PARVIS 8, rue Saint Rémy — MEAUX (77)

L'ECHOPPE 91, Boulevard de Créteil 94 — SAINT MAUR

BRETAGNE

MAISON ETARD 20, rue de Nemours à RENNES (35)

ECLAIRAGE DE VILLE — 18, rue Mercœur à NANTES (44)

TISSAGE DE LOCMARIA 17, rue du Sablé à QUIMPER (29 S)

SAVOIE

L'ATELIER 4, Place Sainte Claire à GRENOBLE (38)

LA CERISAIE 54, Rue de la Liberté à BOURGOIN JALLIEU (38)

LES ARTISANS 10, Rue Basse du Château à CHAMBERY (73)

ARTIMONDE à CHAMONIX (74)

PROVENCE

MAISON LACHENS Rue Aude à AIX EN PROVENCE (13)

AUVERGNE

GALERIE DU MERCADIAL à SAINT CERE (46)

LE CANTON 43, Route Nationale à VIC-SUR-CERE (15)

PYRENEES

MAISON THIERRY 3, rue des Cordeliers à PAU (64)

LA BOUTIQUE DE NEIGE ET SOLEIL à GOURETTE par LARUNS (64)

ALSACE

GRANDS MAGASINS MAGMOD 34, rue du 22 Novembre à STRASBOURG (67)

SAONE ET LOIRE

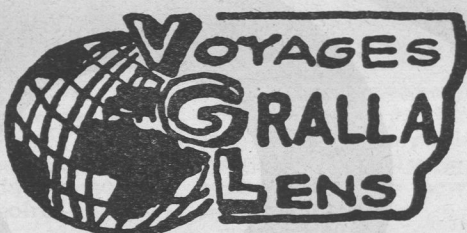
KITO 86, rue Carnot à MACON (71)

NORMANDIE

MAISON LEGUY Rue Alphonse Karr à ETRETAT (76)

LA GALERIE DE QUINTEFEUILLE à ASNELLES (14)

LICENCE 530
Koresp.:



AGENCE DE VOYAGES GRALLA

DYREKCJA 62, LENS Face à la Gare Tél. 28-24-03 i 28-16-14

ODDZIAŁY:

Voyages GRALLA
35, rue Charles Marlard
62, BRUAY-EN-ARTOIS
Tel. 26-46-60

Voyages GRALLA
Le Tigre, Av. Clémenceau
59, DOUAI
Tel. 88-94-03

Voyages GRALLA
122, rue Villars
59, DENAIN
tel. 235

Voyages GRALLA
48, rue Vivienne
75, PARIS (2^e) Tel. 508-50-42
Métro: Montmartre

organizuje

Voyages GRALLA
43-35, rue Serpennoise
57, METZ, Tel. 68-24-01

INDYWIDUALNE I GRUPOWE WYJAZDY DO POZNANIA, WROCLAWIA I KRAKOWA

W ODWIEDZINY DO RODZIN 3—4 TYGODNIOWE LUB 2-MIESIĘCZNE

z LENS, LILLE, PARYŻA i METZ

- ◆ OD WIELU LAT WYSYŁA BEZ OPŁATY CŁA PACZKI DO RODZIN ORAZ PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI
- ◆ BIURO PODROŻY GRALLA załatwia wszelkie formalności paszportowe, wizy pobytowe i tranzytowe itp.
- ◆ Organizuje zimą i latem wyjazdy zbiorowe i indywidualne za zwiedzaniem i pobytem w najpiękniejszych i słonecznych okolicach świata: na Balearach, Wyspach Kanaryjskich, w Maroku, Tunezji etc. — sporty zimowe — polowania — sprzedaż biletów do teatrów paryskich — Ubezpieczenie Europe — ASSISTANCE i bagażu — wynajmowanie samochodów bez kierowcy.

Biuro Podróży GRALLA jako oficjalny i akredytowany przedstawiciel linii LOTNICZYCH, MORSKICH i KOLEJOWYCH posiada i wystawia:

- ◆ wszelkie bilety samolotowe, okrętowe i kolejowe ze zniżkami urlopowymi, rodzinnymi i turystycznymi
- ◆ Bilety kolejowe do wszystkich stacji w Polsce;
- ◆ Wystawia na miejscu BONY ORBISU oraz BONY BENZYNOWE z 30% zniżką;
- ◆ Sprowadza krewnych z Polski do Francji na WAKACJE;
- ◆ Załatwia wszelkie tłumaczenia oficjalne itp.

PAS-de-CALAIS

JEST SIĘ CZYM POCHWALIĆ



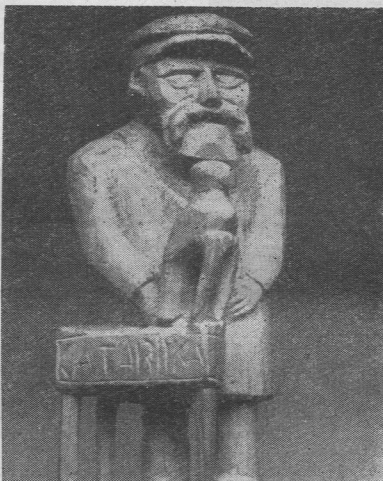
Polska lalka ludowa

A PRÈS Bruxelles, New-York et la Hollande, CEPELIA — entreprise spécialisée dans l'art, le folklore et l'artisanat polonais — vient d'ouvrir une succursale à PARIS. La Maison CEPELIA de Paris offre à ses clients qui sont des boutiques de vente au détail de France, des objets d'art populaire, des meubles rustiques, des articles cadeaux et de décoration, des tapis, des poupées régionales, des gobelins, de la céramique, des objets d'art en bois sculpté, des articles en fer forgé, etc. Les photos que nous publions dans cette page témoignent du large éventail, du goût et de la qualité artistique de tous les objets et articles que propose CEPELIA.

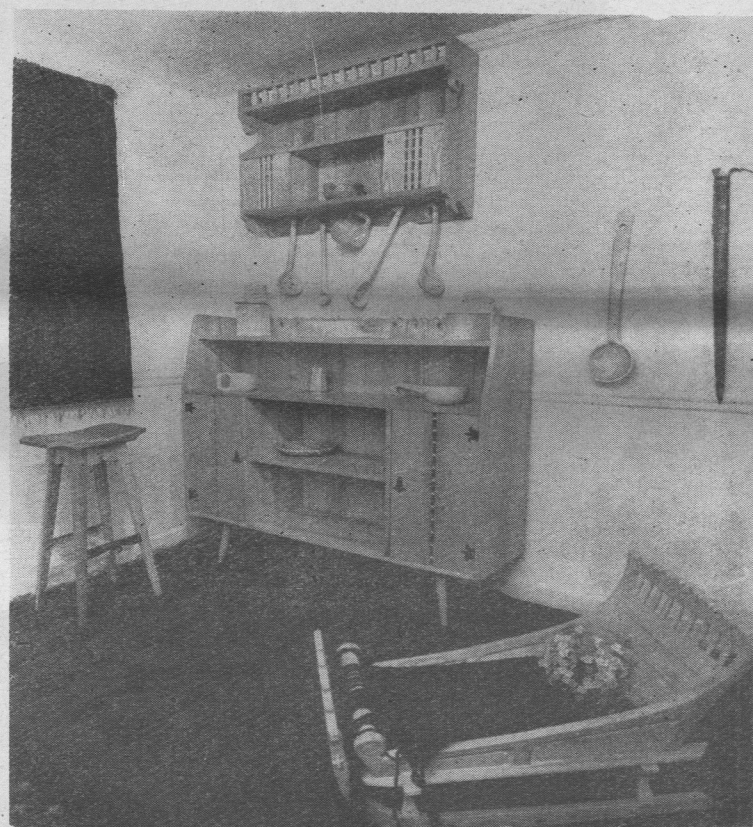
Nul doute que la mise à la disposition par la maison CEPELIA de meubles rustiques et de „kilimy” (gobelins) ainsi que de nombreux objets d'artisanat polonais, incitera bon nombre de jeunes d'origine polonaise à aménager leur intérieur „à la polonaise”.



Stylowe wnętrze



Katoryniarz z papugą



Górska kuchnia

CEPelia W PARYŻU

Po Brukseli, Nowym Jorku i Holandii, CEPELIA — polskie przedsiębiorstwo, specjalizujące się w rzemiośle artystycznym oraz sztuce ludowej i folklorystycznej, otworzyła ostatnio swe przedsiębiorstwo w Paryżu. Zaopatruje ona odąd bezpośrednio swych klientów — sklepy detaliczne we Francji, wyspecjalizowane w wyrobach sztuki ludowej, meblach typu wiejskiego, a nawet galerie sztuki w bogaty asortyment polskich kilimów i tkanin dekoracyjnych (typu gobelinów), meble typu wiejskiego, wyroby z drzewa, rzeźby, kasetki, łyżki z drzewa, szafki, lalki ludowe, wyroby z żelaza ku-

togo itp. Wielki artyzm, duże poczucie smaku artystycznego i urok towarów CEPELII najlepiej zresztą obrazują zamieszczone obok zdjęcia.

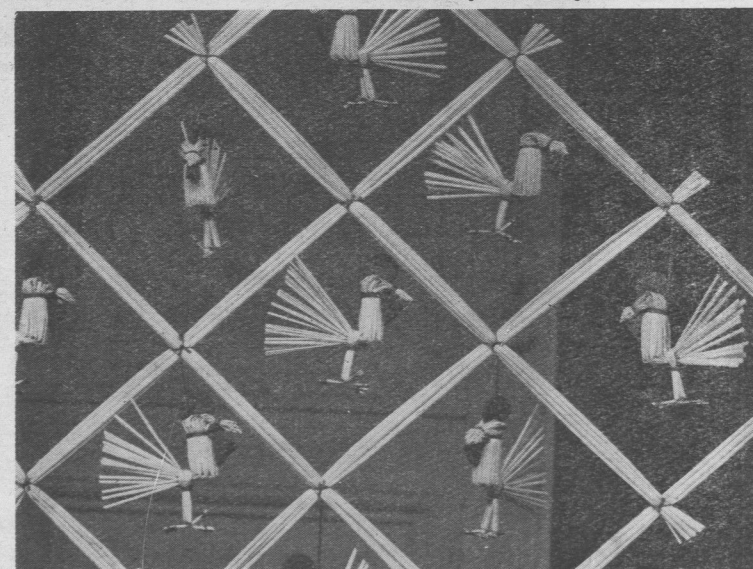
Największym powodzeniem dotąd we Francji cieszą się tkaniny dekoracyjne i kilimy, wyroby z drzewa i żelaza kutego oraz ceramika.

Ten bezpośredni napływ pięknych mebli, kilimów i wielu wyrobów polskiego rzemiosła artystycznego zachęci niewątpliwie wielu młodych polskiego pochodzenia do urządzenia swych mieszkań w stylu polskim.

Estetyczny pokój w stylu ludowym



Ozdoby ze słomy





Najpopularniejsza knajpka Słupska



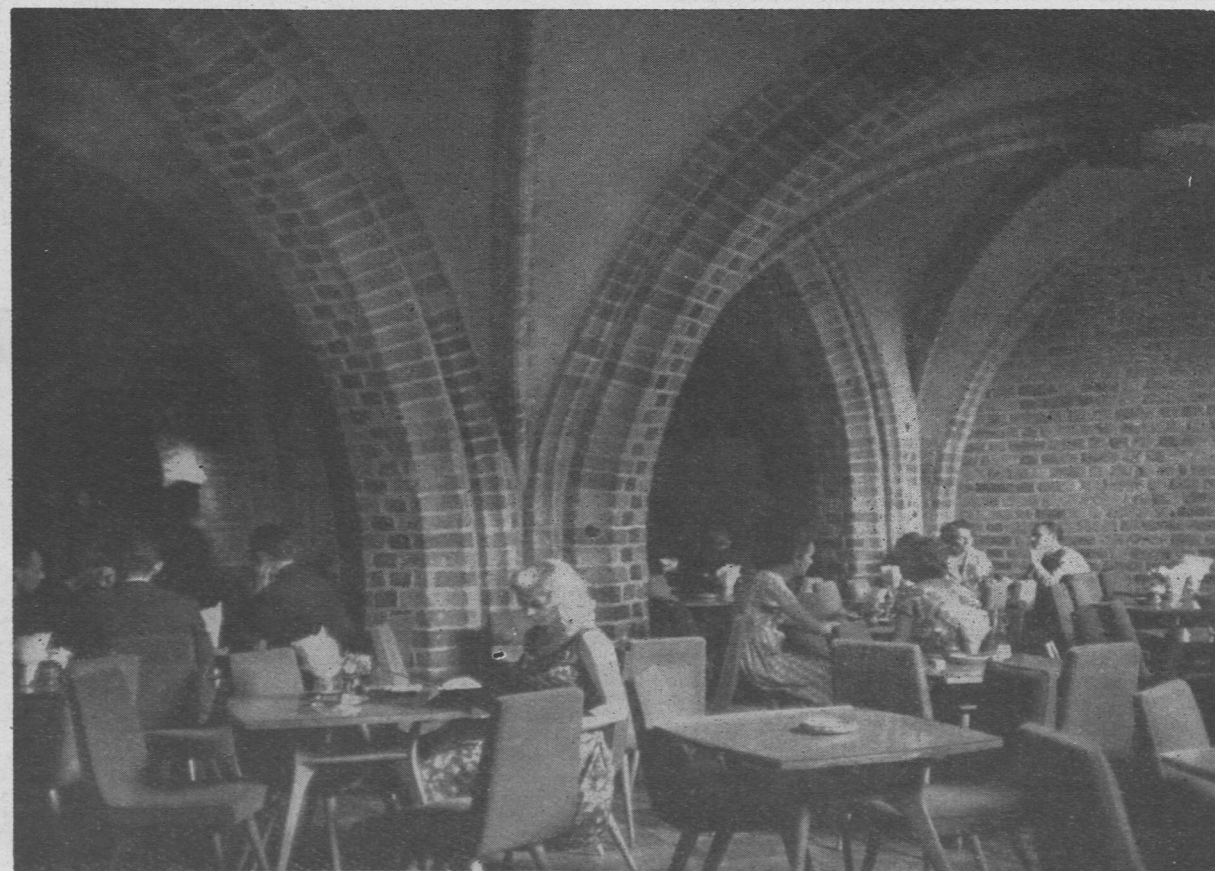
To jest właśnie „kluka”, którą ta pani trzyma



Za barem znajdują się pamiątki

L'hebdomadaire illustré „Swiatowid” eut un jour une idée. Partant du principe qu'il n'est de touristes dédaignant la bonne chère, il décida d'organiser un concours parmi tous les restaurants et auberges du pays et de décerner une „poêle d'argent” à celui au menu duquel figure un plat régional particulièrement agréable au palais des touristes de passage. En somme, un diplôme de bonne cuisine! Et les chefs-cuisiniers de se mettre sérieusement à l'ouvrage pour enlever la „poêle d'argent” insigne suprême de leur talent culinaire. Signalons que cette „poêle” n'est attribué qu'en des lieux où la cuisine de grand-mère est honorée, donc vraiment des plats polonais. Comme en général le décor des auberges est folklorique, le plaisir est double.

W „Piwnicy Świdnickiej” we Wrocławiu



KARCZMA POD KLUKĄ I INNE SPECJAŁY „SREBRNEJ PATELNI”

O pamiątki po polskim aptekarzu, który pierwszy wykorzystał naftę do oświetlenia — Ignacym Łukasiewiczem — rywalizują w województwie rzeszowskim dwa miasta — Krosno i Gorlice. Mieszkańcy Krosna nie bez racji argumentują, że pierwszą kopalnię ropy naftowej Łukasiewicz założył pamiętnego roku 1854 właśnie pod Krosnem. Gorliczanie na to odpowiadają, że swojego wielkopomnego wynalazku dokonał Łukasiewicz w ich mieście i na dowód pokazują dom, w którym mieszkał i w którym jedna ze ścian do dzisiaj jest osmolona, rzekomo wskutek jakiegoś nieudanego eksperymentu Łukasiewicza.

Przeciętny turysta nie zawsze chętnie wdaje się w te spory. Na wszelki wypadek obejrzy i Krosno z pomnikiem na cześć Łukasiewicza, ewentualnie złoży hołd na jego grobie we wsi Zrećin, odległej około 7 km na południowy zachód od miasta. Zajedzie także do Gorlic, przyjrzy się pamiątkom po sławnym aptekarzu i skłoni głowę przed tablicą wmurowaną w dom wynalazcy w setną rocznicę zapalenia pierwszej na świecie lampy naftowej. Po drodze jednak, jako że nie samym wiedzianiem żyje turysta, wstąpi prawdopodobnie do pełnego zabytków, uroczu nad rzeką Ropą położonego miasteczka Biecza, a w nim do karczmy „U Biecza”, gdzie podają słynne na całą polską placki ziemniaczane.

Pomyślałby kto — ziemniak, kartofel, pyra, czy jak go tam jeszcze w Polsce nazywają, a można z niego zrobić tak pulchny, smakowity, rozplywający się w ustach placek. Jedni posypują go cukrem, inni solą, jeszcze inni oblewają śmietaną lub ketchupem. To są jednak tylko przyprawy. Gwoździem całego dania pozostaje sam placek. Tak doskonały, że nawet najznamienitsze gospodynie zazdroszczą kuchmistrzynie „U Biecza” udanej, i pilnie strzeżonej, recepty.



Specjały, specjały...

Zdjęcia: Tadeusz SZKAMRUK i ARCHIWUM

No dobrze — zapyta ktoś — a skąd w Polsce wiadomo o ziemniaczanych plackach „U Biecza”, skoro miasteczko leży daleko na południu Polski i liczy nie więcej jak 5—6 tys. mieszkańców, a jeżeli się o nim w turystycznych przewodnikach wspomina, to przede wszystkim dlatego, że było siedzibą słynnej „szkoły katowskiej”? Ano o plackach ziemniaczanych wiadomo stąd, że przed paru laty karczma „U Biecza” zdobyła Srebrną Patelnię czasopisma turystycznego „Światowid”. Wyóżnienie to otrzymują od siedmiu lat te restauracje, które szczególnie wyróżniają się smakowitością potraw, podtrzymujących dobre tradycje polskiej kuchni.

Pomysł organizowania co roku ogólnopolskiego konkursu gastronomicznego narodził się w redakcji ilustrowanego tygodnika turystycznego „Światowid”.

W tym popularnym tygodniku pisze się o zabytkach kultury, przyrody i historii, o turystyce zimowej i letniej, o technice zdobywania szczytów górskich i żeglowania, o sprężce i przewodnikach, o campingach i hotelach, o imprezach dla turystów i także, chociaż nie na ostatnim miejscu, o gastronomicznych zainteresowaniach turystów.

Przemierzając Polskę wzdłuż i wszerz redaktoży pisma stwierdzili, że w wielu, bardzo wielu miejscowościach kraju istnieją większe lub, najczęściej, mniejsze restauracje, karczmy, zajazdy, jadalnie, gospody, w których można zjeść nader smakowicie, a przy tym na ogół niedrogo. Ze są to lokale, w których kucharze stosują recepty znane pra-pra-babkom, albo i jeszcze starsze, często już zapomniane, lub występujące tylko w określonym regionie. Ponieważ dobra kuchnia jest nie mniejszą, a dla smakoszy bodajże nawet większą, atrakcją turystyczną niż szacowny zabytek, rezerwat przyrody czy piękny widok, więc „Światowid” postanowił zachęcić polską gastronomię do pielęgnowania dawnych dobrych tradycji i podjął się trudu popularyzowania wyróżniających się lokali oraz nagradzania najlepszych.

Pomysł trafił na podatny grunt, podniecił ambicję gastronomików. W pierwszym roku w konkursie wzięło udział kilkaset lokali. Obecnie zgłasza w nim udział blisko 30% zakładów gastronomicznych w Polsce.

Konkurs jest trudny. Premiuje się bowiem na pierwszym miejscu, rzecz jasna, potrawy znajdujące się w menu przez cały rok, ale ponadto również oryginalność wnętrza i ubioru personelu, czystość i sprawność obsługi gości.

Komisje konkursowe działają w każdym województwie.

O przyznaniu Srebrnej Patelni „Światowida” decyduje centralny sąd konkursowy, który składa się — oprócz redaktorów pisma — z przedstawicieli władz turystycznych, związku zawodowego pracowników gastronomii, przedstawicieli organizacji społecznych, instytucji, etc. Przy podejmowaniu decyzji bierze się również pod uwagę oceny konsumentów i głosy prasy o lokalach biorących udział w konkursie.

Sito eliminacyjne jest więc dosyć gęste. Tak gęste, że znakomitej restauracji „U Wierzyńka” w Krakowie udało się dotychczas tylko raz zdobyć Srebrną Patelnię „Światowida”. Jest tymczasem w Polsce już szereg restauracji, które zdobyły ją dwukrotnie. Np. gospoda ludowa „Mysliwska” w Limanowej (woj. krakowskie) tak smaczne dania gotuje, że jeżdżą do niej goście nie tylko z Krakowa, lecz z samej Warszawy. Albo restauracja „Kosmos” w Kętrzynie w woj. olsztyńskim, licznie odwiedzana przez krajowych i zagranicznych turystów spieszących obejrzeć ruiny byłej kwatery Hitlera w Gierłożu. Lub „Paloma” w Dąbrowie w województwie koszalińskim, słynąca z dań rybnych. Czy gospoda „Pod Kłosem” w Suwałkach w woj. białostockim, której kolduny zwane litewskimi zdobyły ustaloną markę. Wreszcie spółdzielcza jadalnia „Piast” w Wodzisławiu w woj. katowickim, gdzie krupnioki i salcesony są tak smakowite, że aż palce lizać. W tych restauracjach wiszą na honorowych miejscach już dwie Srebrne Patelnie „Światowida” a obok nich dokument, spisany na skórze wołowej, głoszący: „Wszem, kto przednie jadło polskie miłuje, wiadomym czynimy, iż gospoda... w grodzie... locum mająca, Srebrną Patelnię „Światowida” PO RAZ DRUGI w anno... wzięła, co niniejszym pieczętujemy”.

Może się co prawda zdarzyć, że o te niemalże insygnia przyjdzie się gościowi u kierownictwa lokalu dopytywać, by je na własne oczy ujrzeć.

Dalszy ciąg na str. 38



Intymnie we dwoje. Młodzi mają mniejsze wymagania niż starsi, ale też chcą być sami...



opublikowanych w roku 1960 w Warszawie nakładem wydawnictwa „Czytelnik” „Pamiętnikach Emigrantów” zamieszczone zostały m.in. wspomnienia starego wychodźcy polskiego z Brazylii, Teofila Kempy. Pod koniec tych zatytułowanych „Jestem Polakiem” wspomnień Teofil Kempa dokonuje bilansu swojego życia:

„Po czterdziestu latach ciężkiej pracy dorobiłem się drewnianego domku i kawałeczka ogrodu — pisze. — Na starość jest choć kawałek własnego dachu nad głową. Poza tym cokolwiek się dorobi i żyje”.

Ale:
„Zaden majątek nie zastąpi człowiekowi tego, co pozostaje w sercu. Tego czegoś, co czuje, a nie umie nawet wypowiedzieć — dodaje zaraz potem. — To wszystko, co człowiek zabrał ze sobą w pamięci z lat dziecięcych jest droższe od jakiegokolwiek majątku. Znam ludzi zamorskich, którzy prowadzili i wielu do dziś prowadzi życie bez troski i są na ogół dobrymi Polakami, są, zdawałoby się, zadowoleni z życia. A jednak to coś, wyniesione w sercu z progu ojczystego, stale gnębi myśli i ducha. Bo to jest skarb odziedziczony po pradiadach i jest droższy od wszystkiego”...

Pod tymi wzruszającymi słowami starego wychodźcy z Brazylii podpisałaby się z pewnością obiema rękami znakomita większość rozsiansych po globie ziemskim emigrantów polskich. Gdyby zaś któregoś z owych żyjących z dala od Macierzy tysięcy Polaków zapytać, do którego ze składających się na ów odziedziczony po pradiadach i drogi nad wszystko inne skarb duchowy klejnotów są najbardziej przywiązani, odpowiedziałby niezawodnie: „Do polskich tradycji gwiazdkowych”.

„Stary czy młody, wierzący czy obojętny religijnie — gdzie jest Polak, dla którego melodie: „Bóg się rodzi”, „Wśród nocnej ciszy”, „W żłobie leży” — nie stanowiąłyby części własnej duszy? Zrosły się one nierozdzielnie z polskością, której są wykwitem, a mogą słusznie być dumą” — czytamy w „Roku Polskim” Zofii Kossak.

Istotnie. Takiego Polaka nigdzie by chyba nie można uswiadczyc. Więzy uczuciowe łączące Polaków ze złożoną z niezmiennych, uświęconych zwyczajem potraw wieczerzą wigilijną, z opłatkiem i kołędami są tak mocne, że przejęte w spuściznie po ojcach tradycje gwiazdkowe pielęgnują oni nawet po dziesiątkach lat bytowania poza Krajem.

Czy tradycje tych przestrzegają także i potomkowie emigrantów? Czy w oczach młodych Francuzów pochodzenia polskiego takie słowa jak „Wigilia”, „opłatek”, „kołędy” opróżnione są takim samym potężnym blaskiem, jak w oczach starych emigrantów? Z takimi oto pytaniami zwróciliśmy się w trakcie jednej z naszych przedświątecznych reporterskich wędrówek po tym największym skupisku polonijnym, jakim jest północna Francja, do dwóch młodych ludzi pochodzenia polskiego: p. Ludwika Maryniaka z Ranchicourt (Pas-de-Calais), który jest asystentem psychologii na uniwersytecie w Lille, i p. Karola Dominiczaka z Achicourt (Pas-de-Calais), który pracuje w szpitalu miejskim w Arras na stanowisku kierownika oddziału. Choć odpowiedzi naszych rozmówców z pewnością nie odzwierciedlają stosunku całej polonijnej młodzieży do polskich tradycji gwiazdkowych, to jednak są one niewątpliwie godne uwagi, bowiem wskazują, że żywa sympatia, z jaką młodzi obywatele francuscy polskiego pochodzenia odnoszą się do Polski, zasadza się na zupełnie innych podstawach aniżeli uczucie, jakim darzą stary kraj starzy emigranci, że te symbole polskości, do których starzy emigraci są najbardziej przywiązani, do młodych w ogóle nieraz nie przemawiają, lub przemawiają inaczej.

— Osobiście polskich tradycji gwiazdkowych nie przestrzegam — powiedział nam pan Maryniak. — Może dlatego, że ożeniłem się z Francuzką i że czuję się przede wszystkim Francuzem, może także i z tej przyczyny, że my, ludzie drugiej połowy dwudziestego wieku, żyjemy w świecie, który zapatrzoną jest we współczesność, w chwilę bieżącą i w przyszłość, i który w związku z tym nie sprzyja kulturowaniu tradycji. Czy to znaczy, że na przykład słowo „Wigilia” jest dla mnie czymś zupełnie obcym? Rzecz jasna, że nie. Przecież urodziłem się i wychowałem w rodzinie polskich emigrantów, w kolonii górniczej zamieszkałej przez Polaków, dla których Wigilia była najważniejszym dniem roku, i gdyby tak w tej chwili ukazało się przed nami za sprawą jakiegoś czarodzieja wnętrze polskiego domu, w którym zobaczylibyśmy emigrantów łamiących się opłatkiem albo śpiewających polskie pieśni bożonarodzeniowe, to widok ten obudziłby we mnie mnóstwo miłych wspomnień i przyprawiłby mnie o głębokie i radosne wzrusze-

Włodzież,
tradycje
gwiazdkowe i
Polska

nie. Takiego właśnie wzruszenia doświadczyłem w trakcie lektury „Chłopów” Władysława Reymonta, gdzie opisy polskich tradycji zajmują przecież niemało stron — odmalowana bowiem przez Reymonta wieś Lipce miejscami przywozła mi na pamięć kolonię, w której upłynęło mi dzieciństwo.

...W koloniach, tam, gdzie młodzi ludzie pochodzenia polskiego żyją w grupie i gdzie starzy emigranci dają na nich oko — tam być może potomkowie emigrantów przestrzegają polskich tradycji. Wierne im są zwłaszcza kobiety — córki i wnuczki emigrantów. Mobilizująco działają również w koloniach na młodych polskie uroczystości gwiazdkowo-noworoczne. Ale czy te tradycje będą jeszcze żyły długo? Moja żona jest nauczycielką i może Wam powiedzieć, że generalnie rzecz biorąc, dzieci pochodzenia polskiego niewiele wiedzą o polskich zwyczajach gwiazdkowych. Dla mnie, jak wam już mówiłem, te zwyczaje są czymś znanym i miłym, ale odległym, dalekim. Bo przecież ja wcale, a wcale nie wypieram się swojego pochodzenia. Całym sercem czuję się związany z Polską. W tym roku odwiedziłem ją po raz pierwszy w życiu.

Polska jest z pewnością uroczym i malowniczym krajem, ale ani polskie lato ani też polska jesień nie są dla mnie aż tak cudowne, jak utrzymują starzy emigranci. Ja doskonale rozumiem, że im się może wydawać, że takiej jesieni jak polska jesień czy też — że wrócić do właściwego tematu naszej rozmowy — takich zwyczajów gwiazdkowych jak polskie tradycje wigilijne ze świecą trzeba szukać. Bieda brutalnie oderwała ich od ziemi rodzinnej, żyją z dala od kraju, gdzie spędzili dzieciństwo, więc marzą o tym kraju i skłonni są idealizować wszystko co polskie. To jest normalne. Ale normalne jest także i to, że podejście młodych obywateli francuskich pochodzenia polskiego do Polski i do polskich tradycji jest zupełnie inne, o wiele mniej uczuciowe, trzeźwiejsze, krytyczniejsze.

— Oboje z żoną jesteśmy pochodzenia polskiego i znamy polskie tradycje gwiazdkowe, ale specjalnie ich nie pielęgnujemy — oświadczył nam ze swej strony pan Karol Dominiczak. — Owszem, kiedy pan Antoni Głuszak (starszy Polak z Arras, który objężdża region na motorowerze i sprzedaje różne polskie publikacje, a przed gwiazdką również i opłatki) zgłasza się do nas z opłatkiem, my zawsze opłatek od niego kupujemy, ale bywa, że w wieczór wigilijny na śmierć o zwyczaju łamania się opłatkiem zapominamy, i dzielimy się nim dopiero w pierwszy albo drugi dzień świąt, albo i w ogóle się nim nie dzielimy i wtedy opłatek leży w szafie aż do następnej gwiazdki. Znamy także polskie kołędy — niektóre z nich wydają się nam nawet piękniejsze od bożonarodzeniowych pieśni francuskich — ale raczej nie mamy zwyczaju ich śpiewać. Wiemy także i o tym, że tradycja nakazuje rozesać na stole wigilijnym siano i że jedno miejsce powinno przy stole wigilijnym pozostać wolne, nie zajęte przez nikogo, że miejsce to tradycja zostawia dla „zagórskich panów”, ale tych zwyczajów też nie przestrzegamy. My nie obchodzimy gwiazdki tak solennie, w sposób tak uroczysty, tak podniosły jak starzy emigranci. Wątpię, aby ktokolwiek spośród młodych ludzi pochodzenia polskiego był absolutnie, stuprocentowo wierny polskim zwyczajom gwiazdkowym. Czasy się zmieniły. Dzisiaj słowo „święta” każdemu kojarzy się przede wszystkim z samochodem. Święta to możliwość wyrwania się na dzień czy na dwa z kierunku codzienności. Samochody, telewizja, cała w ogóle współczesna cywilizacja, cały w ogóle współczesny świat jest nieubłagany nieprzyjacielem tradycji — nie tylko polskich tradycji gwiazdkowych, ale wszystkich w ogóle tradycji. Tradycje zanikają, zacierają się, ząb czasu nadgryza je coraz to potężniej.

...Może w zagłębiu górniczym, gdzie Polacy mieszkają w kupie, młodzi ludzie pochodzenia polskiego są bardziej przywiązani do polskich tradycji gwiazdkowych aniżeli my, to znaczy Polonia w Arras i okolicy. Może. Ale może i nie. Ja pracuję w „Centre Hospitalier d'Arras”. Szpital ten zatrudnia ponad tysiąc osób. Wśród personelu jest sporo młodych ludzi pochodzenia polskiego z kolonii górniczych. Po polsku w zasadzie rozumieją wszyscy, ale wielu z nich włada językiem polskim o wiele gorzej niż ja...

...Nie należy jednak sądzić, że zubożenie względem polskich tradycji gwiazdkowych jest skutkiem czy też zapowiedzią zubożenia względem Polski w ogóle. To są dwie różne sprawy. Nas na przykład wszystko, co polskie, bardzo żywo interesuje. Dwukrotnie już odwiedziłyśmy Polskę — w roku 1967 i w roku 1969. Ilekroć urządzana jest w Arras jakaś polska impreza, zawsze powierzamy dzieci znajomym i staramy się na niej być.

...Zresztą nawet i to nasze zubożenie względem tradycji gwiazdkowych należałoby na dobrą sprawę patrzeć cudzoziemcem. To prawda, że zapominamy czasem dzielić się opłatkiem i że dla nas wieczór wigilijny nie jest już tak ważnym, tak uroczystym momentem jak dla starych emigrantów, że nie przywiązujemy już do niego takiej wagi jak nasi rodzice. Ale przecież tak do cna to o polskich tradycjach jednak nie zapomnieliśmy. Lubimy spędzać wieczór wigilijny w domu, nigdy nie przyjdzie nam w ten dzień do głowy pójść do kina czy na bal. Święta obchodzimy w gronie rodzinnym. Bywa, że wieczerza wigilijna składa się u nas nie tylko z pieczonego indyka czy gęsi, ale także i z zupy grzybowej i marynowanych śledzi. Zawsze kupujemy także u kogoś z polskich piekarzy czy cukierników w zagłębiu górniczym polski placek, babkę, pączki. No i zawsze przypomina nam się w święta, że kiedy byliśmy dziećmi, rodzice opowiadali nam o tym, że Polska w okresie świątecznym leży pod śniegiem, skuta mrozem do głębi...



150 LAT ZAKOPANEGO



DROGA DO SŁAWY ▲ PÓLTORA WIEKU OD URODZENIA CHAŁUBIŃSKIEGO ▲ ŻOŁNIERZ GEN. BEMA ▲ Z MAZOWIECKICH RÓWNIŃ W TATRZAŃSKIE SZCZYTY ▲ NIESZCZĘŚLIWA MIŁOŚĆ ▲ PODRÓŻ PO FRANCJI ▲ KARPACKIE ECHA POD PIRENEJAMI ▲ CHOLERA w 1873 ROKU i KRZYŻ NA GUBAŁÓWCE ▲ ZASŁUGI DLA ZAKOPANEGO I GÓRALSZCZYZNY ▲ PADEREWSKI PRZY ŁOŻU ŚMIERCI ▲ SMUTEK GÓRALSKIEGO LUDU



Tytus Chałubiński (ok. 1889 r.) — akwaforta wykonana przez Stanisława Witkiewicza. Zdjęcie z prawej: Jan Sabała Krzeptowski — fragment zakopiańskiego pomnika stojącego przy Krupówkach

ZAKOPANE obchodzi 150-lecie. W rzeczywistości jest znacznie starsze i swym początkiem sięga XVI wieku, choć ustalenie jakiejś bardziej dokładnej daty jego początku, zagospodarowania się pierwszego osadnika w rozległej dolinie, stanowiącej dziś miasto, letnisko, zimowisko i uzdrowisko z licznymi dzielnicami, okazało się niemożliwe. 150 lat mija w tych dniach nie od początku Zakopanego czy początków jego sławy, ale od daty urodzenia **Tytusa Chałubińskiego**, późniejszego lekarza i naukowca, uważanego za odkrywcę watorów klimatyczno-leczniczych Zakopanego.

Tytus Chałubiński przyszedł na świat w Radomiu, w ówczesnym Królestwie Polskim, wchodzącym w skład zaboru rosyjskiego, **dnia 29 grudnia 1820 roku**. To jest właśnie ta data, z którą łączy swój jubileusz Zakopane, chociaż Chałubiński poznał je dopiero prawie w trzydziści lat później. Łączy jednak słusznie. Postać Chałubińskiego jest bowiem tak ściśle związana z Zakopanem, że każdy miejscowy góral, każdy mieszkaniec, ba każde góralskie dziecko potrafi tu o nim wiele opowiedzieć; potrafi wskazać, gdzie mieszkał, gdzie jest jego pomnik wraz z przygrywającym na skrzypcach najślawniejszym tatrzańskim gawędziarzem i muzykiem. Janem Sabałą i gdzie na starym zakopiańskim cmentarzu, kryjącym prochy najbardziej zasłużonych mieszkańców miasta, jest jego wspinały grobowiec; potrafi wyjaśnić, co zrobił dla górali i w ogóle dla ludzi.

Aż dziw bierze, że Chałubiński, człowiek mazowieckich równin, radomiak, którego ojciec mieszczanin wywodził się z Biłgoraja na Lubelszczyźnie, który studiował w Wilnie, Dorpacie, Würzburgu, wojażował dużo po świecie i był warszawskim lekarzem, tak nierozważnie zrosł się z Tatrami i Zakopanem. Wielkie też musiały być zasługi tego warszawskiego pana doktora w oczach miejscowego ludu, skoro z taką wdzięcznością zachowują go górale w pamięci i z pokolenia na pokolenie przekazują o nim pamięć swoim dzieciom. A trzeba wiedzieć, że górale nie są zbyt pochopni w

przyznawaniu zasług ludziom z dolin, czyli tak zwanym przez siebie **ceprom**. Chałubiński był **pierwszym i nadal jest pierwszym**, któremu prawo do zasług dla Zakopanego, dla Tatr i dla góralszczyzny przyznali, nadal te jego zasługi podkreślają, choć umarł w 1889 r., a więc przed przeszło osiemdziesięciu laty.

Po otrzymaniu dyplomu lekarskiego zamieszkał Chałubiński na stałe w Warszawie. Był to rok 1845. Leczył w szpitalach, mieszkał kątem w jakiejś klasztornej celi, pracował naukowo nad dziejami botaniki i cierpiał biedę. Jak cała patriotyczna młodzież warszawska konspirował przeciw zaborcom. Kiedy w 1848 roku zawiało w Europie Wiosną Ludów, a na Węgrzech wybuchło powstanie przeciw Austriakom i uformował się korpus generała Józefa Bema, pośpieszył tam na pierwszą wiadomość o walkach i wziął w nich udział jako lekarz ambulansu. Oddział, do którego należał, został rozbity i młody lekarz musiał się ratować ucieczką, po czym przeszedł piechotą przez góry, omijając placówki na granicy węgiersko-austriackiej. Po drodze urzekły go swą pięknnością Tatry. Ich urok, groza i piękno, szum potoków i wichrów, podziały kojąco na przybitego niepowodzeniami wojennymi powstańca. Pozostał im odtąd wierny, choć wrócił do nich na stałe dopiero po latach.

Zakopane, Tatry, całe Podhale, należały wówczas do zaboru austriackiego, tak zwanej Galicji. Musiał więc Chałubiński potajemnie przejść przez jeszcze jedną granicę. Jak tego dokonał, w którym miejscu, w jakich okolicznościach, sam czy z innymi — nic na ten temat nie wiemy, poza tym, że przeszedł granicę nielegalnie. Nigdy tych tajemnic nie odsonił. Dość, że wrócił do Warszawy.

Osobiste nieszczęścia — śmierć młodej żony i dziecka — choroby, niepowodzenia w polityce, w którą się zaangażował, drugie niezbyt udane małżeństwo, zepsute na domiar złego spotkaniem pierwszej miłości z czasów studenckich i ponownym namiętnym wybuchem tej miłości, ogromne kłopoty z tym związane w rodzinie, starania o rozwód, oskarżenia carskiej policji o kontakty ze spiskowcami w 1848 r. — przeplatały się u Chałubińskiego ze wzrostem jego sławy jako wybitnego lekarza i nieprzeciętnego naukowca.

W 1852 r. wyjeżdża na lato do Zakopanego z przyjaciółmi. **Jest tu po raz drugi**. Ale po raz trzeci przybędzie dopiero w 1873 r., w dwadzieścia jeden lat później, choć bywa w Szczawnicy i Krynicy. Tym razem, by wracać tu już rokrocznie na każde lato. Jest już wtedy lekarzem znanym niemal przez całą Polskę, w Warszawie odwiedzają go chorzy ze wszystkich trzech zaborów. Chorym na płuca zaleca góry. Sam szuka w

Tatrach zapomnienia. Kilka lat wcześniej wskutek młodzieńczej miłości, która nim owładnęła po raz drugi, a był wtedy mężem i ojcem dwojga dzieci, popadł w stan załamania. On — człowiek pełen twórczej energii, inicjatywy, pomysłów. Za poradą pewnego berlińskiego lekarza, swego przyjaciela, wyjechał wtedy do Francji na cały rok (1868). Podróżował z miejsca na miejsce: Tuluza, Castanet, Montauban, Clermont-Ferrand, Marylia, znowu Tuluza, Bagnère-de-Luchon, Bordeaux, Pornic, Lyon, Strasburg...

Z ogłoszonych ostatnio listów Chałubińskiego do przyjaciół część pochodzi właśnie z tej podróży bez ładu i składu, niby dla leczenia, to znów dla krajoznawstwa, a w rzeczywistości dla odprężenia i szukania spokoju. „Dawniej będąc tyle razy we Francji nie miałem nigdy dość czasu, aby zwiedzić Owernię, kraj niestychanie ciekawy tak dla turysty, jak i dla ludzi nauki” — pisze z Clermont-Ferrand (28 IV 1868). — *Turystą nigdy nie byłem; nauką w ścisłym znaczeniu dziś zajmować się nie mogę. Zawsze jednak*

chciałbym nawet w teraźniejszym położeniu nie tracić czasu i sposobności na próżno...” Daje więc w liście opis krainy. To samo z Marsylii. Z Tuluzy donosi (10 V 1868): „Wybieram się bezzwłocznie w Pireneje; chociaż po górach Owernii będzie mi tęskno, tym bardziej że Pireneje już znam trochę. Zresztą bardzo one podobne do naszych Karpat i Tatr; jest nawet jakieś geologiczne kuzynostwo między nimi, gdy tymczasem góry Owernii nie mają w Europie nic, co by z nimi porównać można...”

Góry wyraźnie Chałubińskiego pasjonują, bo z Bagnères-de-Luchon (9 VI 1868) komunikuje m.in.: „Od czasu jak chodzę, a raczej biegam po górach — wszystko jakby ręką odjął i znów czwarty już dzień, jak ani razu nie byłem cierpiący... Luchon jest wśród najwyższych szczytów Pirenejów, toteż używam do woli. Rozkoszne też to góry, a obecna wiosenna wegetacja przechodzi wszystko, co mogłem sobie wyobrazić... Już w dawniejszych moich wycieczkach dostrzegłem, że bardzo wiele podobieństwa w tutejszych górach z Karpatami, ale wegetacja jest tu piękniejsza — południe, choć na wyżynach ma swoje prerogatywy, tym bardziej u stóp Pirenejów. Nade wszystko zaś drogi dobre, komunikacja łatwa i kulturalna, wygoda nadają bezwarunkową wyższość nad Karpatami...”

Dolina Zakopanego widziana z Gubałówek



Do listów Chałubińskiego warto będzie jeszcze osobno powrócić przy innej okazji. Teraz z Pirenejów przeniesmy się w Tatry, dokąd — jak już wyżej była mowa — od roku 1873 przyjeżdża z rodziną na każde lato.

Rok ten dla Zakopanego był fatalny. Górali nawiedziła epidemia cholery. Chałubiński podjął kontrakcję. Walczył z chorobą ofiarnie, niósł pomoc zagrożonym, uczył podstawowych zasad higieny, wciągnął do współpracy drugiego lekarza, dr Urbanowicza, emigranta ze Żmudzi. Zdobył zaufanie górali. Wielu uratował od niechybnej śmierci. Miejscowy proboszcz ksiądz Józef Stolarczyk, obok Chałubińskiego i Sabały uznany przez górali za najbardziej godną pamięci postać Zakopanego z XIX wieku, którą otoczyli legendą, zanotował pod tym rokiem w parafialnej kronice:

„Czerwiec był mokry, za to lipiec, sierpień i wrzesień, nawet i październik, ciepły i piękny, pierwszy śnieg przypadł 18 listopada. Cholera rozpoczęła się 1 września. Ustąpiła zupełnie 10 października. Gdyby ludzie trochę lepiej na siebie uważali, to może nikt nie umarłby, chyba poza pierwszym Jędrzejem Rajem. Był tu z Warszawy doktor Chałubiński, bardzo znakomity doktor i zacny człowiek... Podczas epidemii ratował bezinteresownie z największym poświęceniem, nawet mnie samego prawie od śmierci wydobył...”

Jeżeli będziecie kiedy w Zakopanem i kolejką wyjedziecie na Gubałówkę, zobaczcie tam krzyż żelazny. Postawiono go w roku 1873 na pamiątkę opanowania cholery przez dr Chałubińskiego, która dotknęła ludność góralską. Owego roku zdobył Chałubiński serca górali i już w nich pozostał na trwałe. Stał się dla góralszczyzny mężem opatrnościowym. Za jego przykładem podążyły do podtatrzańskich wsi — bo Zakopane też było wtedy wsią — pisarze, artyści, uczeni i chorzy na gruźlicę, której leczenie zalecał tamtejszym powietrzem. Ta biedna wioska wydobyła się dzięki temu z nędzy. Górale uzyskali stałe dochody: za mieszkania, za przewodnictwo w górach, za furmanki, za mleko, śmietanę i inne artykuły spożywcze. Artyści docenili piękno ich ludowego folkloru: w tańcach, muzyce, pieśniach, barwnych strojach, artystycznym wyrobie sprzętu domowego. Z zachęty Chałubińskiego zjawili się w Tatrach Ignacy Paderewski i zaczął spisywać ich pieśni; malarz Stanisław Witkiewicz (ojciec Witkacego, o którym piszemy w dzisiejszym numerze) utrwalił na płótnach wiele tatrzańskich krajobrazów, w oparciu o wzory ludowej ciesiołki góralskiej stworzył w budownictwie styl tatrzański; znakomity przy-



W Tatrach za czasów Chałubińskiego. Rysunek Eliasza, autora przewodników

rodnik Józef Rostafiński zbadał florę tatrzańską a inni podjęli gruntowne badania w różnych dziedzinach wiedzy. Zakopane zyskało z inicjatywy Chałubińskiego szkołę snycerską i szkołę koronarską — stało się najbardziej znaną stacją klimatyczną na ziemiach polskich. Otworzono tu Muzeum Tatrzańskie, zorganizowano Towarzystwo Tatrzańskie. Za przykładem warszawskiego lekarza szła w góry młodzież i starsi, rosły pokolenia taterników, szacunek dla góralskiej sztuki, troska o perlę Tatr — Zakopane i jego mieszkańców, o tatrzańskich górali.

Kiedy pod koniec życia zaczęły Chałubińskiego opuszczać siły, po którejś z kolejnych wypraw do Zakopanego na tatrzańskie lato nie powrócił już do Warszawy, choć wiązały go z nią pozycja profesora Szkoły Głównej, najwybitniejszego w mieście lekarza, uczonego. Zamieszkał do końca życia pod Giewontem. Kochał Tatry i tak się z nimi żył, że w Zakopanem czuł się najlepiej. Kochał lud góralski, służył mu radą i pomocą, a ten darzył go za to nadzwyczajnym szacunkiem. Kiedy dogorywał wpatrzon w piękno Czerwonych Wierchów, Paderewski przebywający w Wiedniu z koncertami, na wieść o ciężkiej niemocy przyjaciela, przerwał występ i pośpieszył do Zakopanego. Przez trzy dni muzyką Chopina i własną twórczością opartą na motywach góralskich umiał mu ostatnie chwile życia...

Umarł Tytus Chałubiński 4 li-

stopada 1889 roku. Na cmentarny pagór przy starym kościele na Kościeliskiej szedł za trumną góralski tłum — starych i młodych, mężczyzn i bab, juhasów i dzieci, płakał... płakał z żalobnego bólu jak za rodzonym ojcem. Bo też ojcem był dla niego Chałubiński...

Stanisław ZIEMBA

ZRÓDŁA. X. Józef Stolarczyk: KRONIKA PARAFII ZAKOPIAŃSKIEJ (1848—1890) w Roczniku Podhalańskim. Zakopane — Kraków 1914—22; Walery Eliasz: ILUSTROWANY PRZEWODNIK DO TATR, PIENIN I SZCZAWNICY. Poznań 1870; T. Chałubiński: SZESĆ DNI W TATRACH. WYCIECZKA BEZ PROGRAMU (na łamach Niwy). Warszawa 1878; F. Hoesick: LEGENDOWE POSTACIE ZAKOPIAŃSKIE. Warszawa 1922; F. Hoesick: O TATRACH I ZAKOPANEM. Warszawa 1931. Adam Wrzosek: TYTUS CHAŁUBIŃSKI (w Polskim Słowniku Biograficznym. Tom III). Kraków 1937; Tytus Chałubiński: LISTY (1840—1889). Wrocław — Kraków — Warszawa 1970. Adam Wrzosek: TYTUS CHAŁUBIŃSKI — ŻYCIE, DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA I SPOŁECZNA. Warszawa 1970.

On trouve trace de Zakopane au XVII^e siècle. Mais Zakopane ne fête que ses 150 années d'existence car en vérité son développement est lié à la vie d'un médecin, Tytus Chalubiński, qui sut découvrir les valeurs climatiques et prophylactiques de la montagne, au point que sa date de naissance a été choisie comme la date de naissance de Zakopane.

Done Tytus Chalubiński vit le jour en 1820 à Radom, un 29 décembre. Après des études de médecine, il s'installe à Varsovie. L'année 1848. Le printemps des Nations. On retrouve Chalubiński en tant que médecin d'ambulance dans le corps du général Bem, venu porter secours aux Hongrois qui se sont insurgés contre l'occupant autrichien. C'est la défaite, il faut fuir. Chalubiński passe à pieds les montagnes en évitant les postes-frontières. Ce voyage forcé lui fait découvrir la montagne. Il cède aux charmes des paysages doux et terrifiants à la fois, le grondement des torrents, le murmure des ruisseaux, le vent dans les cimes LE RAVISSEMENT.

Le voilà de retour à Varsovie. Il est affligé par plusieurs drames familiaux, des insuccès politiques, la police tsariste l'accuse d'avoir été en relations avec les conspirateurs de 1848. La série de malheurs qu'il connaît n'entache en rien sa réputation de médecin qui va en grandissant.

Un ami lui conseille de partir en voyage pour qu'il puisse retrouver une sérénité d'esprit. Il gagne la France en 1858 et y passera près d'un an. C'est en touriste ET EN SAVANT qu'il sillonna le pays. L'Auvergne le séduit particulièrement, il achève sa guérison dans les Pyrénées qu'il compare aux Tatras.

De retour en Pologne, il retrouve Zakopane en 1873 et à partir de ce moment là il y séjournera chaque année avec sa famille. Une épidémie de choléra règne dans les montagnes. Chalubiński lutte avec un total dévouement contre le mal et, en retour, la population lui voue une profonde reconnaissance.

Zakopane est devenue une station à la mode, peintres, artistes, musiciens s'y retrouvent. Un jour, Chalubiński décide de ne plus retourner à Varsovie où pourtant il connaît tous les honneurs. Il s'installe définitivement à Zakopane et y coulera des jours heureux dans le décor grandiose qu'il aime tant. Il s'éteindra au pied du Giewont au son de la musique de Chopin que son ami Paderewski, venu en hâte, lui joue pour adoucir ses derniers instants. Tous les montagnards suivront le cortège funèbre et pleureront CELUI QU'ILS CONSIDÈRENT COMME LEUR BIENFAITEUR.

Sur le Giewont il est une croix de fer. Elle a été élevée en 1873 par les montagnards, en reconnaissance au dr Chalubiński qui maîtrisa l'épidémie de choléra.

S POŚRÓD kilkuset dzieci, które tego roku wyjeżdżały na kolonie do Polski, wybraliśmy dwadzieścioro. Zdjęcia ich wszystkich wykonał na lotniskach francuskich Władysław SŁAWNY. Możecie zobaczyć je obok. Wybrałej dwudziestce zadaliśmy tuż przed odlotem trzy pytania:

- ◆ Czy po raz pierwszy lecisiz samolotem?
- ◆ Jak sobie wyobrażasz pobyt na koloniach?
- ◆ Z jakich stron pochodzą rodzice lub dziadkowie i czy krewni odwiedzą cię na koloniach?

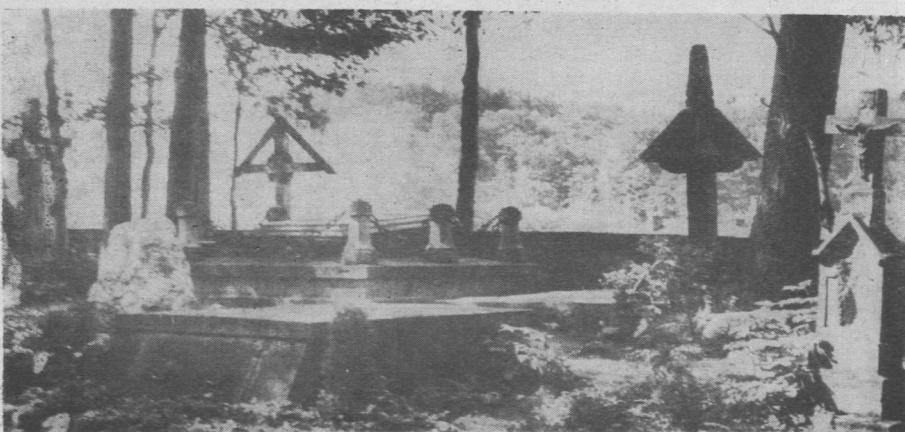
Z tymi samymi dziewczętami i chłopcami rozmawialiśmy następnie w czasie kolonii i po ich zakończeniu, aby skonfrontować ich marzenia z rzeczywistością. Czego chłopcy i dziewczęta spodziewali się a czego doznali. Rzec nie mogła się zawęzić do odpowiedzi na trzy wymienione pytania. Wyrosły nowe problemy, nie objęte pytaniami, o których też trzeba było rozmawiać. Na rozmowy przed odlotem z większą ilością młodzieży nie było po prostu czasu.

Obok zamieszczamy omówienie rozmów przeprowadzonych na koloniach i po ich zakończeniu. Zanim jednak przeczytacie je, spójrzcie dokładnie na zdjęcia chłopców i dziewcząt. To piękna młodzież, a przy tym zdrowa moralnie i fizycznie, pełna zapału i przekonania, że droga życiowa, przed którą stoi, chociaż będzie wymagała dużego wysiłku, będzie bez porównania łatwiejsza niż droga życiowa rodziców i dziadków.

Ich ojcowie opuszczali kiedyś rodzinne strony z goryczą w sercu, za chlebem. Dziś młode pokolenie odwiedza Stary Kraj nowoczesnymi samolotami. Czy to tylko zmiana w postępie technicznym? — Chyba także i to, że na obu krańcach tego powietrznego mostu jest inne Wychodźstwo oraz inny Kraj niż ten, który opuścili ojcowie.

Jest przywilejem naszej młodzieży, że nawiązuje kontakty z rodzinami, których często nie znała dotąd. Chciałoby się zmierzyć temperaturę serc chłopców i dziewcząt w czasie tych spotkań, poznać wszystko, czego nie ujmą zapisane przez reporterów odpowiedzi po obu stronach.

Na pewno nie potrafiliśmy wszystkiego oddać, co ta dwudziestka chłopców i dziewcząt opowiedziała, a przede wszystkim, co czuła. Ale pewne jest, że to, co wyraziła, było też udziałem kilkuset innych, którzy przebywali na koloniach w Polsce.



Stary cmentarz zakopiański z grobami zasłużonych. W głębi od lewej: groby Jana Sabały Krzeptowskiego (krzyż z daszkiem), Tytusa Chałubińskiego, Stanisława Witkiewicza (ojca); na pierwszym planie — grób Władysława Orkana

MARZENIA i RZECZYWISTOŚĆ

Przedstawiamy 20 młodych osób. Nie tylko młodość, siłę, ciekawość świata i spokojne dojrzenie reprezentują ci miodzi, do których należy ich i nasza przyszłość. Od lewej — w pierwszym rzędzie: Angèle Nawojczyk, 14 lat z Libercourt (P. de C.), Gérard Wojcik, 16 lat z Ostricourt (Nord), Evelynne Wala, 16 lat z Somain (P. de C.), Raymond Nowacki, 15 lat z Bruay-en-Artois (P. de C.), Claudia Woźniak, 12 lat z Wallers (Nord), Patricia (13 lat) i Dominique (12 lat) Walczak z Ecaillon (Nord); w rzędzie środkowym: Wanda Biela, 14 lat z Douai (Nord), Daniel Wozniczak, 16 lat z Barlin (P. de C.), Marie-Annie Smolik, 15 lat z Wattrelos (Nord), Christian Jakiel, 16 lat z Divion-Cité (P. de C.), Brigitte Gachym, 13 lat z Noeux-les-Mines (P. de C.), Janek Marciniak, 15 lat z Libercourt (P. de C.), Helena Szotek, 16 lat z Libercourt (P. de C.), Claude Cebulski, 16 lat z Flers-en-Escrebieux (Nord), Elisabeth Lorek, 16 lat z Montigny-en-Ostrevent (Nord), Elisabeth Gorgon, 14 lat z Roubaix (Nord).
Fotografował na francuskich lotniskach Wł. SŁAWNY



Ziemia z lotu ptaka

Czy po raz pierwszy lecisz samolotem? Z udzielonych nam odpowiedzi wynikało, że ani jedno z dzieci ankietowanych nigdy jeszcze, to znaczy do czasu wyjazdu na kolonie — nie latało samolotem. I przyjemnie pomyśleć, że swoje pierwsze podniebne wrażenia dzieci zawdzięczały właśnie Polskim Liniom Lotniczym...

Jakie były wrażenia dzieci?

Generalnie rzecz biorąc — bardzo przyjemnie, aczkolwiek przed lotem zdecydowana większość dzieci i młodzieży przeżywała chwile obawy i niepewności: jak to będzie tam w górze, gdy zawiśnie się w pustej przestrzeni, w odległości kilku kilometrów od bezpiecznej ziemi? — „Lecę pierwszy raz, ale się nie boję” — brzmiało 10 odpowiedzi na pytanie zadane przed odlotem na lotnisku w Lille; trzy dziewczynki odpowiedziały, że „trochę się boję”; jeden chłopiec stwierdził, że „boi się tylko startu”; inny miał nadzieję, że „nie będzie żadnych niespodzianek”; jeszcze inny orzekł filozoficznie że „jakoś to będzie”. Trzy odpowiedzi brzmiały: „boję się bardzo, to przecież pierwszy raz...”. Tylko 12-letnia Claudia Woźniak z Allers, kozakdzianka, wręcz oświadczyła, że na kolonie do Polski chciała jechać przede wszystkim dlatego, żeby „przelecieć się samolotem!”

W czasie startu wiele serc biło szyb-

ciej niż normalnie, inne dziwnie się ścisnęły, niektóre nagle znalazły się aż w gardle... Jednak tylko nieliczni pasażerowie-debiutanci skarżyli się na złe samopoczucie fizyczne aż do „morskiej choroby” włącznie, na ucisk w skroniach, ból w uszach itp.

Dodatkowych acz nieprzewidzianych emocji dostarczyła dzieciom natura, gdyż pod koniec lotu rozpętała się nad Warszawą gwałtowna burza i niebo rwało się od błyskawic i huku piorunów. Nic więc dziwnego, że słyszeliśmy później takie opinie, jak np.: „Najpiękniejsze tam w górze były chmury a najstraszniejsze piekło z błyskawic” lub „Start a następnie lądowanie na wyścigi z błyskawicami, to były przykre chwile”.

Pomimo to, w ostatecznym rezultacie, wszyscy zapytywani chłopcy i dziewczęta, okazali się entuzjastami podróży lotniczych (z jednym, jedynym zastrzeżeniem i to rodzaju męskiego). Świadczą o tym takie opinie jak: „Nie bałam się wcale, wszystkim mnie cieszyło”, „Siedziałymy wygodnie i bezpiecznie jak w samochodzie”, „Podróże powietrzne są wspaniałe pod każdym względem”, „Po przebyciu chrzemu lotniczym wyżyłem się wszelkich obaw i ilekroć będę miał okazję, zawsze jako środek lokomocji wybiorę samolot.”

Warto zauważyć, że dziewczynki w odróżnieniu od swych kolegów, zwraca-

ły uwagę na piękne, inne niż „ziemskie” widoki, które mogły obserwować „z lotu ptaka”. „Jestem zachwycona chmurami — wyglądały jak piana lub biała śmietana” — zwierzyła się nam mała poetka. „Ziemia z góry wygląda o wiele ładniej, bo nie widać na niej nic brzydkiego” — stwierdziła druga.

Tak, sądząc z opinii dzieci — ich pierwszy lot można określić jako bardzo udaną imprezę. I słysząc ich wypowiedzi trudno było nie pomyśleć o tym, w jak odmiennych warunkach i jak odmiennymi środkami lokomocji opuszczali ongiś Polskę rodzice lub dziadkowie tych dzieci, które obecnie przywożą na odpoczynek do Kraju — samoloty PLL „LOT”.

Opinie

Młodzi chłopcy i dziewczęta w wieku od 12 do 18 lat, pochodzący z różnych departamentów Francji na pytanie: Jak sobie wyobrażasz pobyt na koloniach letnich w Kraju — w 70 proc. odpowiedzieli, że spodziewają się ciekawych doznań, różnorodnych wrażeń i że „na pewno będzie tam ciekawie i dobrze”. Tylko 30 proc. nie potrafiło sprzeczyć swych wizji, odpowiadając, że nie wyobrażają sobie wyraźnie ani Polski, ani kolonii letnich. Spośród 20 odpowiadających większość opinii wyraziły dziewczęta. Być może dlatego, że już sama płeć predysponuje je do większej wrażliwości, a zapewne i

do marzycielstwa. I tak w wyobrażeniach dziewcząt dominowały odczucia poznawczo-wrażliwe, u chłopców zaś oczekiwanie na „wielką przygodę” i emocje tzw. męskie, tzn. emocje sportowe, rozrywki, wycieczki sportowe, zaspokojenie ciekawości turystyczno-krajoznawczych i historycznych, zwłaszcza z dziejów oręża polskiego.

Godne zwrócenia uwagi było też to, iż inaczej wyobrażała sobie pobyt w Polsce młodzież w wieku 12—14 lub 15 lat, a inaczej młodzież starsza. Starsi oczekiwali np. mniejszej dyscypliny na koloniach i większej ilości zabaw tanecznych obok przewidzianych planem zajęć kolonijnych. Młodszy, szczególnie dziewczęta, liczyli się z tym, że będzie im brakowało rodzicielskiego domu, rodziców, kolegów.

Kilkoro zaledwie z tej pierwszej grupy było nieco zadowolonych, inni bardzo szybko dostosowali się do rytmu życia kolonijnego znajdując w nim wiele ciekawych i interesujących spraw.

Druga grupa — jak się okazało — także szybko się adaptowała, a zdarzały się nawet przypadki, że niektórym brakowało czasu na korespondencję z rodzinnym domem. Nowe atrakcyjne zajęcia, różnorodne formy zabaw i wypoczynku przyćmiły tęsknoty...

Jak już wspominaliśmy, nasza ankieta objęła wyłącznie młodzież, która po raz pierwszy wybierała się do Polski i znała ją przede wszystkim z przekazów bądź opowiadań rodziców, bądź znajomych. Wspólnym mianownikiem wszystkich wypowiedzi była ciekawość Polski i bardzo życzliwy do niej stosunek. Zarówno dziewczętom, jak i chłopcom teoretyczny obraz Kraju i marzeń o życiu w kolonijnej gromadzie w Polsce skryształizował się na miejscu dość szybko.

Jak wypadła konfrontacja marzeń z rzeczywistością?

Nie było ani jednej wypowiedzi świadczącej o niezadowoleniu z pobytu na koloniach. 75 proc. pytanego młodzieży stwierdzało, że kolonie były ciekawe, pożyteczne, że wiele na nich można poznać. U 75 proc. ankietowanych rzeczywistość przerosła marzenia, u 20 proc. przewidywania zrównały się z rzeczywistością, u 5 tylko procent młodzieży wypowiedzi były niesprecyzowane jasno, to znaczy z kolonii byli w sumie zadowoleni, ale przed wyjazdem do Polski nie mieli żadnych sprecyzowanych wyobrażeń. Oto niektóre tylko z wypowiedzi:

„Dzięki koloniam miałam możliwość poznania miast, o których wiedziałam niewiele, albo nic. Kraków, Warszawę, Łowicz, Zakopane. Chciałabym pojechać na dłużej, aby je dokładnie poznać, zwiedzić, dowiedzieć się jak żyją ludzie na co dzień” (Claudia Woźniak z Wallers).

„Najbardziej brakowało mi lodów, chłopców, rodziców i owoców”, ale co chciała zwiedzić to zwiedziła. Poza humorystycznymi, miała doznania głębokie, nawet poważnie wstrząsnęła nią wizyta w Oświęcimiu. Po raz pierwszy poznała nowe słowa *La four crématoire*. „We Francji moje koleżanki nie uwierzyłyby w krematoria. Powinno się rozpowszechnić wiedzę o tym we Francji, nie można ukrywać tych wydarzeń przed młodzieżą. Powinniśmy jak najwięcej wiedzieć o wojnie i zniszczeniach wojennych, żeby się tego wystrzegać” (Angèle Nowojczyk z Libercourt — Pas-de-Calais).

I jeszcze dla charakterystyki inny głos.

„Gdy pierwszy raz z lotniska pasażerskiego na Okęciu przejeżdżałam przez Warszawę, pięknie oświetloną i kolorową, doznałam jakiegoś głębokiego wzruszenia.” Ta sama dziewczynka dość obszernie wypowiedziała się na inne tematy, związane już bezpośrednio z pobytami na kolonii. „Martwili się moi rodzice, że schudnę, że nie będę jadła, że będę tęsknić za domem, rodziną. Tymczasem miałam na koloniach liczniejsze towarzystwo niż w Wallers. Po pierwsze miałam świetny apetyt, wybawiłam się jak chciałam, poznałam wiele koleżanek, czułam się znakomicie”.

Życie na koloniach było bardzo urozmaicone. Nic też dziwnego, że jednym bardziej podobały się wieczorki taneczne, innym nauka tańca i piosenek, jeszcze innym wycieczki turystyczne

krajoznawcze lub zwiedzanie muzeów i zabytków.

Kilka dziewcząt i chłopców miało pretensje, że nie mogą dowoli, zupełnie bez przewodnika, spacerować po mieście czy chodzić do piwnic lub kawiarni. 4 osoby na 20 skarżyło się, że na kolonii nie ma dziewcząt lub chłopców i że spotkania grupowe były zbyt rzadkie.

Około 80 proc. młodych chwaliło opiekę na koloniach, miły stosunek wychowawców i instruktorów do wychowanków oraz smaczne, regularne i obfite jedzenie. A w tej dziedzinie wiadomo — ile gustów i smaków, tyle opinii.

Pewne jest, że dziewczęta 12—14-letnie miały inne wymagania niż dziewczęta 16-letnie, z których niejedna marzy już o księżcu z bajki. A tych marzeń być może niejedna kolonia nie była w stanie zrealizować... Obawiamy się nawet, że nie leżą one w gestii nie tylko kolonii, szkoły, czy rodziców...

Skąd nasz ród

Dziadkowie dzieci „ankietowanych” — tak ze strony ojców jak i matek — przeważnie wszyscy urodzili się „gdzieś w Polsce”. (Tylko dwoje dzieci posiada matki pochodzenia nie polskiego: Francuzkę i Węgierkę). To samo zresztą odnosi się do dziadków większości wszystkich dzieci kolonijnych: przybyli do Francji z Polski i jako górnicy osiedlili się na Nordzie.

„Gdzieś w Polsce”, to znaczy najczęściej w woj. poznańskim, następnie w rzeszowskim, lubelskim i krakowskim, w Rybniku, Kaliszu i Bielsku.

Wiele dzieci nie zna w ogóle miejsca urodzenia swoich dziadków. Ojcowie połowy zapytywanych dzieci przyszli

na świat już we Francji, dwaj wyemigrowali z Polski z rodzicami jako kilkuletni chłopcy. Reszta ojców przybyła do Francji w okresie przed II wojną i po wojnie.

Miejsca urodzenia ojców i matek w Polsce pokrywają się na ogół z miejscami urodzenia dziadków. Zwraca uwagę fakt, że z dziesięciorga dzieci, których ojcowie urodzili się już we Francji — sześcioro nie zna żadnych bliższych adresów rodzin w Kraju i nie spodziewało się odwiedzin krajowych krewnych na koloniach. Zupełnie wyjątkowo przypadek wśród „ankietowanych” stanowiła 15-letnia dziewczynka, która urodziła się w Gliwicach i mając 8 lat wyjechała na stałe do Francji z matką pochodzenia polskiego urodzoną we Francji.

Zdecydowana większość dzieci zna adres rodzin w Kraju i część wakacji w Polsce spędziła w domach krewnych lub — co najmniej — gościła ich u siebie w ośrodkach kolonijnych. Rodziny w Kraju osiedlone są przeważnie na zachodzie lub pół-zachodzie Polski, w Poznaniu i woj. poznańskim, w Krakowie i woj. krakowskim, w Wałbrzychu, Zielonej Górze, Sosnowcu, Katowicach, Gliwicach, Bielsku itd.

Wszyscy dziadkowie zapytywanych dzieci, którzy wyemigrowali z Polski w poszukiwaniu pracy, startowali we Francji z niczego i ciężką pracą dorabiali się lepszych warunków. O tym dzieci dobrze wiedzą i pamiętają. Korzystając z owoców ich pracy, synowie i córki urodzeni już we Francji, mieli start życiowy o wiele łatwiejszy. Ich wnukom tzn. dzieciom, które odpowiadały na pytania naszej ankiety — powodzi się, oczywiście jeszcze lepiej niż dziadkom i rodzicom. W chwili obecnej górnikami są ojcowie jedenaściorga dzieci, jeden ojciec

jest inżynierem-górnikiem, jeden — spawaczem w kopalni. Reszta ojców to konduktor kolejowy, urzędnik, pracownik fabryki tekstylnej, handlowiec i właściciel sklepu. Dwóch ojców już nie żyje.

Nie ulega wątpliwości, że dzieci polonijne, to dzieci francuskie, we Francji urodzone i wrosnięte we francuską rzeczywistość. Lecz jest również faktem, że wszystkie nieomal zachowały w swych sercach sentyment i przywiązanie do Kraju przodków. W jakiej mierze ma to miejsce — zależy od atmosfery ich domów we Francji.

Jest rzeczą bezsporną, że głównym i zasadniczym łącznikiem każdego Wychoźstwa z krajem urodzenia są więzy i kontakty rodzinne. One to przede wszystkim, utrzymywane i kultywowane sprawiają, że pamięć o Ojczyźnie przodków pozostaje nadal żywa. Kolonie w Polsce sprawiły, że 70—80 proc. dzieci polonijnych kontakty rodzinne nawiązało lub umocniło.

Przed odlotem do Polski było gorąco, panowało ogólne podniecenie, nie było też czasu na dłuższe rozmowy z młodzieżą wybierającą się w pierwszą w swym życiu podróż powietrzną. Ale na koloniach w Kraju, gdzie konfrontowaliśmy przewidywania młodzieży z tym, co zastała na miejscu, rzecz nie ograniczyła się do samych relacji z rzeczywistością kolonijnej i opinii o niej. Siegała do różnych tematów, między innymi, do przyszłych studiów młodzieży, sprawy języków w ogóle, a polskiego w szczególności itp.

Kim będą

Tutaj odpowiedzi były bardzo ciekawe. 70 proc. wypowiedziało się, że chce wejść w szeregi inteligencji pracującej, zdobyć wyższe wykształcenie. Kilka dziewcząt chciałyby zostać nauczycielkami lub profesorkami (chciałyby uczyć także języka polskiego i wiedzy o Polsce), o różnych specjalnościach. Jedna chce skończyć Akademię Sztuk Pięknych, inną geografii, jedna chce studiować w Polsce, by po powrocie do Francji dzielić się z młodzieżą francuską zdobytą tam wiedzą. Inna chce zostać stewardessą, wiele pracy poświęcając teraz nauce języków obcych. Niemal że każdy z zapytanych uważał, że znajomość języka polskiego jest pożyteczna i każdy z nich chciałby pracować bądź to nad opanowaniem go, bądź wzbogaceniem. Trzy dziewczynki chciałyby zostać fryzjerkami, kilka innych przedszkolankami. Jest też para kandydatów na lekarzy, jeden chłopiec na inżyniera, jeden na naukowca.

Pocieszający to objaw, że ambicje i możliwości młodzieży sięgają daleko wyżej niż kiedyś sięgały możliwości ich rodziców lub dziadków. Starsze pokolenia skazane były na ciężką czarną pracę fizyczną. Ich dzieci i wnukowie widzą swą przyszłość w daleko jaśniejszych barwach i mają ku temu wszystkie warunki by ich marzenia i dążenia stały się rzeczywistością.



14-letnia Gishlaine Gorgol z Ostricourt (Nord) chce zostać stewardessą

PARYŻ



Po raz pierwszy
SYLWESTER 1970/71
w restauracji
„KRAKUS”

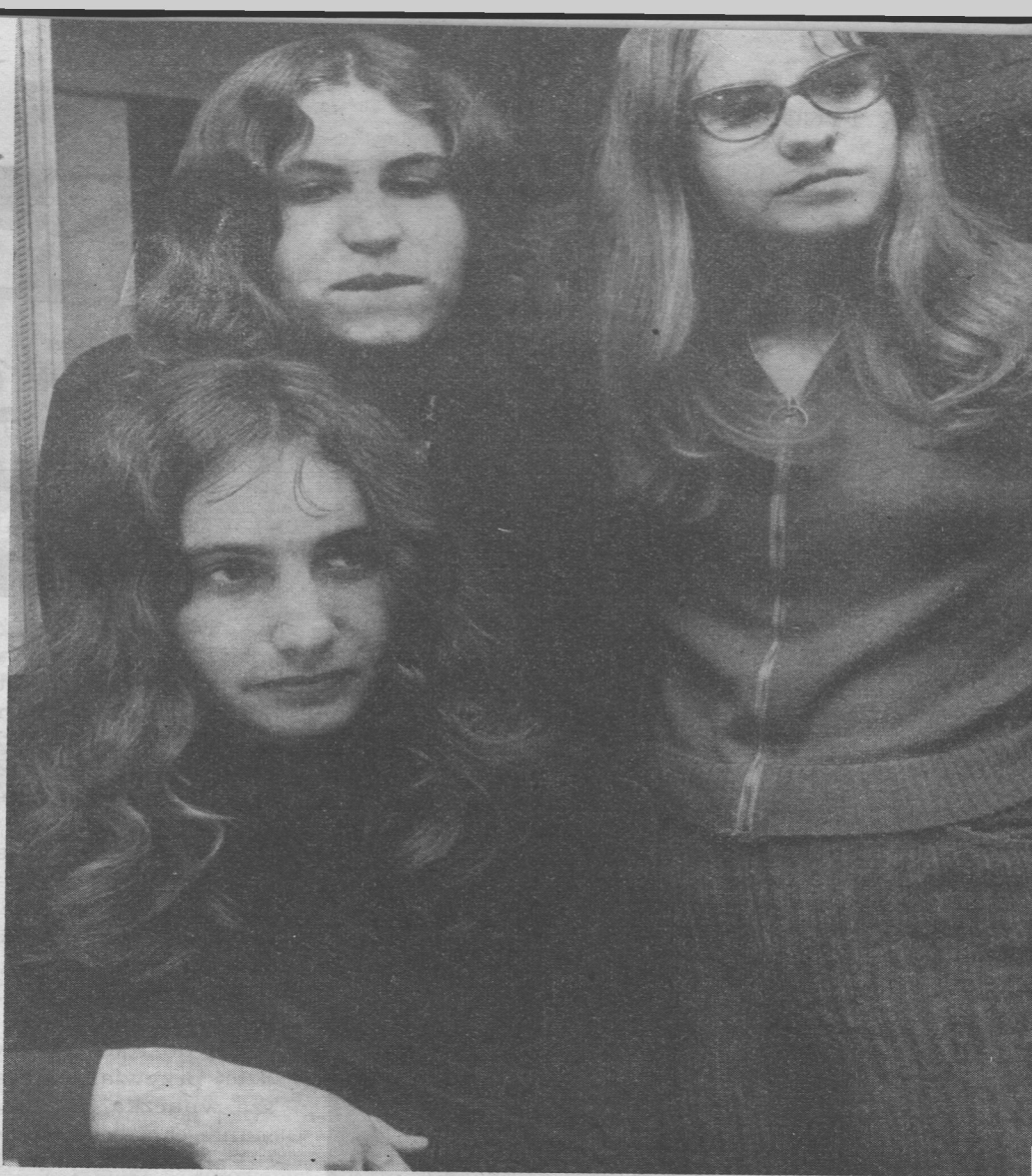


30, rue du Printemps
Paris XVII-e
tel. 227-26-97
(koło Pont Cardinet)

DWA POKOLENIA



Z rodzinnej nieco burzliwej dyskusji wynikło stwierdzenie, że postęp w najistotniejszych sprawach ludzkiego życia jest zbyt powolny (zdjęcie powyżej). Po prawej — Bolesław (z lewej), Bogumiła (wyżej) i najmłodsza Wanda (z prawej). Rozmowa ma charakter kontestacji, ale nie jest żywiołowa



W KRĘGU KONTESTACJI

Jest to rodzina, w której dyskusja trwa ustawicznie. Młodzi wypowiadają swe poglądy głośno, bez skrepowania. Często w ostrej, bardzo kategorycznej formie. Ze skłonnością do krańcowości, charakteryzującej młodzież. Przeciwnością jej poglądom starszego pokolenia, ale dyskutują ze sobą wzajemnie. Rodzice często skłaniają się do idei młodych, a w każdym razie zawsze skłonni są wysłuchać ich z pełną tolerancją.

PANSTWO Eugeniusz i Stefania Budzyniowie z Watrelas mają czworo dużych dzieci. Najstarszy, 20-letni Bolesław jest malarzem. Uczęszcza do École Nationale Supérieure des Arts et Industries Textiles de Roubaix. Mimo takiej nazwy nie jest to szkoła nastawiona specjalnie na kształcenie artystów na użytek przemysłu tkackiego. Bolesława interesuje architektura wnętrz, estetyka przemysłowa, malarstwo, rzeźba. Jest na czwartym roku. Rysunkiem i malar-

stwem stalugowym pasjonował się zawsze. Nie pamięta momentu, od którego rozpoczęło się to zamiłowanie. Ponieważ w szkole średniej nie miał tych przedmiotów, po skończeniu jej poszedł do Centre d'Orientation Professionnelle, gdzie przeprowadzane są testy. Wynik ich utwierdził Bolesława w przekonaniu, że powinien iść drogą, którą sobie wybrał. Po skończeniu szkoły chciałby kontynuować studia w Paryżu, chyba w École des Arts Décoratifs. O ile Bolesław patrzy na sprawę wyboru kierunku studiów i przyszłej pra-

cy zawodowej z zupełnym spokojem, pewnością siebie, bez wahań, o tyle p. Eugeniusza Budzynia ogarniają często wątpliwości:

— Ja wiem, że musiał to wybrać. Interesuje go to, jest zdolny. Wierzę, że ma talent malarski, ale czy uda mu się dopiąć celu? Młodzi narażeni są na wielką konkurencję. Ja patrzę na sprawę również i z punktu widzenia praktycznego, którego młodzież na ogół nie uwzględnia w swym rozumowaniu. I dlatego niezupełnie zadowolony jestem z jego wyboru. Mam pewne wątpliwości i obawy...

Bolesław maluje obrazy pełne smutku, przesycone atmosferą bólu, złymi przeczuciami. To dzisiejsza epoka tak nastroja młodzieńca pesymizmem.

— Codziennie słyszymy wiadomości o wojnie, o nieszczęściach, o cierpieniu ludzi. Boję się tego świata i nienawidzę go. Telewizji już nie chcę oglądać,

bo mam już dosyć obrazów zła i krzywdy. Jeśli taki jest świat dzisiaj, co będzie jutro? O tym nie chcę w ogóle myśleć.

Od tego, co go przeraża w dzisiejszej epoce, wyzwała się malując. W swych surrealistycznych kompozycjach wyraża potworną absurdalność świata, działalności człowieka, która w konsekwencji obraca się przeciwko niemu samemu.

— Odpowiedzialność za to spada na samych ludzi. Ale nie można przeprowadzać podziału na dobrych i złych według wieku. Wprawdzie starsi rządzą światem, a młodzi kontestują, ale nie jestem zdania, że ludzkość dzieli się na złych starych i na młodych dobrych. Zli spośród starych są w każdym razie ci, którzy wszystko co nowe chcą uznać za niedobre.

Wyglądem zewnętrznym przypomina Bolesław zupełnie młodą panienkę. Nosi długie włosy, które falują i spadają mu do ramion. Nie traktuje tego jednak jako wyrazu protestu, jako manifestacji przeciw utartym zwyczajom. Długie włosy uważa za ozdobę. Gdyby mógł protestować przeciwko czemuś, co istnieje w dzisiejszym świecie, protestowałby przede wszystkim przeciwko wojnie. Mimo że nie wierzy w możliwość zmiany świata na lepszy. Jego zdaniem zło będzie istniało zawsze.

Bardzo krytycznie na świat otaczający patrzy również Bogusia. Jest to młodsza siostra Bolesława, uczennica klasy terminale:

— Postęp materialny, jaki dokonuje się na naszych oczach, jest bardzo duży, ale człowiek w tym wszystkim się niestety nie zmienia. I za to winę ponosi zespół, społeczeństwo. Młodzi są na ogół bardzo zapaleni, zwalczają to, co uważają za zło, za wyraz okrucieństwa panującego w XX wieku, ale za mało zastanawiają się nad programem działania. Tymczasem program taki jest niezbędny. Trzeba, żeby jednostka ludzka zaczęła się nareszcie liczyć i mogła świadomie tworzyć to, co jest jej do szczęścia potrzebne.

Pan Budzyń broni naszej epoki przed zbyt kategorycznym potępieniem. Z obławami okrucieństwa spotykamy się wprawdzie ciągle, ale postęp w świecie dokonał się na pewno. Gdyby zachowało się do dzisiaj okrucieństwo w dawnej formie, dzisiejszy człowiek nie zniósłby go. Byłoby to ponad jego siły, ponad granice jego wytrzymałości. Szkoda tylko, że XX wiek skłania nadmiernie do spraw materialnych, tłu-

W swych surrealistycznych kompozycjach stara się Bolesław wyrazić absurdalność naszego świata



Dalszy ciąg
na str. 37





Gdy tylko czuje się dobrze, obcina krzewy

LAŃCUCH przyjaciół i czytelników „Tygodnika Polskiego” w departamencie Landes rozpoczął się od pana **Jana Zołotara**, gdy przed kilku laty przeniósł się tutaj z Jarny we wschodniej Francji. Po ponad 28 latach pracy w kopalni rudy żelaza w Jarny i ciężkim wypadku przy pracy, lekarze poradzili panu Zołotarowi jako 75-procentowemu inwalidzie, posiadającemu w 100 procentach pylicę, przeniesienie się ze wschodniej Francji w okolice o łagodnym klimacie. I tak pan Jan Zołotar trafił do Saint-Pierre-du-Mont, na przedmieście Mont-de-Marsan w departamencie Landes.

Tutaj, w szpitalu w Mont-de-Marsan, spotkał swego czasu pielęgniarke, Polkę, zamężną za Francuzem, panią **Lalanne**. Pani Lalanne, którą losy wojenne rzuciły do Niemiec i następnie założyła rodzinę we Francji, ucieszyła się bardzo ze spotkania Rodaka. Pan Zołotar pokazał jej „Tygodnik Polski” i wkrótce pani Lalanne stała się prenumeratorką pisma. Ona z kolei spotkała jako pacjentkę w szpitalu panią **Katarzynę Śliwkę** z **Cazères s/Adour** i dała jej do przeczytania „Tygodnik Polski”. Po powrocie ze szpitala pani Katarzyna Śliwka namówiła sąsiadkę, panią **Klotyldę Nowicką** i wspólnie zaabonowały pismo. Oto i rodzina Czytelników „Tygodnika Polskiego” w departamencie Landes, która powstała dzięki panu Zołotarowi.

Do czytania „Tygodnika Polskiego” pan Jan Zołotar był przyzwyczajony jeszcze w Jarny, gdzie istnieje do dziś liczna kolonia polska. Również sędziwi dziś już rodzice pani **Eleonory Zołotarowej**, z domu **Kolerkiej**, mieszkający w **Hagondange** we wschodniej Francji, są prenumeratorem i wiernymi czytelnikami „Tygodnika Polskie-

ŁAŃCUCH wzrostu PRZYJACIÓŁ

Jak rośnie „TYGODNIK POLSKI”

go”. Z przyzwyczajeniem czytania polskiego pisma państwo Zołotarowie przybyli więc do departamentu Landes.

Tutaj mają piękny domek z ogródkiem którym szczeni się pan Zołotar. Gdy tylko czuje się dość dobrze, obcina swoje krzewy, hoduje piękne róże. Za rodzicami ściągnęły do południowo-zachodniej Francji i trzy córki państwa Zołotarów — **Janina, Irena i Zosia** — dziś już wszystkie mężatki. Jedna córka zamieszkała w **Bordeaux**, druga 30 km od domu rodzicielskiego, a najmłodsza mieszka w **Mont-de-Marsan**. Dom państwa Zołotarów jest więc stale pełen. Dzieci chętnie przyjeżdżają do rodziców, wnuki również. Najbardziej przywiązana jest do dziadków najstarsza wnuczka, **Rachel**, licząca dziś 14 lat. W sumie cała rodzina liczy 13 osób.

Pan Jan Zołotar ma w Rzeszowskim dwóch braci, których odwiedził dwa lata temu, pani Eleonora zaś pochodzi z powiatu wieluńskiego. Jest więc i liczna rodzina w Polsce, którą chce się od czasu do czasu odwiedzić.

— A czy Rachel była już w Polsce? Nie chciałaby pojechać na kolonie letnie, tak jak inne dzieci z okolic Paryża, z północnej i wschodniej Francji, z okolic Lyonu i Normandii?

— Gdzie tam by ona sama pojechała na kolonie bez babci? — śmieje się pani Zołotarowa. — Ona przecież stale jest u nas...

Zgodna, serdeczna rodzina, radość z dzieci i wnuków są chyba najlepszą zapłatą za trudne życie pana Jana Zołotara. Dodajmy do tego wielką rodzinę Czytelników „Tygodnika Polskiego”, życzących mu zdrowia i długich lat życia.

Urszula KOZIEROWSKA



Rachel często pomaga dziadkowi w zajęciach



Jabłka tego roku nieźle obrodziły

„Tygodnik Polski”

W
KAŻDYM
POLSKIM
DOMU!



Postaraj się, by w każdym domu polskim, jaki znasz, znalazł się „TYGODNIK POLSKI” — jedyne polskie pismo ilustrowane, wychodzące we Francji i Belgii.

Prenumerata dla Francji wynosi:

kwartalna — 9 franków,
półroczna — 15 franków,
roczna — 25 franków,

dla Belgii:

kwartalna — 90 franków belgijskich
półroczna — 150 franków belgijskich
roczna — 250 franków belgijskich

ZDJĘCIA: Władysław SŁAWNY

WIELKI KONKURS ŚWIĄTECZNY Z NAGRODAMI

GRAND CONCOURS AVEC NOMBREUX PRIX

W

WIELKI ŚWIĄTECZNY KONKURS Z NAGRODAMI należy już dziś do wieloletniej tradycji „TYGODNIKA POLSKIEGO”. Czytelnicy polubili go, domagają się go i w okresie jego trwania szczególnie rozglądają się wokół siebie, by rozszerzyć grono prenumeratorów „Tygodnika Polskiego”, przysporzyć mu nowych Czytelników i tym samym wziąć udział w losowaniu atrakcyjnych nagród.

A więc, jak co roku, ogłaszamy **WIELKI KONKURS ŚWIĄTECZNY Z NAGRODAMI** i serdecz-

nie wszystkich zapraszamy i zachęcamy do wzięcia w nim udziału.

C'est devenu déjà une tradition que „LA SEMAINE POLONAISE” organise à l'occasion des fêtes de Noël UN GRAND CONCOURS AVEC DE NOMBREUX PRIX. Chacun peut y prendre part, chacun a une chance de remporter l'un des nombreux prix.

Nous vous invitons cordialement à participer tous à notre GRAND CONCOURS et à élargir le cercle des lecteurs et des amis de „LA SEMAINE POLONAISE”.

REGULAMIN KONKURSU — REGLEMENT DU CONCOURS

1. W konkursie ma prawo wziąć udział każdy stały prenumerator „Tygodnika Polskiego”, jak również wszyscy Czytelnicy i Sympatycy pisma oraz ci, którzy pragną zostać stałymi Czytelnikami „Tygodnika Polskiego”.

Le concours est ouvert à tous les abonnés, à tous les lecteurs et sympathisants, ainsi qu'à tous ceux qui désirent eux-même devenir des lecteurs de „LA SEMAINE POLONAISE”.

2. W losowaniu atrakcyjnych nagród, które ogłaszamy obok, może wziąć udział każdy dotychczasowy prenumerator „Tygodnika Polskiego”, jeżeli: zwerbujecie spośród swoich krewnych, przyjaciół, znajomych co najmniej jednego nowego abonenta „Tygodnika Polskiego” i przysłać pod adresem „LA SEMAINE POLONAISE” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème mandat z roczną prenumeratą, wynoszącą dla Francji 25 F, zaś dla Belgii 250 fr. belgijskich, z zaznaczeniem „WIELKI KONKURS” oraz poda swoje nazwisko, imię i adres.

Chacun des abonnés actuels de „LA SEMAINE POLONAISE” peut participer au tirage au sort des prix, à condition de recruter parmi ses parents, amis ou connaissances au moins un nouvel abonné à „LA SEMAINE POLONAISE” et d'envoyer à notre adresse — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème un mandat pour le montant d'un abonnement d'un an (25 fr. ou 250 fr. belges) en précisant „GRAND CONCOURS” et indiquant ses nom, prénom et adresse.

3. Im więcej nowych Czytelników, którzy za rok z góry opiąca mandatami prenumeratą „Tygodnika Polskiego”, zwerbujecie nasz dotychczasowy prenumerator i zgłoszą swój udział w konkursie, tym więcej razy bierze udział w losowaniu:

a) zgłaszając jednego nowego abonenta dotychczasowy nasz prenumerator bierze jeden raz udział w losowaniu nagród (otrzymuje jeden „bon de participation”);

b) zgłaszając co najmniej trzech nowych abonentów i przysyłając mandaty z roczną prenumeratą dla nich, nasz dotychczasowy prenumerator bierze pięciokrotnie udział w losowaniu nagród (otrzymuje 5 „bons de participation”);

c) zgłaszając co najmniej pięciu nowych abonentów i przysyłając mandaty z roczną prenumeratą dla każdego z nich, dotychczasowy prenumerator bierze dziesięciokrotnie udział w losowaniu nagród (otrzymuje 10 „bons de participation”).

Chaque participant peut augmenter ses chances:

a) pour un abonné nouveau, il reçoit un „bon de participation” au tirage au sort;

b) pour trois abonnés nouveaux, il multiplie ses chances non par trois mais par cinq, en recevant cinq „bons de participation”;

c) en recrutant au moins cinq abonnés nouveaux et en envoyant autant de mandats, il participe dix fois au tirage des prix, en recevant dix „bons de participation”.

4. W losowaniu nagród biorą też udział wszyscy nowi prenumeratorzy, którzy zwerbowani przez dotychczasowych prenumeratorów i za ich pośrednictwem nadesła pod adresem redakcji mandat z roczną prenumeratą, bądź też przeczytaw-

szy w „TYGODNIKU POLSKIM” warunki konkursu przysła sami, bezpośrednio pod adresem redakcji („La Semaine Polonaise” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème) opłatę rocznej prenumeraty (dla Francji — 25 F, dla Belgii — 250 fr. belgijskich) i zaznacza na mandacie **WIELKI KONKURS**.

Participent également au tirage des prix tous les nouveaux abonnés qui, soit directement, soit recrutés par d'autres abonnés et par leur entremise auront envoyé un mandat à notre adresse, selon les conditions énumérées au point 2.

5. Termin nadsyłania mandatów z roczną prenumeratą oraz dopiskiem **WIELKI KONKURS** jak również zgłoszenia dotychczasowych prenumeratorów o zwerbowaniu nowych abonentów upływa z dniem 1 maja 1971 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Le délai d'envoi des mandats prend fin le 1 mai 1971 (le cachet postal en fera foi).

6. Komisyjne losowanie podanych obok nagród **WIELKIEGO KONKURSU** odbędzie się w lokalu redakcji „LA SEMAINE POLONAISE” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème, przy udziale komisji redakcyjnej, mecenasa czuwającego nad prawidłowym przeprowadzeniem losowania oraz zaproszonych Czytelników „Tygodnika Polskiego”.

Le tirage au sort des prix sera effectué dans les locaux de notre rédaction par une commission spéciale sous la surveillance d'un conseiller juridique et en présence de lecteurs de „LA SEMAINE POLONAISE” invités à cet effet.

7. Wyniki losowania nagród **WIELKIEGO KONKURSU** i lista nagrodzonych osób ogłoszone zostaną na łamach „Tygodnika Polskiego” w dniu 31 maja 1971 r.

Les résultats du GRAND CONCOURS et la liste des gagnants seront publiés dans „LA SEMAINE POLONAISE” du 31 mai 1971.

NAGRODY — PRIX

1. Przelot samolotem PPL „LOT” z Paryża do Warszawy i z powrotem dla jednej osoby i 10-dniowy pobyt w Kraju latem 1971 roku ze zwiedzaniem Warszawy i Krakowa.

Voyage en avion PLL „LOT” Paris-Varsovie et retour, 10 jours en Pologne en été 1971 avec visite de Varsovie et Cracovie (pour une personne).

2. Przyjazd do Paryża ze swego miejsca zamieszkania i z powrotem, latem 1971 roku, 3-dniowy pobyt w Paryżu połączony ze zwiedzaniem związanych z Polską zabytków, zorganizowany przez „TYGODNIK POLSKI”.

Trois jours à Paris (voyage aller-retour payé du lieu de résidence) avec visite des monuments et souvenirs de la capitale se rapportant à la Pologne — sous la conduite de „LA SEMAINE POLONAISE”.

3. Elektrofon walizkowy

Un électrophone portatif.

4. 10 płyt polskich.

10 disques polonais.

5. Polski obrus wyszywany lniany + 6 serwetek.

Une nappe brodée et 6 serviettes en lin de Pologne.

6. Polski obrus wyszywany lniany.

Une nappe brodée en lin de Pologne.

7. Polski komplet do kawy — lniana serwetka i 6 serwetek.

Complet pour un service à café (une nappe

8. Radio tranzystorowe.

et 6 serviettes polonaises).

Un poste de radio à transistors.

9. 5 płyt polskich.

5 disques polonais.

10. Polska serweta wełniana (pasiak łowicki).

Serviette décorative de la région de Łowicz.

11. Polska poduszka wełniana.

Un coussin de laine polonais fait main.

12. 10 książek polskich.

10 livres polonais.

13. 8 książek polskich.

8 livres polonais.

14. 12 polskich ręczników lnianych.

Un complet de 12 torchons de lin de Pologne.

15. Żelazko elektryczne.

Un fer à repasser électrique.

16. Ekspres do kawy.

Un express à café.

17. Suszarka do włosów.

Un sècheur à cheveux.

18. 6 polskich ręczników lnianych.

6 torchons de lin de Pologne.

19. Elektryczny młynek do kawy.

Un moulin à café.

20. 3 polskie ręczniki lniane.

3 torchons de lin de Pologne.

oraz 20 nagród pocieszenia

et 20 lots de consolation.



O Zygmuncie Biernackim z Vendin-le-Vieil (Nord)

Niedawno temu odbył się w Lens (Pas-de-Calais), regionalny „Salon du Mineur” („Salon Górników”) — wystawa, na którą złożyły się obrazy, gwasze, rzeźby i fotogramy będące dziełem górników i innych pracowników kopalń tamtejszego okręgu węglowego. Najlepsze z eksponowanych w Lens prace wystawione zostaną w grudniu w Douai (Nord), na szóstym już z kolei centralnym „Salonie Górników” (salony takie dyrektora północnego zagłębia urządza co trzy lata). Wśród tych wytypowanych na salon centralny prac znajdują się z pewnością dzieła najciekawszych samorodnych artystów pochodzenia polskiego z okręgu Lens, mianowicie rzeźby MARIANA KWA-SIGROCHA i obrazy RAJMUNDA JUSKOWIAKA, a także i kompozycje naszego dzisiejszego rozmówcy ZYGMUNTA BIERNACKIEGO z Vendin-le-Vieil.



ZYGMUNT BIERNACKI jest synem emigrantów polskich pochodzących z Poznańskiego. Urodził się w Lens w rok po przybyciu rodziców do Francji, to znaczy czterdzieści osiem lat temu. Pracuje jako malarz pokojowy w dziale budowlanym okręgu węglowego Lens. Zanim uzyskał tę pracę, był — przez całe jedenaste lat — górnikiem. Rysunkiem i malarstwem pasjonuje się od najmłodszych lat — pamięta, że w szkole podstawowej, do której uczęszczał, nauczyciele zdobili ściany klas namalowanymi przez niego obrazkami.

— Ale poważnie prowadzić romans z malarstwem artystycznym zacząłem dopiero po wojnie — tłumaczy. — Dwadzieścia kilka lat temu, w r. 1947 czy też 1948, dokładnie już nie pamiętam, spotkałem człowieka, który studiował malarstwo w paryskiej szkole im. Germain Pilon i dopiero dzięki niemu uświadomiłem sobie, że dla mnie świat składa się przede wszystkim z barw, linii, światła i cieni, czyli z obrazów. Pan Desmet — tak się ten nieżyjący już dzisiaj pierwszy mój przewodnik po krainie sztuki nazywał — zapoznał mnie z tajemnicami palety i wyczuł mi na urodę świata. Dzięki jego wskazówkom zacząłem dość możliwie malować. W r. 1947 Akademia w Arras przyznała mi nawet za moje prace dwa brązowe medale. Ale ja byłem podówczas od niedawna żonaty i w związku z tym — wiecie, jak to jest — po pierwszych uniesieniach wrodzony mój zapał do malarstwa trochę ostygł...

Nowy przyływ entuzjazmu poczułem dopiero w początku lat pięćdziesiątych i wtedy zacząłem malować na dobre. Początkowo malarstwo stanowiło dla mnie rozrywkę, było ono po prostu zajęciem uprzyjemniającym wolne chwile, ale w miarę upływu lat traktowałem je coraz poważniej. Dzisiaj jest ono moją pasją. Nie potrafię sobie teraz wyobrazić życia bez możliwości malowania. Nie wierzę już dzisiaj także, iż żeby być dobrym malarzem, wystarczy mieć talent. Jeśli nie chodzi o w parze z wyłożoną pracą, talent jest tylko fajerkierem, wiązką sztucznych ogni. Trzeba pracować — innego przepisu na dobry obraz nie ma.

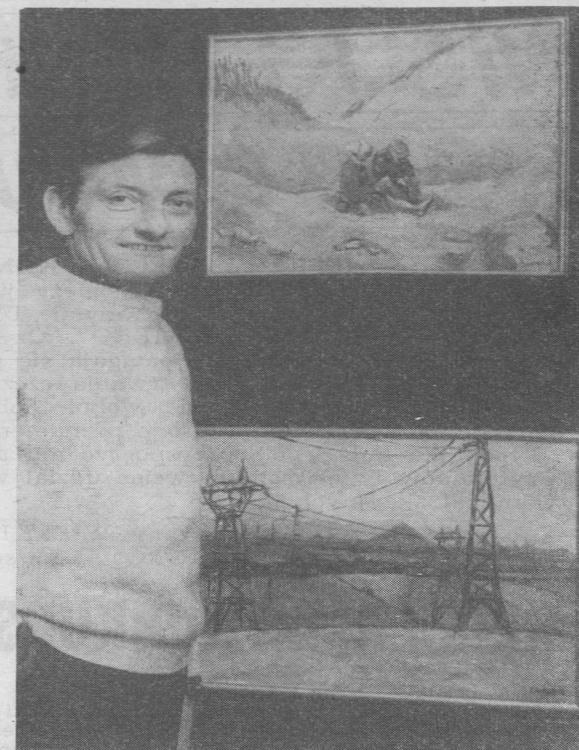
Praca twórcza jest wyczerpująca, to prawda, i w dodatku niejednokrotnie bywa ona daremna, ale z drugiej strony napawa człowieka niewymowną wprost radością. Ja nie maluję codziennie, bo ja należę do tych malarzy, którzy przed przystąpieniem do właściwej pracy długo pieszczą, hołubią w sobie swoją wizję. Temat musi najpierw we mnie dojrzeć. Ale zawsze mam przy sobie szkicownik, który wypełniam rysunkami różnych widoków i sylwetkami ludzi. Moje

obrazy często rodzą się z takich właśnie na gorąco poczynionych notatek. *Co maluję?* Ja, widzicie, jestem realista, ale staram się zaprawiać realizm wzruszeniem, liryzmem, poezją. Uprawiam głównie malarstwo pejzażowe. Większość moich obrazów przedstawia krajobrazy naszego Nordu, bo z tą ziemią jestem najbardziej związany — i znajduję upodobanie w odtwarzaniu jej surowej urody...

...*Czym jest dla mnie malarstwo?* — Jest to zajęcie, które pozwala mi wyrazić zachwyt, jaki budzi we mnie światło, słońce, świat, i dzielić się tym zachwytem z innymi ludźmi...

Jakich malarzy uważam za swoich mistrzów? Impresjonistów, a przede wszystkim Moneta, Degasa i Pissara. Rozmiłowany jestem także w malarstwie Van Gogha. Nie poprzestaję oczywiście na podziwianiu ich obrazów. Czytam książki poświęcone ich życiu i twórczości, staram się zrozumieć, jak oni malowali i dlaczego malowali właśnie tak, jak malowali, a nie inaczej. Jak widzicie, mam tutaj na półce „Historię nowoczesnego malarstwa”, monografie o Degasie i Cézannie, itd. Trzeba czytać. Przecież tylko w ten sposób można się dowiedzieć, jakie były początki sztuki i jak ona się rozwijała. Trzeba się tym wszystkim interesować, to też jest potrzebne. Trzeba, że tak powiem, być ciekawym...

...*Czy wystawiam swoje obrazy?* — Oczywiście. Od siedemnastu lat należę do stowarzyszenia zrzeszającego „Niezależnych Artystów z Lens i okolicy” („Artistes Indépendants de Lens et environs”). Stowarzyszenie to urządza każdego roku lokalny „Salon Niezależnych”, i ja, rzecz jasna, uczestniczę w tych salonach. Każdego roku wystawiam także swoje obrazy w Arras, często biorę udział w różnych ekspozycjach organizowanych w takich miastach jak Béthune, Saint-



Pol, Saint-Omer, Hesdin, a poza tym prezentuję także swoje prace na salonach górniczych. Raz — było to w r. 1961 — jeden z moich obrazów wystawiony został nawet na „Salonie Niezależnych” w Grand Palais w Paryżu. A niedawno temu — w zeszłym roku — odbyła się w Lens moja pierwsza wystawa indywidualna. Urządziła ją w swojej otwartej kilka lat temu przy avenue Van Pelt w Lens galerii nasza tutejsza protektorka sztuk pięknych — pani Zehnder. Miałem dobrą prasę. Było to dla mnie wielkie wydarzenie...

— No i dla nas też — dopowiada obecna przy naszej rozmowie pani Biernacka. — Trzeba wam wiedzieć, że mąż tą swoją pasją malarską zaraził całą rodzinę. Ilekroć gdzieś wyjeżdżamy, zawsze wszyscy przygotowani jesteśmy na to, że będziemy musieli parę razy zatrzymać się w drodze, żeby mąż mógł rysować, i to nam się wydaje całkiem naturalne, nikt z nas przeciwko temu nie protestuje. My też już połknęliśmy bakcyl malarstwa, powiadam wam...

Le réalisme poétique de Sigismond Biernacki

„Il se dégage de ses oeuvres une chaleur communicative”, „c'est le peintre de la nuance. Nous avons particulièrement admiré sa „Baie d'Authie”, où quelques personnages se détachent sur un fond de mer, alors qu'au premier plan on ne voit que sable et eau”; „c'est assez dire la valeur artistique des tableaux de M. Biernacki, dont les amateurs de peinture ont déjà eu l'occasion d'admirer le réalisme et la sincérité, notamment à l'occasion du Salon du Mineur” — les journaux du bassin minier du Pas-de-Calais et du Nord sont unanimes à louer son talent. Il s'appelle Sigismond Biernacki. Il habite Vendin-le-Vieil (Pas-de-Calais). Il est né il y a quarante huit ans à Lens, un an à peine après que ses parents, des Polonais originaires de la région de Poznań, étaient arrivés en France. Il fut d'abord pendant onze ans mineur de fond. Actuellement, il travaille au service des constructions du groupe minier de Lens comme peintre en bâtiment et tapissier. Depuis plus de vingt ans déjà, il consacre toutes ses heures de loisir à la peinture — non pas à la peinture en bâtiment, bien sûr, mais à la vraie peinture, à celle dont Léonard de Vinci a dit qu'elle est „une poésie qui se voit au lieu de se sentir”.

— A vrai dire, l'histoire de ma dévotion pour la peinture se confond avec celle de ma vie — dit-il. Dès ma plus tendre enfance, j'éprouvais une certaine attirance pour les arts graphiques. Je me souviens qu'à l'école, mes dessins ornaient les murs de la classe. Mais cet amour de la peinture demeura longtemps à l'état de nébuleuse. Ce n'est qu'en 1947 ou 1948 que j'ai fait la connaissance d'un homme — un ancien élève de l'école Germain-Pilon de Paris, M. Desmet — qui me révéla à moi-même, et ce n'est qu'au début des années cinquante que je me suis mis à peindre tout de bon. Au début, la peinture n'était pour moi qu'un amusement. Mais depuis quelques années, elle est devenue une nécessité intérieure, une passion, un besoin tellement impérieux qu'il faut que je l'assouvisse journellement. Qu'est-ce que l'art, pour moi? Un moyen d'accéder au beau. Oui, c'est un pouvoir qui se conquiert — on n'arrive au style qu'avec un labeur atroce, vous savez — et qui me permet d'avoir commerce avec la beauté.

...Je dois beaucoup aux impressionnistes, et particulièrement à Monet, Degas et Pissaro. J'ai aussi de la vénération pour Van Gogh. Je suis un peintre figuratif, et même un peintre réaliste, mais mon réalisme est matiné de poésie, tamisé par une façon de lyrisme. J'aime beaucoup à peindre les paysages de notre région, et surtout les bords de mer. Il me semble que ma palette est en harmonie avec cette terre où je suis né. Comme vous avez pu vous en rendre compte, les toiles que j'ai exposées au Salon du Mineur qui vient de se tenir à Lens — „Befroi de Béthune”, „Rivière à Maroeuil”, „Coucher de soleil à Berck”, etc. — représentaient presque toutes des vues du Pas-de-Calais.

...Depuis quelque dix-sept ans déjà, je fais partie de l'association des „Artistes Indépendants de Lens et environs”. Chaque année, cette association organise une exposition — le Salon annuel des Artistes Indépendants — et naturellement, je participe à ces expositions. J'expose aussi fréquemment mes toiles à Hesdin, Saint-Omer, Saint-Pol, Arras, Béthune, et une fois — c'était en 1961 — il m'est même arrivé d'avoir les honneurs de la cimaise du Salon des Indépendants à Paris. Evidemment, je prends part aussi aux Salons du Mineur, qui ont lieu tous les trois ans. Au dernier de ces Salons, en 1967, une de mes toiles — la „Cueillette des moules” — a été retenue pour le calendrier des Houillères de 1969.

...Dernièrement, Mme Zehnder — cette généreuse protectrice lensoise des arts qui il y a quelques années a ouvert une galerie avenue Van Pelt pour encourager les peintres et les sculpteurs de notre région — a bien voulu accueillir mes toiles chez elle. C'était ma première exposition individuelle, un des plus beaux moments de ma vie...



Rewelacje z tamtego wieku

Polonica w „biblii francuszczyzny”

ŻYCIORYS MAXIMILIEN-PAUL-EMILE LITTRÉ ♦ TYTAN PRACY WIĘKSZY OD KRASZEWSKIEGO ♦ „SŁOWNIK” O 415 TYS. STRON ♦ HASŁA DOTYCZĄCE POLSKI ♦ SKĄD CYRANO DE BERGERAC ZACZERPNĄŁ TEMAT DO „PODRÓŻY NA KSIĘŻYC” ♦ MODEL MASZYNY DO LATANIA PRZYWIEZIONY Z POLSKI ♦ CZEGO NIE WIEMY O SŁOWIE „CRACOVIA”

W „Nurcie” — cyklu esejów biograficznych poświęconych ludziom z przełomu wieków XVIII i XIX, którzy „poculi się po raz pierwszy na silach, by wziąć na swe barki dziejowe brzemie — odnowy ducha polskiego” — znakomity pisarz **Wacław Berent** (1873—1940) powiada o redaktorze wychodzącego w latach 1769—1777 w Warszawie pisma „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne” i pierwszym prezesie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uczonym **Janie Albertrandim**, iż był on „worem erudycji, potworem pamięci a mułem pracowitości”. Słowa te z powodzeniem odnieść można do dziewiętnastowiecznego uczonego i pisarza francuskiego **Emila Littré**. Podobnie jak Albertrandi był Littré fenomenalnym erudyta i tytanem pracy — ale Littré był w dodatku człowiekiem kryształowym, podczas gdy Albertrandi splamiał się obrzydliwym oportunistycznym wobec Prusaków [„w obecności generałów pruskich jał wywodzić na jednym z pierwszych posiedzeń Towarzystwa (Przyjaciół Nauk — przyp. red.), o potrzebie «przelania narodowości (polskiej) w bryłę narodu potężniejszego» (pruskiego)” — pisze Berent].

Maximilien-Paul-Emile Littré urodził się w Paryżu 1 lutego 1801 r. Wykształcenie średnie odebrał w liceum Louis-le-Grand. Po ukończeniu liceum postanowił zostać lekarzem i zapisał się na medycynę, ale mimo to nie zaprzestał uprawiać swoich ulubionych dyscyplin, to znaczy literatury i filozofii.

W r. 1827, akurat wtedy, kiedy miał uzyskać stopień doktora medycyny, musiał z powodu ciężkiej sytuacji materialnej, w jakiej znajdowała się jego rodzina, zaniechać nauki, zrezygnować z kariery lekarskiej i zająć się zarabianiem na chleb dla swoich bliskich. W r. 1830 wziął udział w rewolucji lipcowej, a w rok później zaczął pracować w piśmie „Le National”.

W r. 1840 Littré poznał twórcę pozytywizmu (pozytywizm był to kierunek filozoficzny, który pojmował naukę jako badanie faktów pewnych i ścisłych, oparte na metodzie nauk przyrodniczych, i wskazywał na społeczne konsekwencje i społeczne uwarunkowanie nauki) **Auguste Comte** i stał się jego wyznawcą. W r. 1863 kandydował do Akademii Francuskiej, ale na skutek sprzeciwu biskupa Dupanloup, w oczach którego uchodził za wcielenie ateizmu, materializmu i socjalizmu, w poczet „nieśmiertelnych” zaliczony wówczas nie został.

Członkiem przestawnej tej instytucji wybrano go dopiero osiem lat później, to znaczy w r. 1871. Fakt, iż człowiek głoszący, że katolicyzm jest „naturalnym przeciwnikiem wszystkich wolności” zdołał jednak zasiąść w akademickim fotelu, tak oburzył biskupa Dupanloup, że wystąpił on z Akademii.

W pierwszych latach trzeciej republiki Littré wywierał na społeczeństwo francuskie ogromny wpływ moralny. W r. 1871 został członkiem Izby Deputowanych z ramienia Paryża, a w r. 1875 nieusuwalnym senatorem. Zmarł 2 czerwca 1881 r. Według niepewnej autentyczności wiadomości, na łożu śmierci miał ulec naleganiom rodziny i wrócić na łono Kościoła. W ostatnich latach życia był tak schorowany, że nie opuszczał już ani na krok swego pokoju. Rano noszono go z łóżka do biurka, a wieczorem od biurka do łóżka. Łada potrzebnie przyprawiała go o straszliwe bóle. Jedyną jego rozrywką było tłumaczenie „Piekiła” Dantego na trzynastowieczną francuszczyznę. Przekładu tego dokonał pokurczoną od reumatyzmu ręką, z palców powypadały mu paznokcie. Wynałazca szczepionki przeciwko wścieklicznie wielki uczyony **Louis Pasteur**, który po jego śmierci zajął jego miejsce w Akademii Francuskiej, nazwał go „laickim świętym”.

Littré pozostawił po sobie ogromną spuściznę naukową i literacką. Pracowitością przewyższył on wszystkich tytanów pracy, nie wyłączając **Józefa Ignacego Kraszewskiego**. Do najważniejszych jego prac zalicza się przekład dzieł słynnego starożytnego lekarza **Hipokratesa**, „Historię języka francuskiego” i — przede wszystkim — „Słownik języka francuskiego”. O tej „biblii francuszczyzny” Pasteur powiedział, że jest ona prawdziwym pomnikiem narodowym. Littré pracował nad swoim „Dictionnaire de la Langue française” piętnaście lat, po osiemnaście godzin dziennie. Rękopis „Słownika” liczył 415.000 stron. Littré obliczył, że gdyby uszeregowano wszystkie strony „Słownika” w jedną kolumnę, kolumna ta miałaby ponad 37 kilometrów długości...

W tej „biblii francuszczyzny” znajduje się sporo poloników, to znaczy cytatów bądź też własnych zdań Littré dotyczących Polski lub Polaków. Hasło **brat** na przykład zilustrował Littré zdaniem: „Francuzi i Polacy są braćmi”; w tekście ilustrującym rzeczownik **braterstwo** wspominał o „braterstwie broni, jakie w

czasie ostatnich wojen istniało między Francją a Polską”. W artykule dotyczącym czasownika **voler** (latać, fruwać), zacytował zdanie ze „Słownika francuskiego” siedemnastowiecznego leksykografa **Pierre-César Richelet** o **Tytusie Liwiuszu Boratynim**. Boratyni za panowania **Władysława IV** prowadził w Polsce mennicę królewską, a poza tym zajmował się wieloma zagadnieniami, m.in. pracował nad uzupełnieniem odkryć i wynalazków **Archimedes**a i **Galileusza**, robił doświadczenia z wahadłem, zaprojektował system miar powszechnych, a wreszcie zajął się problemem zbudowania statku latającego „cięższego od powietrza”.

Na marginesie warto dodać, że Francuz **Abel Mansuy** stawia w pracy pt. „Le Monde Slave” hipotezę, że „latający smok” Boratyniego (taką ów „cięższy od powietrza” statek otrzymał nazwę), nasunął pisarzowi francuskiemu **Cyrano de Bergerac** pomysł fantastycznej powieści zatytułowanej „Podróż na Księżyc”. Do opinii tej przychyłają się także i niektórzy badacze polscy. „Nie jest rzeczą pewną — powiadają oni — czy **Cyrano** był w Polsce, ale wiadomo, że w okresie, kiedy **Władysław IV**, królowa (**Maria Ludwika Gonzaga**), i **osobisty sekretarz królowej Des Noyers** zaprzętałi sobie głowy „latającym smokiem” **Boratyniego**, **kardynał Mazarin** wysłał do Warszawy księcia **d’Arpajon**, **markiza de Sevérac**, w celu doręczenia polskiemu monarsze wielkiej wstęgi **Orderu św. Ducha** i przypomnienia mu o **alianse** z **Francją**. Jeżeli nawet **Cyrano** nie znalazł się wtedy w Warszawie, to będąc w zażyłych stosunkach z domem **d’Arpajonów**, znał szczególnie podróży i pobytu w Polsce delegacji francuskiej i zapewne słyszał także i o „smoku”. Otóż dzięki Littré jesteśmy w stanie poinformować zajmujących się tą sprawą uczonych, że **Cyrano** wcale nie potrzebował dopytywać **d’Arpajonów** o „smoka”, bowiem — cytujemy za Littré zdanie ze „Słownika francuskiego” **Richeleta** — „**Boratyni**, **zarządca mienicy króla Polski**, przywiózł do Francji w siedemnastym wieku model maszyny do fruwania”...

W „Dictionnaire de la Langue française” umieścił również Littré słowo **Kraków**. W hasło **Cracovie** pisze on o „**Arbre de Cracovie**”, najsłynniejszym z drzew istniejącego po dziś dzień paryskiego **Jardin du Palais-Royal**. Drzewo to zostało ścięte w r. 1781. Było to drzewo, pod którym zbierali się nowinkarze i plotkarze — powiada Littré, i dodaje,

że według językoznawcy **Eman Martin**, nazwa „**Drzewo Krakowskie**” tłumaczy się grą słów między **craque** (kłamstwo, przechwałki) a **Cracovie**. Za innym językoznawcą, **Francisque Michel**, podaje Littré także, że w dawnych czasach w położonej w departamencie **Lot-et-Garonne** miejscowości **Moncrabeau** istniała karczma zwana „**Hôtel de Cracovie**”, której właściciel sprzedawał „dyplomy kłamstwa”. Zartownisie i kawalarze wysyłali takie dyplomy znanym sobie samochwalcom i kłamczuchom. Stąd, być może, od tej karczmy i od tych dyplomów, wzięła się nazwa drzewa, pod którym zbierali się niegdyś najprzedniejsi paryscy plotkarze.

Poza tym Littré cytuje również zdanie z „**Historii Napoleona i Wielkiej Armii w 1812 r.**” **generała i historyka francuskiego Philippe-Paul de Ségur**, w którym jest mowa o bohaterstwie walczących u boku armii napoleońskiej Polaków, podaje fragment jednej ze słynnych mów pogrzebowych **Bossueta** — mowy poświęconej **Marii Ludwice Gonzadze** (żonie **Władysława IV** i **Jana Kazimierza**) — w której największy z kaznodziejów francuskich wspomina o wojnach polsko-kozackich i o szwedzkim „potopie”, i fragmenty dzieła, jakie poświęcił Polsce znakomity francuski pisarz osiemnastowieczny **Jan Jakub Rousseau**. Warto o tym wiedzieć, warto zwłaszcza wiedzieć o tym, że w „Słowniku” Littré figurują zdania: „**Francuzi i Polacy są braćmi**” i: „**Braterstwo broni**, jakie w czasie ostatnich wojen istniało między Francją a Polską”, bowiem świadczą one o tym, że „laicki święty” dażył Polskę sympatią.

S. K.

ZBRODNIA INSPIRACJĄ OBRAZU

Muzeum Galliera w Paryżu wystawiło obrazy znanego malarza **Bernarda Lorjou**. Inspiracją tych obrazów stała się okrutna zbrodnia jakiej dokonano na amerykańskiej aktorce **Sharon Tate**, żonie polskiego reżysera **Polańskiego**. „Wybrałem to wydarzenie — mówi **B. Lorjou** — ponieważ wydaje mi się charakterystyczne dla naszej epoki. Zabójstwo to było okropności i diaboliczności tej zbrodni. Nie wiązałem się brudnymi detalami tego wydarzenia i moja bohaterka — kobieta — nie przypomina **Sharon Tate**. Pragnąłem jedynie ukazać jej piękność i młodość”. Warto dodać, że malarz ten pragnie dziełem swym spełnić tę samą rolę, jaką na początku XIX w. spełnił obraz słynnego malarza **Gericault** **Tratwa „Meduzy”**, w którym pod pretekstem aktualnego wydarzenia autor starał się wyrazić treści ogólnoludzkie, stosując jako pierwszy romantyczną metaforę. Czy mu się to udało? Czas pokaże.

Witold ZECHENTER

„POLSKA ZWYCIĘŻY” - głosił Wiktor Hugo

GDYBY zebrać wszystkie głosy cudzoziemskich autorów o Polsce — o ile w ogóle byłoby możliwe przeprowadzenie dokładnego i skrupulatnego takiego planu — powstałoby dzieło rozciągnięte chyba na dziesiątki tomów. Można by się pokusić o zebranie głosów o Polsce przynajmniej jednej literatury na przykład Francji. I w tym jednak wypadku byłby to olbrzymi tom, raczej chyba kilka tomów.

Poczesne miejsce w takim dziele zajęłyby wtedy prawdziwy tytan literatury francuskiej ubiegłego stulecia, autor wciąż czytany nie tylko we Francji, ale w całym świecie — Wiktor Hugo. Rocznicę jego urodzin i śmierci są stale obchodzone. Tak samo i w tym roku osiemdziesięciolecie jego zgonu było święcone uroczystościami, o których rozpisywało się prasa, a ich centralnym punktem było składanie wieńców na sarkofagu autora „Nędzników”, który — jak wiadomo — pochowany został w Pantheonie.

W jakimś sensie Wiktor Hugo jest wykładnikiem tego wszystkiego, co szlachetne i postępowe. Walczący liberał, nieprzejednany wróg tyranii, dobrowolny wygnaniec z ojczyzny, czynny uczestnik rewolucji w okresie Wiosny Ludów, obrońca Komuny Paryskiej, Hugo przez lat kilkadziesiąt stał niezmordowanie w ogniu walki ze wszystkim, co było wstecznością, niewolą, ciemnotą. Jego nazwisko sygnuje najwspanialsze wloty wolnościowe ubiegłego stulecia, jest symbolem postępu, umiłowania wolności, walki z krzywdą społeczną.

Miał Wiktor Hugo ściśle kontakty z Polską i Polakami, niektóre zresztą do dziś dnia przez historyków nie ujawnione i nie opracowane. W jego korespondencji znajduje się wiele listów do Polaków i bardzo wiele o Polakach, niejednym raz występował on w sprawach polskich w Konstytucyjnym i w Senacie, a także piórem upominał się o polskie sprawy. Można by więc wiele rzeczy bardzo interesujących przypomnieć i ukazać piękną postać tego pisarza, żołnierza wolności jako wielkiego przyjaciela Polski.

Byłoby sporo do cytowania z twórczości Wiktora Hugo, odnoszącej się do spraw polskich. Swego czasu, parę lat przed wojną, wygrzebywałem takie polonika i przetłumaczyłem wtedy kilka fragmentów pisarskich autora „Nędzników”, odnoszących się do powstania styczniowego.

W roku 1863 ukazał się poemat

„Chants du crepuscule” („Pieśni zmierzchu”), w nim zaś znajdują się takie strofki poświęcone powstaniu styczniowemu:

„Smutna Polsko! Niestety, Ty dziś zwyciężona.
Związana i do grobu gwałtem nachylona!
Twe białe ręce, zamiast obejmować dzieci,
Przyciskają do piersi krzyż, który krwią świeci.
Baskirska dziewczyna szatę zdeptała królowej,
Okutych butów ślady wyciskając nowe.
Co chwila głos rozbrzmiewa groźnie, cisze niszczą
Krok dudniący i widać szablę, która błyszczy.
Przycisnięta do ściany, zwilgłej łzami Twymi.
Błądym czołem, rękoma wzywasz męczennikami
I oczyma, gdzie śmierci głębia już rozlała —
I mówisz: „Nie widzisz, Francjo ma siostrzana?”

Ten akcent wyrzutu w stosunku do Francji, która nie wystąpiła w obronie powstańczej Polski, zarówno w 1831 roku, jak w 1863, powtarza się nie tylko w poezji Wiktora Hugo. Jak wiemy zresztą, żądania pomocy dla Polski wypowiedzane były nawet w parlamencie francuskim, organizowane były demonstracje, zbiórki na pomoc dla powstańców, a indywidualne wyjazdy do powstańców przeszły do polskiej historii. Akcent rozpaczy, jaki przewija się w cytowanych zwrotkach poematu Wiktora Hugo, był echem złych wieści o losach powstania, jakie dochodziły do Paryża — początkowo bowiem Wiktor Hugo wystosował w tymże roku 1863 słynny „List do powstańców polskich” z takimi słowami:

„Polska zwycięży. Gdyby umarła, śmierć jej byłaby mniej więcej śmiercią wszystkich ludów. Pozwólcie mi przeto zawołać z daleka słowami, które znajdują oddźwięk w waszym sercu: Niech żyje Polska po długie lata! Niech żyje wolność człowieka i niepodległość narodów!”

Wiktor Hugo był poetą, dramaturgiem i powieściopisarzem. Premierą jego sztuk — zwłaszcza „Hernani” — wywołały niezwykłą reakcję publiczności i krytyki, za i przeciw. Od początków twórczości jego liczy się we francuskiej literaturze zwycięstwo romantyzmu. Był to talent niezwykły — dość przypomnieć, że należał on do bardzo nielicznych powieściopisarzy epoki romantyzmu, których utwory do dzisiaj nie straciły nic ze swego blasku, do dzisiaj są czytane w całym świecie. W Polsce rekordy powodzenia czytelniczego biją „Nędznicy”, powieść wydana w Paryżu w 1862 roku, w tym samym roku już przetłumaczona na język polski i od tego czasu wydana w niezliczonej ilości edycji, pełnych i skróconych, przerabianych dla młodego czytelnika, a także bijąca w świecie rekordy powodzenia jako scenariusz filmów, francuskich, amerykańskich, istotnie ge-



LAMPA IGNACEGO ŁUKASIEWICZA

OD lat dziesięciu z górą muzeum w Krośnie, stolicy polskiego przemysłu naftowego, gromadzi w swoich zbiorach kolekcję lamp naftowych. Kolekcja ta stanie się częścią ekspozycji poświęconej wynalazcy tych lamp — Ignacemu Łukasiewiczowi, która zostanie zorganizowana w r. 1972 z okazji sto pięćdziesiątej rocznicy urodzin Łukasiewicza (1822—1882).

Stulecie zapalenia pierwszej lampy łukasiewiczowskiej już minęło: wiąże się jak zwykle z dniem 31 lipca 1853 r., kiedy to w sali operacyjnej szpitala na Łyczakowie we Lwowie po raz pierwszy zabłysło światło naftowe. Wiadomo wszakże, że wcześniej już, bo w r. 1852, blacharz lwowski Bratkowski przebrał zgodnie ze wzorem, opracowanym przez Ignacego Łukasiewicza, powszechnie używane dotąd lampy olejne na naftowe. Zbiorniki ich sporządzane były z żelaza, a późniejsze szkiełka z miki. Nie przetrwała niestety do naszych czasów żadna ani z owych lamp Bratkowskiego, ani z lamp używanych w szpitalu.

Archetyp lampy Łukasiewicza był stopniowo ulepszany i przystępował do użytku w całym świecie w kształcie, z jakim zapoznaje nas dzisiaj rekonstrukcja, dokonana w muzeum krośnieńskim. Jest to lampa zrekonstruowana na wzór historycznej, która wyrugowała oświetlenie olejne, inaugurując epokę postępowania się światłem lamp naftowych. Wzobocili się one następnie nie tylko w szczegóły techniczne, nowe konstrukcje palnika, lecz uzyskały również wartości estetyczne, stając się często małymi dziełami sztuki dzięki wystrójowi, zmienianemu zgodnie ze stylem epoki.

Tak było do czasu, kiedy światło elektryczne wyparło ostatecznie naftowe, a dziś — lampy naftowe jako ostatni mohikanie w minimalnym już tylko stopniu pełnią funkcje użytkowe. Elektryczność wypiera je zewsząd, lampy stają się powoli jedynie przedmiotem pasji zbieraczy, kolekcjonujących je często bez uwzględnienia kryteriów artystycznych, schodzą do roli „staroci”, przejściowo modnych.

Zbiór zabytkowych lamp naftowych w Krośnie powstał wskutek potrzeby ratowania przed zniszczeniem ich walorów technicznych i estetycznych. Lampy są bardzo interesujące ze względu na zróżnicowanie tworzyw, którymi się posługiwano przy ich wykonywaniu: są sporządzone całkowicie ze szkła, metalowe i marmurowe, bądź też wykonane z majoliki, metali i szkła. Zwraca uwagę doskonałość wystrój, ornamentacja, rozmiary, cechy obliczone na zwiększenie charakteru użytkowego i na podkreślenie walorów zdobniczych.

Wśród lamp tych, pochodzących w znacznym stopniu z produkcji dziewiętnastowiecznej fabryki Dietmara w Wiedniu, znajdują się wiszące, stojące na stołach i biurkach, salony (na wysokich kolumnach), buduarowe, imponujące wyglądem i nader skromne. Kolekcja krośnieńska przypomina czasy życia „w kręgu lampy naftowej”, której łagodne i przyjemne, intymne światło jakże odpowiadało nastrojom dalekim od nerwowości właściwej życiu przy często oślepiającym jaskrawym świetle elektrycznym.

Dodać tu należy, że wynalazca polski Ignacy Łukasiewicz był także pionierem wydobywania ropy i produkcji naftowej w regionie krośnieńskim, wyprzedzając tym innymi odkrywców w świecie.

MIASTO JEST ICH HOBBY

Są trzy Nysy — Łużycka, Kłodzka i Szalona oraz miasto Nysa. To ostatnie leży nad Nysą Kłodzką, która uchodzi do Odry, podobnie zresztą jak Łużycka (Nysa Szalona wpada do rzeki Bóbr). Początki swe wywodzi miasto Nysa ze starej osady słowiańskiej notowanej już w XII w. Nazwę wzięło oczywiście od rzeki Nysy. Stosunkowo szybko stała się Nysa siedzibą oddzielnego księstwa. Było to w okresie rozdrabniania się Śląska na małe księstwa drogą spadków między Piastów Śląskich. Jeden z synów księcia wrocławskiego, Wawrzyniec, został biskupem i jemu to przypadła Nysa. Stąd księstwo nyskie było księstwem biskupim. Wawrzyniec na początku wieku XIII nadał Nysie prawo flamandzkie i sprowadził do niej osadników niemieckich, a dawna osada słowiańska stała się przedmieściem. Ale miasto uparcie zachowywało swoją pol-

skość, choć w miarę niemezenia się biskupów wrocławskich nie pozostało to bez wpływu na Nysę. W walkach o polskość ofiarą niemieckiego biskupa Rotha stał się w Nysie Piast Opolski, książę Mikołaj II, którego ścięto na miejscowym rynku toporem. Ostatnie słowa, jakie wyrzekł, brzmiały „Oj, Nyso, Nyso, przodkowie moi dali ci bogactwo i chwałę, a ty mnie pogrążasz...” Mikołaj II w ogóle nie znał języka niemieckiego. Ścięto go 27 czerwca 1497 roku. Przypomina nam o tym obecna tablica na ścianie zabytkowego domu Wagi Miejskiej. Czytamy na niej: „W pamiętnym czasie 1000-lecia Państwa Polskiego Śląska, Opolskiemu, Księciu Mikołajowi II, obrońcy polskości Śląska, który oddał życie w walce z naporem niemieckim, ścięty na rynku nyskim dnia 27.6.1497 r. poświęcają tę tablicę mieszkańcy ziemi nyskiej w 1966 r.”.



Ci trzej panowie to zasłużeni obywatele miasta Nysa w województwie opolskim: Jan Radłowski (od lewej), ks. Józef Kądziołka i dr Kazimierz Strzałkowski. W naszym reportażu opowiadają oni jak Nysa, zniszczona niemal doszczętnie w działaniach wojennych, została podniesiona z gruzów

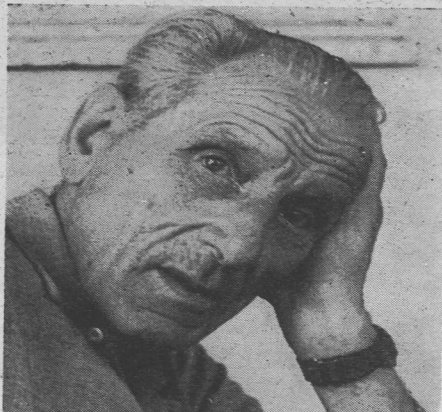


Foto: A. JAŁOSIŃSKI

Tekst: J. RAKOCZY



Mieszkańcy Nysy i ...

ich miasto



W 1945 r. po powrocie do Polski nie przedstawiała Nysa zachęcającego widoku. Leżała w gruzach. Ponad 70 proc. zabudowań było zniszczonych a wśród nich pełno trupów. Ludność niemiecka utiekła. Miasto było wymarłe. Bandy hitlerowskiego podziemia starały się siać zamęt i uniemożliwić odbudowę przybyłym do Nysy osadnikom.

Do zniszczonego i martwego miasta przybywały jednak z uporem grupy operacyjne: z Kieleckiego i Rzeszowszczyzny, a niebawem repatrianci z Francji, Niemiec i zza Bugu. W październiku 1945 r. było tu już 4.197 Polaków. Ze sprawozdania ówczesnego prezydenta miasta Jana Koję z 14.X.1945 r. cytuję taki opis:

„Naczelnym zadaniem miasta jest uprzątnięcie trupów i padliny (cuchnącej i będącej w rozkładzie), uruchomienie wodociągów miejskich i elektrowni... Ponieważ pojawiać się zaczęła epidemia tyfusu, bardzo ważną rzeczą stało się szybkie uporządkowanie Szpitala Miejskiego i zabezpieczenie potrzebnych środków leczniczych...”

Do Nysy przybywali w tym czasie oprócz osiedleńców także „chwilowi pracownicy”. Działali na własny rachunek, poszukiwali „skarbów”, penetrowali teren, zabierali co się dało i tyle ich widziano w Nysie. Organy Milicji Obywatelskiej prędko dały sobie jednak radę z tymi „chwilowymi pracownikami”, czyli „szabrownikami”. Na miejscu pozostali ludzie, którzy postanowili odbudować miasto, wrastali w nie, cieszyli się każdym sukcesem, przyjmowali z otwartym sercem tych, którzy naprawdę chcieli się tu osiedlić.

Zniszczone były nie tylko domy mieszkalne i urzędnice komunalne, zniszczone były też wszystkie drobne zakłady produkcyjne, głównie przemysłu metalurgicznego, w tym i fabryka wyrabiająca części do samolotów niemieckich Luftwaffe. Warunki, w jakich odbudowa się odbywała, nie były łatwe. Nie było żywności, ani sprzętu, ani cegły; nie było maszyn, środków transportowych, nie było nawet młotki i gwoźdźca. A jednak dziś co



MIASTO JEST ICH HOBBY

Dalszy ciąg ze str. 21

drugi obywatel miasta, a jest ich 26 tysięcy, mieszka w nowym domu z pełnym, nowoczesnym wyposażeniem, z ciepłą i zimną wodą, elektrycznością, gazem i łazienką.

Odbudowano 12 kościołów z zabytkowym średniowiecznym kościołem parafialnym św. Jakuba na czele, odbudowano historyczne kamieniczki na Rynku, dawny Pałac Biskupi — dziś Muzeum Ziemi Nyskiej; odrestaurowano w całej krasie Dom Wagi Miejskiej z 1604 r., spółdzielczość inwalidzka przywróciła dawny wygląd dworowi biskupów, odbudowano dwie ze średniowiecznych baszt nyskich — „Wieżę Ziębicką” i „Wieżę Wrocławską”, przywrócono „Piękną Studnię” z 1696 r. z kratą ozdobną oraz rzeźbioną w kamieniu w 1700 r. „Studnię z trytonem”.

Odbudowano i wybudowano kilkanaście nowych szkół podstawowych dla 6000 uczniów, 13 szkół licealnych w tym słynne „Carolineum”, w którym uczył się Jan Sobieski, zorganizowano kilkanaście szkół dla dorosłych.

Dziś Nysa uważana jest za najpiękniejsze miasto Opolszczyzny i jedno z najpiękniejszych miast w Polsce. Nysa stała się jednak nie tylko pięknym miastem, ale też ośrodkiem przemysłowym. Pionierzy odbudowy zmienili gruntownie jego strukturę gospodarczą. Nysa była przed wojną miastem emerytowanych niemieckich dygnitarzy i urzędników, miasteczkiem drobnego przemysłu, wielkich garnizonów wojskowych, z których w 1939 r. szły dywizje SS na Polskę.

Dwa największe zakłady przemysłowe Nysy, to: Zakłady Urządzeń Przemysłowych i Fabryka Samochodów Dostawczych. Pierwsze zatrudniają ok. 5000 osób, specjalizują się



Nowe dzielnice i ...

w produkcji aparatury i urządzeń przemysłu chemicznego, dostarczają kompletne obiekty przemysłowe, np. fabryki kwasu siarkowego, zakłady przemysłu azotowego, urządzenia dla przemysłu cukrowniczego, gumowego, tworzyw sztucznych, przemysłu okrętowego i energetycznego.

Nyska Fabryka Samochodów Dostawczych produkuje popularne mikrobusey „Nysa 501”, furgony „Nysa 501”, „Towosy Nysa” (towarowo-osobowe), samochody-chłodnie, kinowozy, sanitarki i samochody strażackie.

Są jeszcze w Nysie Zakłady Wytwórcze „Cukry Nyskie”, a duże perspektywy rozwojowe posiada Nyska Fabryka Pomocy Naukowych.

Lista pionierów odbudowy życia w Nysie zawiera kilkaset nazwisk. Ich gospodarność, pracowitość, mądrość i zapał zmieniły oblicze Nysy. Stara generacja i nowe pokolenia, tu już urodzone, są niezwykle głęboko przywiązane do swego miasta.

Przyjechałem do Nysy przed 6 rano. Spodziewałem się, że zastanę miasto śpiące. Zastanę je w pełnym biegu. Ulice pełne ludzi, którzy śpieszyli do fabryk. Przez dwie godziny spacerowałem po ulicach pięknej Nysy. Na godzinę ósmą umówiony byłem z Janem Radłowskim, w jego mieszkaniu na przedmieściu Górna Wieś. Pojechałem tam taksówką, prowadzoną przez Edmunda Grzebskiego. Znał adres i znał Radłowskiego.

← Małżeństwo urodzone w Nysie i ich latorośl

— Jest tu bardzo popularny. To on nam ukwiecił i zazielenił Nysę, gdy był jeszcze dyrektorem Zarządu Zieleni Miejskiej. Całe miasto mu przy tym pomagało — powiedział.

Taksówkarz Grzebski przyjechał do Nysy 18 lat temu z woj. warszawskiego. Tu się ożenił, tu urodziły mu się dzieci. Był b. zdziwiony moim pytaniem, czy kocha Nysę, czy też wolałby wrócić do Warszawy.

— Nysę opuścić? Niedoczekanie. Żonę tu poznałem, dzieci dorastają. Każdy krzak tu znam. Każdy kamień. Nigdy! Jestem przy otwarciu każdej nowej szkoły, przekazaniu do użytku każdego nowego domu mieszkalnego, każdego nowo powstałego zakładu pracy. Gości przecież tam dowożę. To moje miasto. Nysę trzeba kochać. Do Warszawy, owszem, mogę pojechać. Ale tylko w odwiedziny. Jeździłem — i jak najszybciej wracałem. Już tylko tu mogę żyć...

Domek, w którym mieszka Jan Radłowski, okazał się piękną willą. Jego właściciel jest już na emeryturze, ale czynna natura nie pozwala mu spocząć. Nadal działa społecznie w Spółdzielni Spożywców. Ze... ludzie mówią iż on jest twórcą tej zieleni nyskiej? niezupełnie, za dużo mówią. — Ja tylko mobilizowałem ludzi. Przecież miasto to wszyscy jego miesz-





Relikty przeszłości: fara św. Jakuba



z wnętrza studni



stare okucia



...podniesiona z gruzów Starówka

kańcy. Kwiaty zasadzili nie dla młasta, lecz dla siebie... Pierwsze chwile w Nysie? Ano, to było tak:

— Przyjechałem w maju 1945. Wszystko było w gruzach, jeszcze tliły się ognie. Nas była zaledwie garstka. Może 80 ludzi. Z tego połowa nie wytrzymała i prędko wyjechała. Polecono mi tu założyć placówkę Urzędu Repatriacyjnego. I dla „zachęty” dodano, że wszystko musi iść piorunem, bo za 15 dni już do Was przyjedzie pierwszy transport repatriantów zza Buga. Musicie być przygotowani. Musicie wiedzieć, gdzie kogo osiedlić, gdzie się mają wprowadzić, co mają robić. A tu — Nysa się jeszcze pali, ani co jeść, ani samochodu, ani nawet roweru. Trzeba było na nogach wędrować do okolicznych wsi by zobaczyć, jakie domy pozostały, co w domach i gdzie kogo osadzić. Wojsko nam pomogło. Następnego dnia dostałem od komendanta radzieckiego jeepa. O godz. 6 wyjazd, a o 8 już musiałem go zwrócić. Był innym potrzebny. Jedzenie? Znowu nam wojsko pomogło. W ocalałych domach i sklepach były wprawdzie konserwy, ale człowiek się bał, że może zatrute... Po 15 dniach rzeczywiście przyjechał pierwszy pociąg. Przywiózł repatriantów, a także trochę mąki, ziemniaków i tłuszczu. Założyliśmy w budynku Starostwa „sta-

rościńską stołówkę”. Rano, w południe i wieczorem można tam było dostać jedno tylko danie: kartoflanke. Dziś tam mieści się restauracja I kategorii „Warszawa”. We wrześniu ściągnąłem do Nysy żonę z dziećmi, starszym Januszem, który choć 18-letni zdążył być w partyzantce, i młodszym Jerzym. Pierwszych repatriantów osiedliliśmy we wsiach Hajduki i Konradowo. Do grudnia 1945 już cały powiat nyski był zasiedlony. W 1950 r. skończył się PUR i poszedłem pracować do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Najpierw byłem kierownikiem Wydziału Rolnego, potem Zarządu Zieleni Miejskiej. Na początku wszyscy wywoziliśmy gruzy i pomagaliśmy w uporządkowaniu Rynku. Nie było czym budować, nie było też pieniędzy. Na Rynku stał tylko budynek Starej Wagi Miejskiej. Reszta — to same ruiny.

Jakoś się to wszystko jednak udało. Wybudowaliśmy fabryki, coraz więcej stawiano nowych domów. Co z synami? O, ci przerosli ojca. Janusz jest dziś pułkownikiem, zastępcą komendanta Oficerskiej Szkoły Lotniczej.

Autobusiki „Nysa” — chluba miejscowej produkcji. Zna je i chwali cała Polska



MIASTO JEST ICH HOBBY

Dokończenie ze str. 21-23

Młodszy Jerzy idzie w jego ślady, jest kapitanem-pilotem lotnictwa wojskowego.

Byłby kłopot, gdyby w Nysie zorganizowano konkurs na najpopularniejszego mieszkańca. Pierwsze miejsce zdobyłby chyba: przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej — dr Kazimierz Strzałkowski i ks. prałat Józef Kądziołka.

Ksiądz prałat pochodzi z Łucka, święcenia otrzymał w Krakowie, najpierw był duszpasterzem w Nowym Sączu. W sierpniu 1945 został wikarym w Gliwicach. Poza tym — organizatorem i wykładowcą na kursach językowych i repolonizacyjnych gliwickich autochtonów. Po cztery godziny dziennie uczył parafian polskiego. W styczniu 1946 przeniesiono go do wsi Stary Las w powiecie nyskim.

— Tam najpierw stałem się „bauerem”. Nie mogłem patrzeć na te leżące odłogi pola. Pożyczyłem zboża i pomagałem ludziom uprawiać ziemię, siać pszenicę i sadzić ziemniaki. Potem założyłem przedszkole. Gdy już parafianie się do mnie przyzwyczaili a ja do parafian, przeniesiono mnie do Nysy. Nie chciałem pójść. Powiedzieli, że dadzą mi rower i będę mógł codziennie dojeżdżać z Nysy.

Stara Wieś oddalona jest od Nysy o kilkanaście kilometrów. Ksiądz prałat waży ok. 90 kg. Przyjął propozycję. Codziennie „zapychał” na dwóch kołkach do swoich „owieczek” i z powrotem.

Ślawnie nyskie kościoły leżały w gruzach i były wypalone. Ksiądz prałat Kądziołka zgłosił się do ówczesnego prezydenta miasta Jana Koję i do pierwszego starosty nyskiego powiatu Wincentego Karugi. Powiedział im, że będzie pomagał władzom, ale władze muszą jemu pomagać, że kościoły nie mogą leżeć w gruzach...

Do odbudowy fary przekazano mu niemieckich żołnierzy-jeńców. Rząd dał pieniądze na odbudowę, wierni włączyli się pracą społeczną. Ksiądz prałat koordynował roboty, kłócił się z dostawcami o drzewo, cegły, jeździł rowerem do Starego Lasu i... fotografował ruiny. Posiada kompletne archiwum zniszczonej Nysy, jedyne w swoim rodzaju. Wypożycza chętnie swoje fotografie i przeźroczka.

Stara fara dziś jest perłą budownictwa sakralnego nie tylko Opolszczyzny i całego Śląska, ale całego Kraju. Odbudowano Kościół Pojezuicki, Kościół św. Piotra i Pawła, Kościół parafialny św. Marcina, Kościół św. Dominika. Ksiądz prałat Kądziołka wprowadził do Starej Wsi już nie jeździ, ale dalej w Spółdzielni Stolarskiej naciska na przyspieszenie wybudowania konfesjonałów; w Spółdzielni Kamieniarskiej o szlif marmuru dla wieży kościelnej; w Spółdzielni Dekarskiej o przykrycie jeszcze jednego kościelnego dachu. Jeździ do Warszawy, do premiera, do innych dygnitarzy, kołata o dalsze dotacje na odbudowę pozostałych kościołów. Dotąd Nysa otrzymała na ten cel ok. 10 milionów złotych.

Dr Kazimierz STRZĄLKOWSKI — mówi wprost:

— To miasto jest moim hobby. Dla jednych hobby są znaczki pocztowe, dla innych rybki akwaryjne. Moim hobby jest Nysa. Zawładniętą mną niepodzielnie, stała się moją wielką namiętnością. Co prawda nie tu się urodziłem, ale odbudowałem ją, życie organizowałem, dzieci moje się tu urodziły...

Kazimierz Strzałkowski pochodzi z Tarnopola. Na Ziemię Zachodnią przyjechał jako repatriant. Osiedlił się w 1945 r. w Prudniku. Był tam nauczycielem wiejskim. Zwrócił na siebie uwagę władz społecznym podejściem do zadania, świetnymi wynikami przy zastosowaniu własnych metod wychowawczych, zaufaniem zdobytym u młodzieży. W 1950 r. przeniesiono go do Nysy, na stanowisko zast. dyrektora, a potem dyrektora najślawniejszej na Opolszczyźnie szkoły, Liceum Ogólnokształcącego tzw. „Carolineum”.

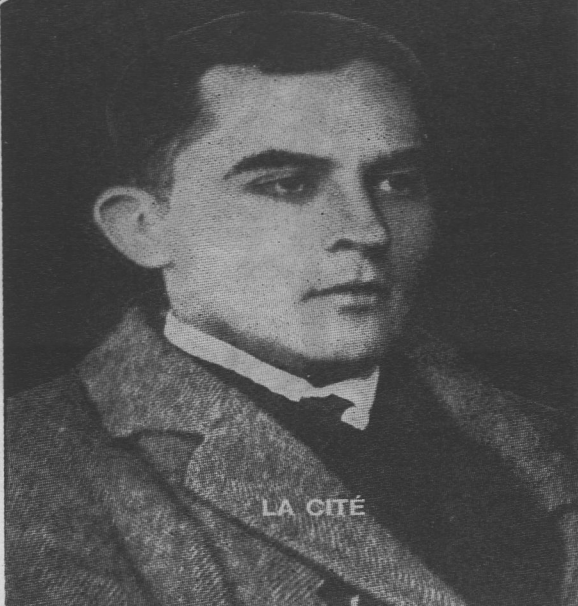
Działalność społeczna nie przeszkodziła mu w zdobyciu tytułu doktorskiego za rozprawę pt. „Szkolnictwo średnie ogólnokształcące i jego wpływ na proces integracji na ziemi nyskiej”. Od 1968 jest przewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Jest autorem 21 publikacji naukowych z zakresu pedagogiki. W druku znajduje się jego źródłowa książka o znakach śląskich, odbywających w XIV—XV wieku studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Radosławski, ks. prałat Kądziołka, dr Strzałkowski — to tylko trójka z kilkusetosobowej grupy pionierów odbudowy Nysy i nadania jej dzisiejszego bardzo pięknego wyglądu.

WITKIEWICZ

THÉÂTRE COMPLET - II

LES CORDONNIERS - UNE LOCOMOTIVE FOLLE
YANULKA - LA NOUVELLE DÉLIVRANCE



LA CITÉ

Le plus grand phénomène artistique polonais de la première moitié du vingtième siècle

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

LES éditions lausannoises La Cité — L'Age d'Homme viennent de sortir le deuxième volume de son „Théâtre Complet” (1) ainsi que le troisième en date de ses romans, „L'Inassouvissement” (2), et annoncent la publication de son second grand roman, „L'Adieu à l'Autonne”, et d'une importante étude consacrée à son oeuvre dramatique. Quatre de ses pièces ont également été éditées chez Gallimard (3). Au début d'octobre, sa vie et son oeuvre ont fait l'objet d'une émission télévisée. Un de ses drames — „La Mère” — est actuellement joué à Genève et sera bientôt mis à l'affiche par un théâtre parisien. Trente ans après sa mort, la production littéraire de Stanisław Ignacy Witkiewicz, dit Witkacy, est enfin livrée au public occidental, et l'on commence à se rendre compte — même à Paris, où l'on cède pourtant volontiers à la tentation de croire que (comme l'écrivait en 1906 Jacques Rivière au futur auteur du „Grand Meaulnes”, Alain-Fournier, à propos du romancier italien Gabriel d'Annunzio), „tous ces écrivains étrangers modernes ont trop l'air d'avoir été à l'école chez nous” — même à Paris on commence à se rendre compte qu'„on ne pourra plus désormais sans y faire allusion raconter l'histoire de la pensée occidentale dans la première moitié du vingtième siècle” (4).

UN ENFANT D'UNE ÉTONNANTE PRECOCITÉ D'ESPRIT

Fils d'un peintre et écrivain de grand talent — Stanisław Witkiewicz (1851—1915), que l'on a surnommé „le Jean-Baptiste du symbolisme polonais” et qui fut le premier en Pologne à proclamer que la valeur d'un tableau n'est nullement fonction de son sujet, mais de sa facture, et qu'une tête de chou est un thème de composition

(1) Stanisław Ignacy Witkiewicz: „Théâtre Complet” — II. L'Age d'Homme — La Cité, éditeur, collection „Théâtre vivant-Oeuvres”, 220 p. Ce deuxième volume contient quatre pièces: „Les Cordonniers”, „Une Locomotive folle”, „Yanulka, fille de Fizdejko” et „La nouvelle Délivrance”, traduites par Erik Veaux, Alain van Crugten et Ania Beczkowska. Le premier volume est paru l'année dernière. Il comprend également quatre pièces: „La Sonate de Belzébuth”, „La Mère”, „Le petit Manoir” et „Le Fou et la Nonne”, traduites par Alain van Crugten et Erik Veaux.

(2) Stanisław Ignacy Witkiewicz: „L'Inassouvissement”, roman traduit et préfacé par Alain van Crugten. L'Age d'Homme — La Cité, éditeur, collection „Classiques Slaves”, 524 p.

(3) „La Poule d'eau”, „La Mère”, „La Métaphysique d'un veau à deux têtes” et „Les Cordonniers”. Ces pièces ont été traduites par Koukou Chanska et François Marié et publiées dans la collection „Théâtre du monde entier”.

(4) José Pierre: „L'Apocalypse de Witkiewicz”, article publié dans „La Quinzaine Littéraire” du 1-er au 15 octobre 1969.

CLASSIQUES SLAVES

S. I. Witkiewicz L'INASSOUVISSEMENT

ROMAN
TRADUIT ET PRÉFACÉ
PAR ALAIN VAN CRUGTEN

EDITIONS L'AGE D'HOMME



tout aussi valable que la tête du Christ — Witkacy naquit à Varsovie en 1855. Persuadé que l'enseignement officiel n'eut fait qu'altérer le développement de sa personnalité, son père lui épargna l'école et lui permit de lire tout ce que lui tombait sous la main. Le petit Stanisław Ignacy était un enfant d'une étonnante précocité d'esprit. A l'âge de huit ans, il s'amusa déjà à pasticher Shakespeare. A dix-huit ans, il composa un traité philosophique. En 1910, c'est-à-dire à l'âge de vingt-cinq ans, il écrivit „Les 622 chutes de Bungo ou la Femme Démoniaque” — son premier roman, un ouvrage de plusieurs centaines de pages. Grâce aux lettres que son père lui adressa entre 1900 et 1915 (cette passionnante correspondance vient d'être publiée par les éditions varsoviennes PIW (5), nous savons aussi que dans sa jeunesse, le futur auteur de „L'Inassouvissement” affectionnait particulièrement l'„Axel” de Villiers de l'Isle-Adam, „Les Frères Kazamazov”, les ouvrages du philosophe allemand Frédéric Nietzsche, le roman du grand écrivain polonais Waclaw Berent intitulé „Próchno” („La Vermoulture”) et „Lord Jim” de Joseph Conrad, qu'il tenait comme un chef-d'oeuvre.

Au début de 1914, Stanisław Ignacy Witkiewicz accompagna un de ses amis, le célèbre ethnologue Bronisław Malinowski, en Australie. Malinowski se rendait en Australie dans le but d'y effectuer une enquête ethnologique. Witkiewicz devait être le photographe et le dessinateur de l'expédition. Le voyage et la découverte de l'Océanie laissèrent dans son esprit des traces indélébiles, et ce, bien que son séjour en Australie eût été très bref. En effet, comme il était sujet du tsar (la Pologne n'a recouvré son indépendance qu'en 1918), après le déclenchement de la première guerre mondiale les autorités australiennes le transfèrent à Saint-Petersbourg, où il fut mobilisé dans l'armée russe. Il assista à la révolution russe de 1917, d'abord en tant qu'officier de la garde impériale, puis en tant que commissaire politique (il fut élevé à cette dignité par les soldats de son régiment). Ce bouleversement de toutes les valeurs lui causa un traumatisme. Il retourna en Pologne en 1918 et vécut tantôt à Varsovie, tantôt dans la station de montagne de Zakopane. Il se suicida le 13 septembre 1939, à l'aube de la deuxième guerre mondiale — dont le déclenchement marquait à ses yeux le début du dernier acte du déclin de la culture européenne et l'avènement d'une civilisation sans culture, sans art, sans religion et sans philosophie à laquelle il refusait par avance de s'adapter — dans un petit village de l'Est de la Pologne, en s'ouvrant les veines et en absorbant une forte dose de véronal.

(5) Stanisław Witkiewicz: „Listy do syna” („Lettres à son fils”). Editions P.I.W., Varsovie, 1969, 835 p.

LE MYSTERE DE L'EXISTENCE

„Le haut et le bas cessèrent d'exister — lit-on dans „L'Inassouvissement” — il (il s'agit de Genezy Kapen, le héros du roman), était suspendu au-dessus d'un précipice terrible, amorphe, insubstantiel. Pendant un instant, il prit conscience de l'infinité effective de l'espace: tout cela existait et durait pendant cette seconde qu'il vivait. L'éternité paraissait n'être rien en comparaison de la monstrueuse énormité du temps compris dans l'infini de l'espace et des mondes qui y existent. Comment concevoir cela? C'est inimaginable et cela s'impose avec une nécessité ontologique absolue. Le même mystère lui montra de nouveau son visage masqué, mais d'une autre manière. Le monde gigantesque et lui, métaphysiquement solitaire (il faudrait pouvoir former une unité avec quelqu'un), sans aucune possibilité d'entente (car que sont les concepts en comparaison de l'horreur d'une donnée immédiate?!); malgré tout, dans ce sentiment de solitude, il y avait une sorte de délectation douloureuse. En ce même instant, il se sentit petit dans l'incommensurable enchevêtrement de l'univers — pas petit par rapport à l'étendue du ciel nocturne, mais petit dans ses sentiments les plus profonds...”

Comme Genezy Kapen et comme la presque totalité de ses personnages, Witkacy était en proie à l'angoisse existentielle, c'est-à-dire à une inquiétude métaphysique née de la réflexion sur l'existence. Génie protéiforme, il était tout ensemble peintre, romancier, dramaturge et théoricien de l'art et de la culture, mais il se considérait d'abord et surtout comme un philosophe. Mais, comme l'a souligné l'un de ses exégètes polonais, le professeur Leszczyński, „il n'appartenait pas à cette espèce de philosophes qui ne font que pratiquer la philosophie”. Tenailé par le sentiment qu'il avait de sa propre unicité et de l'unicité de chaque individu dans l'univers, épouvanté par le caractère contingent de la vie psychique de l'homme, ce métaphysicien autodidacte n'aspirait à rien de moindre qu'à „vivre le Mystère de l'Existence en tant qu'Unité dans la Multiplicité” (les majuscules sont de Witkacy). „D'une façon générale, il était existentialiste, et ce, bien des années avant l'apparition de l'existentialisme en France, et vraisemblablement en même temps que Heidegger. Mais il n'a jamais, que je sache, lu Heidegger (...) malgré son profond pessimisme, il passait aussi les existentialistes français en énergie, en dynamisme, en originalité et en ambition philosophique” — estimait l'illustre phénoménologue Roman Ingarden.

Witkacy suivait aussi avec anxiété le développement de la mécanisation dans les pays industrialisés et vivait dans la crainte de l'homme collectif et de la société de l'opulence à venir. „La beauté est en proie au délire, la vérité, dilacérée par les philosophes contemporains, git à nos pieds, et (...) il ne nous reste que le bien, c'est-à-dire le bonheur de tous ceux qui n'ont pas eu la force de créer le beau, ni assez de courage pour regarder le Mystère dans le blanc des yeux” — affirmait-il. „Plongée dans la narcose technologique, l'humanité future sera certes „heureuse”, prophétisait Witkiewicz, mais elle sera dépossédée de ces moteurs de l'inquiétude créatrice que sont l'art, la religion et la philosophie” — disait le grand sculpteur August Zamojski, qui fut son ami.

PREFIGURATION ET CRITIQUE DU HAPPENING

Witkacy écrivit plus de trente pièces, dont malheureusement une vingtaine seulement se sont conservées. Comme toute son oeuvre, son théâtre est centré sur le problème du Mystère de l'Existence. Conformément au vœu de l'auteur, il évoque „quelque sommeil bizarre, dans lequel les choses les plus ordinaires” auraient „le charme

étrange, impénétrable, caractéristique du rêve”, et qui ne pourrait se comparer à rien d'autre. „Monté” avec des „éléments préfabriqués” — Witkacy ne se faisait aucun scrupule d'emprunter ses thèmes et ses personnages aux classiques polonais ou à des écrivains étrangers comme Shakespeare, Ibsen et Conrad, mais il prenait toujours soin d'imprégner ces emprunts de sa philosophie — il est peuplé d'artistes, de militaires, de savants, d'aristocrates, de vamps, de matrones et de nymphettes, de Polonais, d'Anglais et de Malais qui asservissent des peuplades sauvages, préparent des révolutions, assassinent leurs meilleurs amis, n'hésitent pas à faire don de leur coeur à plusieurs femmes ou à plusieurs hommes à la fois, etc., — tout cela dans l'espoir d'accéder, fût-ce fugitivement, au Mystère de l'Existence.

Tous ces personnages parlent le même langage — un langage hyper-intellectuel agrémenté on ne peut plus succulemment d'expressions populaires et de jurons. Voici, à titre d'exemple, quelques réflexions d'un des héros de la pièce intitulée „Les Cordonniers”, „gars de la chaussure” de son état:

„Pas drôle, ce silence. Personne n'a envie que je parle. Eh bien, je vais parler parce que c'est mon bon plaisir, et que j'aurais du mal à me retenir. Voyez. A coup sûr, la Princesse va venir avec sa cochonnerie de procureur pour se mettre à nous perforer des petits trous dans le nombril métaphysique, comme disent ces beaux messieurs quand ils causent de leurs petites sucreries, qui sont chez nous des démangeaisons de furoncles présents et à venir. Cela s'exprime dans des contradictions que personne ne peut jamais saisir. Ce sont ces choses qu'ils appellent, vrai de chrotte, ces raclures nobiliaires, des expériences métaphysiques. Ils se chatouillent la graisse du bide et chaque frémissement de ces veaux satisfaits nous est une douleur aux tripes. Je voulais dire, vous savez, et je dirai: vivre et mourir. Se ratatiner dans une tête d'épingle et se répandre dans l'univers, s'ouvrir puis se rouler dans la poussière...”

„...Pourquoi suis-je moi et non un autre? — se demande un peu plus loin le même „gars de la chaussure”. Puis: — (...) je suis une sorte de super-pou congelé, ou quelque chose comme ça: je parle approximativement, à la limite du plus cruel des non-sens: du mélange de la personnalité et de plusieurs corps. Et puis je ne sais pas, voyez...” — ajoute-t-il. Et comme „il se tait, honteux”, son patron, le maître cordonnier Salletan Tobtus, essaie de le rassurer: „N'ait pas honte, Dédé! — dit-il. — C'est faux; le matérialisme biologique de l'auteur de cette pièce ne prétend pas cela. C'est une synthèse du psychologisme de Cornélius amélioré, et de la monadologie de Leibniz corrigée. Des milliards d'années, des cellules se sont unies et différenciées, pour qu'une charogne de mon genre puisse dire „moi” en parlant de soi...”

Comme l'a signalé (dans une remarquable étude publiée dans la revue varsoivienne „Dialog”), un des meilleurs connaisseurs de Witkacy, Jan Błoński, ces personnages qui ne laissent pas de discuter, de s'analyser et de commenter la pièce dont ils sont les héros, existent sur deux plans à la fois: sur celui de l'action et sur celui du commentaire — ce commentaire dont la présence prive l'invariablement grand-guignolesque action de son sérieux. Tout comme s'ils étaient des acteurs, ces artistes, militaires, savants, vamps et nymphettes savent qu'ils ne font que jouer, dit Błoński. Comme en témoigne leur langage, ces personnages sont en réalité des bohèmes blasés, des décadents qui aspirent à abolir la frontière qui sépare l'art de la vie, à changer leur vie en oeuvre d'art, à la doter d'une dimension métaphysique, et qui espèrent y parvenir en jouant avec le plus de ferveur possible qui les conquistadores, qui les obsédés sexuels, qui les anges exterminateurs, etc.; autrement dit, ils se livrent à une manière de happening avant la lettre. Le théâtre de Witkacy déboucherait-il donc sur le happening? Nullement — répond Błoński. Le happening est certes



Eugenia Kuznicka fut un des modèles préférés De Witkacy (voir en bas de page)

enchâssé dans ce théâtre, mais il n'en constitue que le matériau. Il n'est qu'un art mineur que pratiquent les héros des pièces de Witkacy et dont Witkacy — qui rejetait l'improvisation en tant que méthode de création et qui professait que l'art n'a pas à chercher à s'identifier avec la vie — fit la substance de l'art véritable — celui qu'il pratiquait lui-même. On peut donc dire que l'oeuvre de Witkacy renferme à la fois comme une préfiguration du happening et la critique du happening — conclut le critique polonais.

Cette oeuvre contient aussi en germe d'autres aspects du théâtre contemporain. Comme l'écrit le préfacier du „Théâtre Complet”, Alain van Crugten, on trouve dans la thématique de Witkacy „de nombreux points communs avec un certain théâtre d'aujourd'hui, celui dont la voie a été ouverte par Sartre et Ionesco (...). Nous pouvons donc hardiment le considérer comme un novateur, un précurseur, l'égal de ceux qui, d'une façon ou d'une autre ont brisé le carcan d'une vieille tradition et ont donné à l'évolution de la dramaturgie une trajectoire qu'elle suit encore aujourd'hui. Ce seul fait est d'autant plus méritoire qu'il s'est passé à l'écart de toute influence venue de l'étranger dans un pays dont la langue n'a pas une grande diffusion à l'échelle mondiale ou même européenne. Witkiewicz a également le mérite d'être chronologiquement antérieur à tous les grands novateurs du théâtre moderne, même à Artaud, dont l'idéal théâtral ressemble tellement au sien qu'on est stupéfait d'apprendre que les deux hommes ignoraient mutuellement leur existence”.

UN INVINCIBLE PESSIMISME

Tout comme son théâtre, la production romanesque de Witkacy constitue à vrai dire comme une manière de conférence sur les problèmes philosophiques et historiosophiques qui le passionnaient. Comme toute son oeuvre, elle sue un invincible pessimisme. Ecrits entre 1927 et 1932, ses trois

Suite page 38



A gauche, un tableau de Witkacy, les „Deux têtes”. Ci-dessous, E. Kuznicka, qui vit actuellement en Silésie, devant des portraits que fit d'elle Witkacy



LIST WĄTROBY do CZŁOWIEKA

Znany amerykański miesięcznik „Reader's Digest” przyniósł bardzo ciekawy artykuł napisany w formie listu. Jest to list naszego ludzkiego organu — wątroby — do człowieka. Wątroba jest jednym z najważniejszych narządów wewnętrznych w ludzkim organizmie. Często — zwykle w wieku dojrzałym — skarżymy się na przeróżne dolegliwości, których źródło tkwi właśnie w wątrobie i jej lekceważeniu. Luźne tłumaczenie „listu” przytaczamy za chicagowskim Dziennikiem Związkowym („Zgoda”).

CZŁOWIECZE!

Często zapominasz w ogóle o moim istnieniu. Interesujesz się najbardziej płucami, kiedy kaszlesz, bo cię coś „kłuje”, sercem — kiedy boli albo bije zbyt mocno. Patrząz często w lustro, jak postępuje łysina, zajmujesz się zębem, który dolega. Nie dbasz o mnie, może dlatego, że rzadko dają o sobie znać, bo należą do Twoich organów „millecących”.

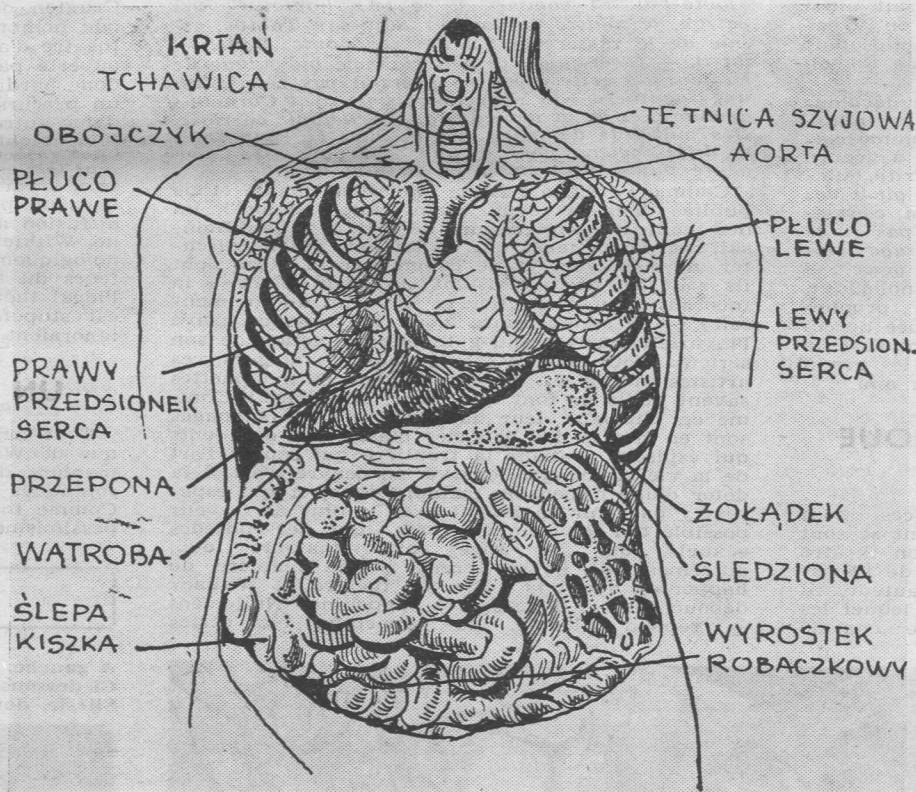
Nie zachwyciłbyś się moim wyglądem zewnętrznym. Jestem podobna do surowych podrobów zwierzęcych, takich jakie kupujesz u rzeźnika. — Przy tym jestem największym organem wewnętrznym Twojego ciała. Wypełniam całą prawą część jamy brzusznej i ważę aż 3 funty. Przed większymi urazami chronią mnie dolne żebra. Spełniam ponad 500 przeróżnych, bardzo ważnych funkcji. Dlatego, jeżeli przestanę działać, to lepiej zacząj przygotowywać się do pogrzebu. Nie chcę Cię bynajmniej olśnić moją ważnością, ale to przecież ja dostarczam paliwa do Twoich mięśni przy każdym wysiłku fizycznym, trawię za Ciebie kawał tłuszczu boczką, na którym usmażyłeś jajecznicę, produkuję delikatną witaminę, która pozwala Ci widzieć o zmroku itp., itp.

Trzeba by zbudować olbrzymi kombinat chemiczny, aby zlużować mnie w pracy, choćby nawet w tej najprostszej. Kto np. potrafiłby wyprodukować ponad tysiąc różnych enzymów, które spełniają główną rolę w procesach przemiany materii, regulując przy tym przebieg najważniejszych procesów życiowych. Skaleczyłeś się np. w palec i gdyby nie substancje powodujące krzepnięcie, mógłbyś się wykrwawić do końca.

Wytwarzam ponadto na skalę fabryczną przeciwciała, które chronią Cię przed wieloma chorobami. Fragmenty białek powstają w Twoim przewodzie pokarmowym po zjedzeniu pieczeni, tzw. aminokwasy — stałyby się śmiertelną trucizną po przedostaniu się do krwi. Ale ja je „humanizuję” — przetwarzam na białko zwierzęce specjalnego, ludzkiego rodzaju. Jeżeli powstaje jakakolwiek nadwyżka substancji odżywczych, których Twój organizm już nie potrzebuje, to przemieniam je i przekazuję nerkom do wydalania.

Działam hamująco na przesadne zapędy niektórych gruczołów. Takie np. nadnercza „puszczają

w obieg” tyle hormonów, wpływających na gromadzenie się soli w organizmie, że spuchłbyś jak „karmelicka bania”, ale ja czuwam i likwiduję ich nadmiar. Spełniam także dodatkową funkcję „zbiornika bezpieczeństwa” dla Twego serca. Z górnej mej części wychodzi potężna żyła krwionośna, wiodąca wprost do serca. Jeżeli napływają duże fale krwi, które mogłyby zdławić czynność tego organu, to momen-



talnie wciągam krew jak gąbka. Moja budowa jest zresztą do niej zbliżona. Potem ostrożnie i powoli dostarczam sercu krwi ze swe go zbiornika z powrotem, tak aby nie wywołać żadnych zaburzeń.

Wiadomo też, że jestem najlepszym „odtruwaczem” organizmu. Jeżeli bym swoim naczyniem wyjściowym przekazała sercu którąkolwiek z trucizn, jakimi się codziennie nadziewasz, w rodzaju nikotyny czy kofeiny, to praca jego ustałaby w ciągu paru minut. Ale ich mniejsze dawki dostają się do mnie tylko przez krwionośne naczynie wejściowe. Wystarczy najwyżej 10 sekund, abym te trucizny całkowicie zniszczyła. Ba, nawet alkohol, jeżeli go nie nadużywasz, potrafisz rozbić na dwutlenek węgla i wo-

dę. Oczywiście, nie więcej niż mały kieliszek wódki lub „bombkę” piwa na godzinę. Kiedy przybierasz większe tempo picia, zmuszasz mnie do ciężkiej pracy przez całą najbliższą noc.

Twój organizm wytwarza sam także szereg trucizn, z którymi muszę się uporać. Podczas dużych wysiłków fizycznych Twoje mięśnie spalają znaczne ilości glukozy, a produktem tej reakcji jest silna trucizna — kwas mlekowy. Nie zawsze nawet wyrzucam takie substancje z organizmu. Jako dobra, oszczędna gospodyni staram się zużytkować co tylko można. Jak najmniej odpadków — oto moja dewiza. To też przerabiam ów kwas na glikogen, który magazynuję u siebie na zapas. Mieści się w nim glukoza, podstawowy surowiec energetyczny dla wszystkich komórek ciała.

Kiedy z kolei opychasz się zbyt słodkimi, znów czyha na Ciebie niebezpieczeństwo. Zawarty w nich cukier przetwarza się w przewodzie pokarmowym na glukozę. Gdyby zbyt wiele jej przedostało się do krwi, to rezultat byłby podobny jak wtedy, gdy zaawansowany diabeł przestaje przyjmować insulinę. Pilnie śledzę rozwój wypadków, a w razie sytuacji alarmowej — oczyszczam krew z nadmiaru glukozy, preparując znowu glikogen do

zbiorniczku, zwanym woreczkiem żółciowym, skąd przechodzi do dwunastnicy, która znajduje się na drodze pomiędzy żołądkiem a jelitem cienkim. „Odkomenderowuję” część żółci do działania podczas Twoich posiłków, aby rozbiła większe grudki tłuszczu na mniejsze i w dodatku rozpuszczalne w wodzie. Niezależnie od tego żółć przemawia doskonale różne moje kanaliki wewnętrzne, aby ich nie zablokował tłuszcz.

Żółć zawiera dwa pigmenty: czerwony — bilirubinę, oraz pomarańczowożółty — urobilinę. Jeżeli barwniki te przedostaną się w większej ilości do krwi, wówczas wywołują żółtaczkę, charakteryzującą się zabarwieniem na żółto rogówki oczu i skóry. Jeżeli jest ona mechaniczna, a nie zakaźna, wywołana drobnoustrojami, oznacza to także, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Istnieją trzy najważniejsze przyczyny żółtaczki: malaria, pewne typy anemii i zapalenie wątroby. Wtedy to następuje zbyt szybki rozpad czerwonych ciałek krwi, a pigmenty gromadzą się w ilości przewyższającej moje zdolności przerobu. Niekiedy jakies zaburzenia czynności woreczka żółciowego albo zatkanie przewodów żółciowych prowadzą także do tej choroby. Często zatkanie to powoduje gromadzący się tłuszcz.

Mam jednak duże własne rezerwy „sił vitalnych” i wspaniałe zdolności regeneracyjne. Nawet jeśli jakaś choroba zniszczy moją strukturę prawie w 85%, to i wówczas potrafię całkowicie sprostać swoim zadaniom. 80% moich tkanek może zniszczyć np. nowotwór, a ja nadal funkcjonuję normalnie. Co więcej, przyroda obdarzyła mnie rzadką właściwością. Mogę się całkowicie odrodzić w swojej normalnej postaci w ciągu niespełna paru miesięcy. Te moje zalety mogą się niekiedy obrócić przeciw Tobie, czasami bowiem dają Ci znać o sobie, ale dopiero wtedy, kiedy znajduję się już w stanie godnym pożałowania. Na ogół jednak potrafisz znieść nawet ciężkie wirusowe zapalenia i naprawić powstałe wskutek nich szkody.

Sytuacja może stać się krytyczną tylko wówczas, gdy tracę zdolność panowania nad tłuszczami. Tłuszcz bowiem hamuje działalność komórek Twego organizmu, a kiedy dostanie się w większej ilości do krwiobiegu — często czopuje ważne arterie i żyły w Twoich organach wewnętrznych. I moja własna tkanka przedzielną się może wtedy we włóknistą, tracąc wszystkie swoje zdolności. Kurczę się i twardnieję, powstają wewnątrz mnie guzy. Wygląd mój staje się niezdrowo żółty. Zaczyna się moja marskość. Co ja może powodować? Wiele przyczyn. Poważna infekcja lub silne zatrucie. Najczęściej jednak — nadmierna konsumpcja alkoholu przy słabym odżywianiu.

Jakie są pierwsze sygnały tej najcięższej choroby? Jeżeli ogarnia Cię stale uczucie zmęczenia, bez wyraźnych przyczyn, osłabienie, nie masz apetytu — to lepiej pójdz do lekarza.

Na zakończenie chciałam Ci służyć życzliwą radą. Nie dopuszczaj do nadwagi ciała, odżywiaj się pokarmami zawierającymi sporo białka i unikaj chodzenia „na jednego”.

WĄTROBA

zmagazynowania. W ten sposób mogę ukryć w sobie ponad pół funta cukru. Kiedy jesteś głodny, np. podczas długiej przerwy między posiłkami, kiedy poziom glukozy w twojej krwi spada poniżej normy, śpieszę Ci na ratunek. Przetwarzam wówczas z powrotem część glikogenu na glukozę.

Moja akcja remontowo-renowacyjna dotyczy przede wszystkim czerwonych ciałek krwi, których około 10 milionów ginie co sekundę. Te zużyte ciała zatrzymuję do konserwacji, budując z nich wciąż nowe i nowe, bezustannie. Odpady z nich, nie nadające się już do właściwego użytku, przerabiam z kolei na żółć, sok służący do trawienia pokarmów. W normalnych warunkach płyn ten gromadzi się w małym

Dla Pań o Paniach

TĘSKNIŁAM ZA MAMĄ

Kaja Danczowska o sobie

Jak już w swoim czasie donosiłem, na Międzynarodowym Konkursie w Genewie II nagrodę w dziale skrzypiec zdobyła młodziutka krakowska skrzypaczka, Kaja Danczowska. Wystąpiła tam w silnej konkurencji 30 skrzypków z różnych krajów świata. Nagroda przywieziona z Genewy jest jej czwartym międzynarodowym wyróżnieniem w ciągu ostatnich trzech lat. Kaja jest obecnie studentką IV roku Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, w klasie prof. Eugenii Umińskiej. A oto wrażenia młodej skrzypaczki z udziału w Konkursie:

Wyjeżdżając do Genewy nikomu ze znajomych nie powiedziałam, dokąd i po co jadę. Mogłam przecież wrócić już po kilkunastu dniach wy-

— Tęskniłam za mamą, myślałam o mojej profesorce, pisałam listy. A z Krajem łączył mnie tomik poezji Mickiewicza, z którym się nie rozstawałam. Czytałam fragmenty utworów mojego ukochanego poety i to mnie uspokajało.

A kiedy Kaja Danczowska po raz pierwszy w życiu wzięła skrzypce do rąk? Gdy miała lat siedem. Zapisano ją do normalnej szkoły podstawowej, jednak tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego — ku zdumieniu rodziny — poprosiła o przepisanie jej do szkoły muzycznej. Ale nie myślała wtedy o skrzypkach. Chciała grać na wiolonczeli, tak jak jej dziadek Dezydery Danczowski. W szkole nie było jednak wiolonczeli tak małych rozmiarów — pozostały więc skrzypce. I tak się to zaczęło...



Najlepsze Życzenia Świąteczne!

MAŁŻEŃSTWO — BARDZO TRUDNA GRA

Z rozmowy przeprowadzonej przez redakcję tygodnika „Kulisy” z dr Kazimierzem Godorowskim, psychologiem klinicznym Ośrodka Badań nad Współczesną Rodziną, zamieszczamy niektóre interesujące pytania i odpowiedzi dotyczące współczesnych małżeństw.

Jaki jest na ogół mechanizm rozpadu małżeństwa?

Mogło się coś zmienić w niej — utraciła dla niego atrakcyjność przez własne zaniedbania. Mogło jego ograniczone znużenie jej osobą na skutek zbyt długiego pożycia. Jeżeli on ponadto znajduje się w sferze przyciągania ciekawej kobiety, zawiąże mogą hamulce w postaci uczciwości.

Czym jednak tłumaczyć, że wzorowy mąż i ojciec decyduje się nagle na porzucenie rodziny?

Tym, że nie wytrzymał dwuznacznej sytuacji i nieuczciwej gry. Tym, że zafascynowała go inna kobieta, którą zna na razie tylko z najlepszej strony. Tym, że przegrał swój konflikt wewnętrzny.

W takich chwilach żona zwykła winić najczęściej „tę trzecią” a nie męża. Dlaczego tak się dzieje?

Dlatego, że męża uważa za swoją własność w myśl ludowego porzekadła „zbój, ale mój” i oszczędza go, bo zawsze ma iskierkę nadziei, że do niej wróci.

Jakie są środki zaradcze i jakie czynniki ratują małżeństwo w chwilach zagrożenia?

Uczciwość mężczyzny i mądra gra kobiety. Oraz czas; ten sam, który dzieli i prowadzi do znużenia, również łączy. Czas wspólnie przeżyty sprawia, że rodzi się umiejętność wzajemnego zgadywania, poczucia wspólnoty, odpowiedzialność za dzieci, chęć współpracy. Jest to kapitał nagromadzony przez lata, który skutecznie może konkurować z innymi walorami innych osób.

Często obecnie spotyka się małżeństwa, w których kobieta góruje intelektualnie. Czy nie naraża to na szwank ambicji mężczyzny?

Nie, naraża na szwank am-

bicję kobiety, jeżeli uważa, że mąż pod każdym względem ma dodawać jej blasku. Niektóre kobiety jednak zupełnie świadomie biorą sobie głębszych mężów. Mężczyźni też czasem biorą żony z ptasim mózdzkiem twierdząc, że przy takiej żonie się odpoczywa.

Czy to brak więzi intelektualnej sprawia, że spotyka się często milczące pary?

Nie każde milczenie świadczy o braku tematu. Przy dużej zażyłości dobrze jest czasem wspólnie pomilczeć i powiedzieć sobie: „dobrze, że jesteśmy”.

W jakich dawkach należy stosować w małżeństwie zazdrość?

W małych dawkach pełni rolę przyprawę, jak sól, ale przedawkowana psuje smak. Zazdrość bez uzasadnienia świadczy o poczuciu własnej niepełnowartościowości i lęku o utratę partnera. Nadmierne okazywana odnosi wręcz przeciwny skutek. Sceny zazdrości muszą być ładnie rozgrywane w oparciu o znajomość psychiki i motywów działania drugiej strony.

Małżeństwo, to wielka sztuka!

OGŁOSZENIE MATRYMONIALNE

Ukazało się w jednym z czasopism belgijskich a brzmiało następująco:

„Szukam męża wszechstronnie wykształconego, który pięknie mówi, pięknie śpiewa i potrafi opowiadać interesujące historie lub milczeć, gdy jestem zmęczona”.

Pierwszy list otrzymany przez osobliwą kandydatkę na żonę zawierał tylko jedno zdanie: „Pani potrzebny jest nie mąż, lecz telewizor”.

I rzeczywiście.



Moja miłość: „Mickiewicz i skrzypce”

BIEDNY LEONARDO

Oto w jaki sposób sporządził opis kopii słynnego obrazu mistrza Leonarda „Leda z labędziem” pewien bystry urzędnik sądu szwajcarskiego:

„Obraz o wymiarach 70 × 40 cm, w drewnianych ramach, przedstawia młodą blondynkę bez ubrania mającą ok. 25 lat, którą atakuje wściekła gęś...”

AGATA CHRISTIE ZADOWOLONA

Aczkolwiek ukończyła 80 lat, jest zdrowa i nie przestaje pracować. Cieszy ją fakt, że dzięki swoim 80 książkom znana jest na całym bezmałym świecie. Znana i czytana, gdyż jej kryminały zostały przetłumaczone na 103 języki czyli o 16 więcej aniżeli dzieła Szekspira. Jej sztuka „Pułapka na myszy” od 17 lat nie schodzi z afisza tego samego teatru londyńskiego...

Agata Christie jest żoną wybitnego archeologa brytyjskiego, prof. Maxa Mallowna, który przed kilku laty został nobilitowany przez królową Elżbietę. Lady Agata mieszka na wsi, lecz często odwiedza teatry londyńskie. Twierdzi, że życie wciąż jest ciekawe i przyjemne. „Ostatnią przygodą, która mnie oczekuje — oświadczyła ostatnio — będzie oczywiście śmierć. Czekam na nią z dużym zainteresowaniem”.

VENUS INTERNATIONAL

Pod powyższym tytułem ukazał się nakładem zachodniemieckiego wydawnictwa Ehapal Verlag — GmbH album fotograficzny, którego treść stanowi życie kobiety. Odpowiednie fotogramy prezentują na 275 stronach albumu fotograficy z całego świata — z Anglii, Austrii, ZSRR, Japonii, Chin, NRD, NRF, Węgier, Czechosłowacji, Francji, Włoch Szwajcarii i Polski.

MODA A LA GLOCHARD

Paryscy krawcy lansują obecnie stroje sporządzone ze ścinków, skrawków, latek tkanin lub skór zszywanych ze sobą w dowolny sposób. Zwie się to „patchworki”. Zestawia się łuki w różnych kolorach gładkich lub tkaniny jednolite z pasiastymi albo kwiecistymi, można też łączyć ze sobą skrawki jednokolorowe lecz o różnych fakturach. Czy „patchworki” się przyjmą? Raczej wątpliwe.

AU FUMET SAVOUREUX

Réveillez en gaieté!

Pour enterrer dignement l'année 1970 et accueillir tout aussi dignement l'an nouveau, vous recevrez peut-être quelques amis chez vous. En attendant les douze coups de minuit qui feront sauter les bouchons des bouteilles de champagne, vous danserez et vous consommerez. Que préparer pour que vos amis se sentent à la fois rassasiés et légers? Passons en revue les diverses possibilités.

Les amuse-gueules les plus variés sont très prisés. Vous les confectionnez avec tout ce que vous voudrez suivant votre bourse: crevettes, caviar, pâté de foie, autres pâtés saucisson, crudité etc. Sur une potence, accrochez divers saucissons et toutes sortes de hors d'oeuvres seront répartis sur la table. N'avez crainte votre buffet ne souffrira pas d'un manque d'affluence, une telle nuit, picorer à son gré est une règle. Comme plat de résistance vous pouvez servir un „bigos” dont voici une recette:

Faites cuire la choucroute en y ajoutant du lard coupé en dés que vous aurez fait revenir auparavant avec de l'oignon, et une cuiller de farine. Quand tout cela est à point, rajouter au chou frais également haché et cuire à l'étouffée en jetant du jambon, du saucisson, du rôti coupés en morceaux, du lard fumé aussi et laissez plus d'une heure à petit feu (plus longue est la cuisson, meilleur est le bigos). A la fin, ajoutez un peu de vin rouge qui même en très petite quantité, relève le goût du bigos. Bien entendu vous n'avez oublié ni le poivre ni le sel (inutile de vous dire que la vodka accompagne à merveille le bigos).

Pour les pâtisseries, je vous conseille le roulé au pavot et un moka.

Bonne année chers lecteurs, je lèverai ma flûte pour boire à votre santé!

Ernestine DODUE



Bogowie — załogą rakiety sprzed tysięcy lat?

Książki Ericha von Dänikena „Wspomnienia o przeszłości — Nierozwiązana zagadka przeszłości” oraz „Z powrotem do gwiazd”, do których prawa wydawnicze zakupił zachodniemiecki „Econ-Verlag” i drogo sprzedaje, stały się bestselleraми. Już rozeszło się milion egzemplarzy! O autorze powiemy później. Chwilowo poprzestaniemy na tym, że 34-letni Szwajcar twierdzi, iż ludzkość istnieje wskutek wizyty astronautów przed jakąś tam ilością lat. Musiało to być bardzo dawno, bo sam von Däniken nawiązuje do Księgi Genesis ze Starego Testamentu.

STARY TESTAMENT mówi o sześciu dniach stworzenia świata przez Boga. W ostatnim dniu Bóg ulepił Adama z gliny, a kobietę — Ewę z żebra Adama wyjętego mu we śnie. Autor światowego bestsellera sądzi, że jest w tym jądro racji, ale rzecz odbyła się nieco inaczej, niż to przedstawia Księga Genesis. Bogiem a raczej „zespołem bogów” była załoga atomowej rakiety przybyłej z innych systemów planetarnych. Najprawdopodobniej wypreparowano w narkozie szpik, a więc wyjęto kość (a nie żebro) „Adamowi”. Ze szpiku kostnego zaś wyhodowano kulturę komórek rozrodczych, którym nadano cechy genetyczne, jakie astronauta-bogowie uznawali za pożyteczne.

Kto więc był tym, o którym Stary Testament mówi „Adam”? Według Szwajcara, najprawdopodobniej był to praczłowiek (może pithecanthropus?). „Ewa” natomiast symbolizuje w Księdze Genesis początek rodzaju ludzkiego — takiego, jakim jest on dzisiaj. Ach, jaka piękna bajka! Poczytać warto, jak o zaczarowanej księżniczce śpiącej w szklanej trumnie i o czarodzieju...

Naukownicy niemal wszyscy sądzą, że komplet owych rzekomych czy faktycznych dowodów bytności autronautów na Ziemi można łatwo obalić. Ponieważ jednak nawet słuchanie bajek sprawia czasem rozrywkę, posłuchajcie jeszcze trochę.

Bajka epoki atomowej?

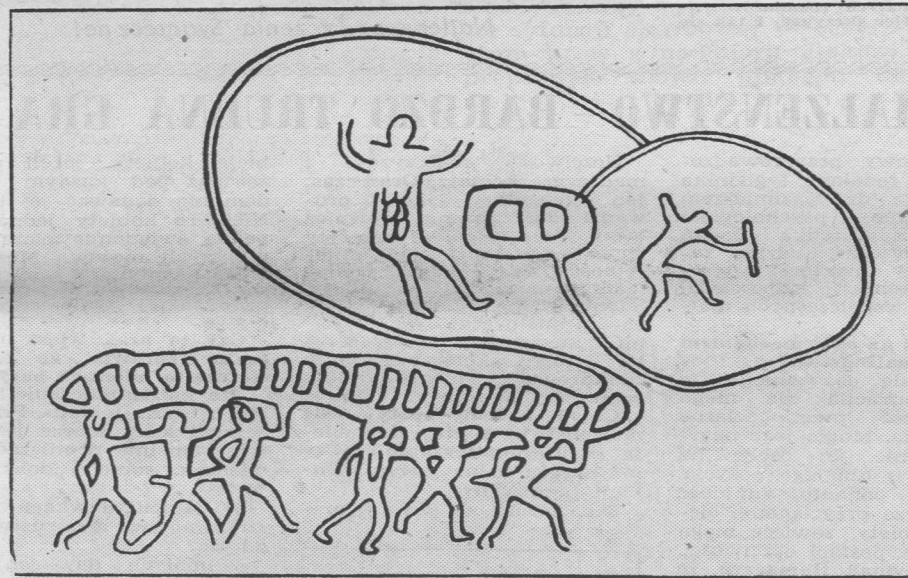
Dzisiejsza publiczność kupująca książki nie składa się z analfabetów naukowych. Każdy coś wie. Ludzie czytają nie tylko gazety, oglądają popularnonaukowe audycje telewizyjne, czytają o badaniu przeszłości swojego gatunku. Ten ostatni temat pasjonuje nas nie od dziś. Najstarsze religie uważały, że prarodzice wyłonili się z głębokiej jaskini (wierzenia Inków południowoamerykańskich), wyszli po prostu z oceanu na brzeg (wierzenia ludów Oceanii) albo stworzyła ich wola Boga.

Von Däniken proponuje nam zamiast tego ... próbówkę w laboratorium rakiety przybyłej z kosmosu. Mamy uwierzyć, że człowiek nie powstał w wyniku powolnej ewolucji, lecz jako skutek świadomej operacji genetycznej dokonanej na materiale rozrodczym jakiegoś przedludzkiego małpoluta. Szwajcar niczego dokładnie nie precyzuje, ale przemawia do wyobraźni współczesnego człowieka oświeconego w dziedzinie najnowszych odkryć genetycznych. Teza (żeby nie powiedzieć zachwała i światoburcza) ma aktualną podbudowę teoretyczną. Wielu naukowców sądzi bowiem, że jesteśmy dosłownie w przededniu sterowania cechami dziedzicznymi roślin i zwierząt i będziemy mogli tworzyć nowe gatunki i rodzaje, a nie tylko odmiany roślin, później zwierząt. Może ta sztuka uda się w stosunku do ludzi? Nie wiadomo, czy byłoby to aż tak bardzo korzystne, ale to już inna sprawa.

Trzeba tutaj dodać, że Erich von Däniken trafia swoim strzałem z dwu książek i kilkunastu artykułów w pewną lukę dotychczasowych badań o pochodzeniu człowieka. Wypełnia ją fantazja opartą na dokonaniach przez siebie „badaniach”. Niektóre małpy czelkowskie i ludzie — zdaniem uczonych — są gałęziami wyrastającymi z jednego pnia. Genealogia nasza nie wywodzi się po prostu — z małp,

jak sobie dawniej, po Darwinie, wyobrażano. Rodowód jest bardziej skomplikowany a dzieje gatunku ludzkiego posiadają poważne braki. Między fazami rozwojowymi nie odkryto jeszcze wszystkich ogniw przejściowych od prymitywnych istot przedludzkich do współczesnego homo sapiens czyli człowieka mądrego. Naukowcy tłumaczą te braki kataklizmami na naszej planecie i tym, że być może tryb życia istot reprezentujących pośrednie szczeble rozwoju ludzkości uniemożliwił ich utrwalenie się w skamielinach, wykopaliskach archeologicznych itp.

Takiego tłumaczenia nie przyjmuje autor bestsellera. Księga Genesis — twierdzi von Däniken odbija symbolicznie rozwój życia na Ziemi i zachowuje ślad pamięci owej operacji gene-



Archeologowie twierdzą, że artysta z epoki kamiennej przedstawił transport mumii. Von Däniken: „To przecież są ... kosmonauci w stanie nieważkości!”

tycznej bogów-astronautów, z której narodził się myślący człowiek współczesny.

Fantazja ciągnie się zresztą dalej: ponieważ astronauta-bogowie stworzyli człowieka na podobieństwo swoje (bo jak inaczej mieli tworzyć?) staje się on rzeczywiście do nich podobny i szybkimi krokami zbliża się do techniki, jaką rzeczywiście ojcowie gatunku ludzkiego posiadali w czasie pobytu na Ziemi. Ano, kto chce — niech wierzy.

Zastanawiające fakty

Oczywiście teoria i fantazja nie powstają z niczego. Istnieją bowiem pewne fakty, które pozwoliły na zbudowanie takiej hipotezy. Trzeba tylko przyjąć ich tłumaczenie według przyjętego z góry założenia. Oto parę przykładów:

✪ W Indiach znajduje się obelisk z czystego żelaza, jakiego nawet w chwili obecnej nie potrafi nikt uzyskać. Jest to absolutnie czyste żelazo, które nie pokrywa się rdzą. Czyżby miało inną budowę drobin Fe?

✪ W religiach południowoamerykańskich Inków, Majów, Azteków występuje w różnych wariantach bóg Wirakocza (biały, brodaty), który przybył nie wiadomo skąd i odszedł nie wiadomo dokąd; obiecał jednak swój powrót. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Majowie, lud Ameryki Środkowej, nie zostawił wizerunku



swego boga. Według dość przekonującej sugestii von Dänikena jest to kosmonauta w hełmie, obsługujący raketę, którą na płaskorzeźbie przedstawiono w przekroju.

✪ W starych religijnych przekazach Inków jest mowa o tym, że bogowie spadali z nieba w srebrnych kulach.

✪ W Libanie świątynia Beelbek zbudowana jest na fundamentach z płaskich bloków skalnych o wadze rzędu 2 tysięcy ton i grubości 20 metrów każdy, o wspaniale gładkiej powierzchni; nowoczesne metody nie byłyby zdolne do obróbki takiej ogromnej platformy ani jej przeniesie-

przez taki wybuch, bo na pewno nie przez erupcję wulkanu lub meteor.

✪ We wszystkich starych religiach w świątyniach buduje się wieże lub obeliski w kształcie przypominającym raketę, a w starych pismach hinduskich jest mowa o tym, że świątynia wraz z bogiem w jej wnętrzu uniosła się w niebiosa, ciągnąc za sobą warokocz ognia.

Tajemnicza mapa

✪ Na pustyni Saharze znajdują się arcydziwne, bardzo stare rysunki z czasów, gdy w epoce kamiennej ogromna dziś pustynia była żyznym, zielonym stepem. Rysunki pewnych postaci można dość łatwo przyjąć jako ... kosmonautów w skafandrze, z jednym okiem-wizjerem w hełmie. Jest przy tym charakterystyczne, że rysownicy z upodobaniem uwieczniali podobną ludzi wyraźnie zawieszonych niejako w powietrzu — a może w stanie nieważkości?

✪ „Najdziwniejszym dokumentem jest według von Dänikena tajna mapa admirałów tureckich, zdobyta przez Wenecjan w XVI w. Jest to arcydokładny atlas półkuli ziemskiej (podobno sprawdzana przez współczesnych amerykańskich kartografów) jakby według rzutu wykonanego nad Kairem z wysokości ... 3000 km (!!!). Widać na niej Grenlandię składającą się z ... trzech wysp. Najnowsze badania wykazały, że pokryta dziś lądo-lodem Grenlandia rzeczywiście składa się z trzech wysp. Mapa tureckich admirałów musiałaby być wykonana przed zlodowaceniem Grenlandii. Przez kogo? Wiadomo, że mapę świata wykonaną z wysokości 3000 km skopiowali ci, od których Turcy ją kupili lub zdobyli, ale gdzie powstał oryginał? I w jaki sposób? Tego nikt nie potrafi wyjaśnić, ale jest to bardzo ciekawe.



Na Saharze w pieczarach skalnych: „Wizerunek kosmonauty z wizjerem w hełmie, gość sprzed tysięcy lat?”

O wielu innych jeszcze pasjonujących sprawach wynikających z dwóch książek von Dänikena, w które nie trzeba koniecznie wierzyć, ale przeczytać warto — napiszemy w następnym numerze.





La semaine des Jeunes

des polonaises. Mes grands-parents et mes parents m'ont maintes et maintes fois décrit les traditions polonaises de Noël. Comme vous — car votre enfance à vous a certainement aussi été bercée par des phrases comme: „La vigile de Noël (en polonais: Wigilia), est le moment

fois aussi d'une choucroute, mais cuite au maigre, et de pâtes au pavot, d'un délicieux gâteau au pavot et au miel appelé „makowiec”, de noix, d'amandes et de raisins secs. Comme vous, je sais aussi qu'avant de se mettre à table, tous les Polonais, aussi bien les croyants que

1914, en 1916, j'étais tout seul, dans un poste avancé d'une ambulance en Champagne. J'étais sous terre. J'ai attaché un petit morceau de rat de cave après une branche de sapin toute sèche, je l'ai allumé (...), j'ai rompu un morceau de pain, à défaut d'hostie; je l'ai mangé les larmes aux yeux en pensant à mon père qui était mort et à ma mère qui était loin de moi, à Paris. Et cependant j'étais Français, à la guerre, dans l'armée française...”

A la fin de son livre, Edouard de Pomiane fait une exaltante proposition aux Français d'origine polonaise. Nous, Polonais nés en France, considérons que:

„La France est notre Patrie et que

La Pologne est notre Religion”.

— dit-il.

Je vous suggère de profiter des vacances de Noël pour méditer cette merveilleuse phrase.

Joyeux Noël!

MARTINE



NOEL ET LA POLOGNE

COMME dit le proverbe: „On a tant crié Noël, qu'à la fin il est venu”. Comme il a bien fait de venir, n'est-ce pas? Comme il est doux et réconfortant de penser qu'alors que tout évolue autour de nous à une vitesse effarante, que le rythme de notre vie quotidienne s'accélère et ne nous laisse plus le temps de „souffler”, que de nombreuses habitudes, souvent bien agréables, sont totalement bousculées, cette aimable tradition se maintient, cette halte heureuse et tendre sur le chemin agité des jours demeure, n'est-il pas vrai?

Voici donc venir Noël et le voici qui plante son inépuisable décor et charrie comme à l'accoutumée des myriades de merveilleuses légendes qui nous font retrouver avec une certaine mélancolie heureuse la fraîcheur d'émotion de l'enfance. Ecoutez:

„Par les tuyaux des cheminées, Saint Nicolas vous enverra Meringues et crèmes soufflées Des gimblettes et caetera” — nous assure-t-il.

Et: — On dit en Bretagne que pendant la nuit de Noël, il y a dans chaque buisson de coudriner une branche qui se transforme en rameau d'or — nous susurre-t-il à l'oreille. — Pour la cueillir, il faut la couper entre le premier et le dernier son de minuit; mais celui qui n'y réussit pas disparaît à tout jamais; cette baguette égale en pouvoir celle des plus grandes fées...

Et: — D'autres récits poétiques bretonnes, nombre d'énormes pierres se déplacent pendant la nuit de Noël pour aller boire, telles des moutons altérés, aux rivières et aux ruisseaux — nous rappelle-t-il aussi. — Au sommet du mont Belex par exemple, il y a un menhir qui se laisse enlever par un merle et qui met à découvert un trésor...

Et: — D'autres récits populaires français encore veulent que s'il existe dans une étable deux boeufs qui soient frères, il leur arrive infailliblement de perdre la parole pendant la nuit de Noël — rapporte-t-il. — Dans le Berry, on racontait jadis qu'un jeune bouvier qui se trouvait cette nuit — là couché près de ses boeufs entendit le dialogue suivant:

„Que ferons-nous demain? demanda tout à coup le plus jeune du troupeau.

— Nous porterons notre maître en terre, répondit d'une voix lugubre un vieux boeuf à la robe noire, et tu ne ferais pas mal, François, continua l'honnête animal en arrêtant ses grands yeux sur le bouvier qui ne dormait pas, et tu ne ferais pas mal d'aller l'en prévenir, afin qu'il s'occupe des affaires de son salut”...

Cette dernière légende vous a peut-être fait dresser l'oreille, non? Elle vous a remémoré une vieille croyance polonaise dont vous a parlé votre grand-mère ou votre grand-père, et selon laquelle au milieu de la nuit de Noël les bêtes se mettent à parler, n'est-ce pas? A moi aussi, figurez-vous. Pour moi, voyez-vous, Noël fait en quelque sorte corps avec la Pologne. Mon enfance a été bercée par le récit de légendes

le plus important de l'année polonaise”, „Chez tous les Polonais, il est d'usage ce soir-là de donner la table à tous les visiteurs qui surviennent, même surtout quand ils n'ont pas été priés”, etc., n'est-ce pas? — je sais que chez les Polonais, le repas de Noël commence au moment précis où la première étoile fait son apparition dans le ciel et qu'il est en principe composé d'une soupe aux cèpes séchés, légèrement liée et crémée, d'un ou de deux plats de poisson de rivière généralement accompagnés d'une sauce au raifort, par-

les athées, rompent ce soir-là l'hostie polonaise de Noël, l'„opiatek”, et se souhaitent mutuellement toutes sortes de prospérités. Et comme vous, je trouve à tout cela une grande poésie.

Je suis actuellement en train de lire un ouvrage de l'illustre savant et gastronome d'origine polonaise Edouard de Pomiane (1869—1963), intitulé „Tableaux et souvenirs d'une vie bipatride”. A propos du repas de Noël, Edouard de Pomiane écrit notamment: „Pendant toute ma vie déjà très longue, j'ai célébré la Wigilia tous les ans. Durant la guerre de



Kochany Tygodniku!

Dziadzia się na mnie boczy. Zagroził mi nawet, że już nigdy mi nie opowie baśni o Sobotniej Górze. Dziadzia dlatego się na mnie gniewa, że ja nie chcę do „Tygodnika” napisać o Gwiazdorz. Ale ten mój dziadzia jest dziwny. Zły jest, że ja już nie chcę wierzyć w Gwiazdora. Przecież ja już nie jestem dzieckiem. Co on sobie myśli. Ja za dwadzieścia jeden miesięcy będę miał trzydzieści lat. Niedługo będę już może mógł zapuścić wąsy. Ja bardzo chciałbym mieć takie długie wąsy jak pierwszy polski król Bolesław Chrobry, bo nasza sąsiadka Anne-Marie Kowalska mówi, że kiedy już będzie dorosła panna, to wyjdzie za mąż za chłopca, który będzie miał takie wąsy jak on. Dziadzia mi wytłumaczył, że żeby mieć takie długie wąsy, trzeba jeść dużo zupy z bani i dużo innych rzeczy, więc teraz wcinam za dwóch, ale wąsów jeszcze jakoś nie widać. Dziadzia twierdzi, że tak koto Wielkanocy to powinienem już mieć przynajmniej takie wąsy jak francuski piosenkarz Brassens. Jeśli to się sprawdzi, to dam Wam znać. Ale w długich portkach to ja nigdy chodzić nie będę. Ja będę zawsze nosił spodnie z krótkimi nogawkami, bo Anne-Marie mówi, że długie nogawki wyglądają jak kominy i że ona za nic w świecie nie wyda się za chłopca w długich spodniach. A poza tym ja zamierzam zostać eksploratorem i odkrywać nieznanne kraje, a w nieznannych krajach w spodniach z długimi nogawkami chodzić nie można, bo tam jest dużo krzaków, więc by się cały czas rozdzierały, a w dodatku jest tam także tak gorąco jak na koloniach letnich. Może uda mi się tam gdzie upolować jakiegos łwa? Właśnie przeczytałem bardzo ładną książkę napisaną przez polskiego pisarza Henryka Sienkiewicza i zatytułowaną „W pustyni i w puszczy”. W tej książce występuje chłopiec nazwiskiem Staś Tarkowski. Ten Staś zabija łwa i wyswabadza



GWIAZDORZOWY LIST Henia Zubrzyckiego

stania. Ja bardzo chciałbym być taki odważny jak on, ale kiedy pomyślę o lwach, to jednak trochę się boję. Może z chwilą gdy będę już miał wąsy, przestanę lękać się lwów. Dziadzia chce wybrać się do tych nieznannych krajów razem ze mną. Powiada, że będziemy razem banany prostopać. Nie wiem po co. Przecież takie też są dobre.

Ale ja może wcale nie zostanę eksploratorem, tylko architektem, bo już zaczyna mnie denerwować dziadzi króliczarnia. Jest taka stara i taka paskudna, że trzeba by już zbudować nową. Ja bym zrobił plan, a Dudziński by ją wymurował. Dudziński to jest kolega mojego dziadzi. On jest murarzem. On też chce z nami jechać do nieznannych krajów, ale nie wiem, czy go zabrać ze sobą, bo on chce tam ciągnąć mały za kity, więc jeszcze mógłby sprawić nam nie lada kłopot, bo dziadzia mówi, że mały są ciemne i nie znają się na żartach.

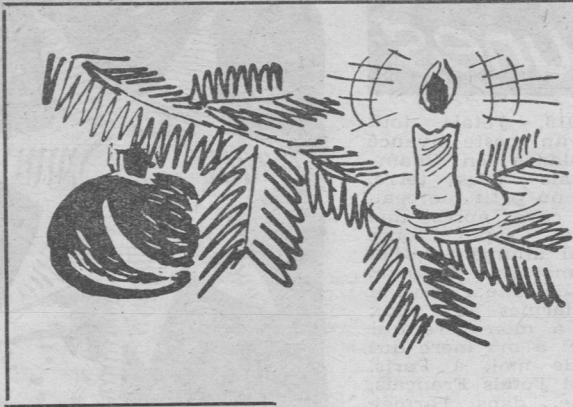
Jeśli zostanie architektem, to zaraz zbuduję na gwiazdkę wspaniały dom. Dom ten będzie miał kształt choinki i będzie cały zielony. Niedawno temu śniło mi się, że budowałem ten dom. Mieszkania sprawiał wrazenie choinkowych cacek. W oknach nie było szyb, tylko tęcze, a w mieszkaniach nie było sufity, tylko niebo, roziskrzony gwiazdami niebo. W pierwszym mieszkaniu zobaczyłem w tym moim śnie bohaterów opowiadanych mi przez dziadzi polskich bajek i legend. Był tam zbój Madej z pięknej bajki o Madejowym łożu, wdowa i synowie wdowy z baśni o Sobotniej Górze (w tej baśni trzej synowie jednej zmarłej wdowy chodzą po kolei po „żywą wodę” na szczyt tej Góry; Góra ta jest zaczarowana i dopiero trzeciemu z synów udaje się wrócić z „żywą wodą” do domu i przywrócić matce życie), Jaś i Małgosia, królowa Kinga, Twardowski, Lech, Czech i Rus, król Krak ze smokiem wawelskim na łańcuchu — dlaczego na łańcuchu, tego nie wiem; tak mi się śniło — i wiele innych postaci. A drugie mieszkanie przeznaczone było dla wszystkich dziadziów i babci z Francji i Belgii. Wypełnione one były ciepłymi pantoflami i swetrami (chyba dlatego, że dziadziom i babciom zawsze jest zimno), i czekała w nim na dziadziów i babcie cała gromada grzecznych jak nie wiem co wnuczków. Tak jak we wszystkich innych mieszkaniach, nie było w tym domu szyb, tylko same tęcze, całe wiązki tęczy, które wychylały się z otworów okiennych i wyglądały jak wiszące mosty. Po tęcach znajdujących się po

prawej stronie można była przejść do Polski, a po tęczach z lewej strony — do Francji (chyba dlatego tak mi się śniło, że dziadzia zawsze mówi, że chciałby mieszkać w domu, z którego można by widzieć i Polskę, i Francję). Potem było takie jedno mieszkanie zrobione specjalnie dla mojej babusi, która ciągle wspomina polską zimę. W tym mieszkaniu padał prawdziwy polski śnieg, a po tym śniegu latały prawdziwe polskie wilki, ale nie gryzły, nie były głodne i nie wściekały się, tylko tak wyglądały, jakby czekały na babusię, żeby się łąsić. I jeszcze było takie mieszkanie, w którym catowała się ta para, którą narysował francuski artysta, pan Jean Effel, i która wisi u nas w domu na ścianie. Ta para to jest francuska Marianna, to znaczy Republika, i polski chłopak w stroju krakowskim. Dziadzia mówi, że Wy to na pewno znacie i że miałem nie patrzeć jak się catowali, bo jestem za mały, żeby się takim rzeczem przypatrywać. Ten dziadzia to sobie myśli, że ja jestem roczne dziecko i że nie nie rozumiem. A poza tym skoro mi się to śniło, to jak miałem nie patrzeć? Co miałem robić? Obudzić się, czy co?

A moja mama mówi, że takiego cudownego domu, jak ten, który mi się śnił, to ja nie wybuduję nigdy, bo musiałbym go budować nie z cegieł, tylko z marzeń (nic z tego maminego gadania nie rozumiem. A Wy?), ale że mam Wam go opisać, bo ten mój sen z pewnością uradowa wielu takich starych i dobrych ludzi jak mój dziadzia i moja babusia. Mama każe mi jeszcze dodać, że w tym domu, który mi się śnił, było także jedno mieszkanie wypełnione całą kupą paczek, a w tych paczkach znajdowały się catusy, jakie polskie dzieci z Francji i Belgii ślą na święta swoim dziadziom i babusiom. Ja mówię, że nieprawda, że tak mi się wcale nie śniło, a poza tym kto kiedy widział paczkę z catusami. Ale mama uparta się i żąda, żebym tak napisał, i już. No to piszę, ale gdyby się Wam te paczki nie podobały, to pamiętajcie, że nie ja je wymyśliłem, tylko mama.

Ja Was catusuję tak — bez paczki — i życzę Wam Wesołych Świąt. I już leczę, bo idzie Anne-Marie. Pewnie przyszła zobaczyć, jak tam z tymi moimi wąsami. Co ja jej powiem?

Heniu Zubrzycki



PANIE REDAKTORZE!

Gwiazdka. Wreszcie nadeszła. Zadnego innego dnia w roku nie oczekujemy z takim przejęciem i z taką tkliwością jak jej, żaden inny dzień nie przyprawia nas o tyle rozkosznych drgnień serca, żaden nie wywołuje z oddali naszej pamięci tak wiele postaci i obrazów, żaden nie wzbudza w nas tyle ufności, tyle nadziei co ona.

Ja jestem w tych przedświątecznych dniach i radośnie podniecony, i trochę smutny. Ożywczej radości doświadczam na myśl o tym, że za kilka dni wszyscy zbierzemy się staropolskim zwyczajem przy stole wigilijnym, łamać się będziemy opłatkiem i długo życzyć sobie rozmaitych rzeczy, a potem, po spożyciu tradycyjnej zupy z suszonych grzybów, ryby i klusek z makiem słuchać będziemy płyt z polskimi kołędami i sami śpiewać będziemy „A wczoraj z wczorą”, „W żłobie leży”, „Wśród nocnej ciszy”, „Bracia, patrzcie jeno” i wiele innych wspaniałych pieśni bożenarodzeniowych. A zafrasowany jestem dlatego, że w tym roku po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Francji spędzał będę Wigilię poza Nordem. Czy w Wigilię na Nordzie dzieje się coś nadzwyczajnego? Czy tam Polacy obchodzą Wigilię odświętniej, uroczystej niż w innych stronach Francji czy Belgii? Nie, gdzie tam. Ale Nord to jest Nord, i już. Tam jednak żyje najwięcej Polaków. Tam przybyli w latach dwudziestych emigranci stworzyli coś na kształt miniatury polski. Zawsze wydawało mi się, że stamtąd, z tego użyźnionego trudem polskich rąk i emigranckimi prochami zagłębia musi być do Polski w noc wigilijną bliżej aniżeli z jakiegokolwiek innego miejsca na ziemi.

A, Wy, Drodzy moi? Co porabiacie? Jakie Was zaprzątają myśli? Strasznie chyba wszyscy jesteście zalatani, prawda? A żona pewnie całkowicie odsunęła Was od władzy, zachowuje się jak dyktator i co chwila przybiera ton kaprała podczas komendy, no nie? Nie musicie mi tłumaczyć, jak to jest, bo moja też krząta się po chałupie taka jakaś podenerwowana, jakby jej osa siadła na nos, a ja tylko usłużnie usuwam się jej z przejścia i skaczę koło niej jak rekrut koło pułkownika. Z kobietami przed Świętami lepiej nie zadzierać, bowiem pucowanie mieszkania i rozrabianie ciasta na babki, placki i makowce przeistacza je w groźne lwice. Ja, powiadam Wam, siedzę jak trusia, bez szemrania spełniam wszystkie żonine polecenia i biegam do sklepów za sprawunkami jak gazela.

Z pewnością przenosicie się także w tych dniach myślą do Waszych stron rodzinnych, prawda? Z pewnością staje Wam przed oczyma Wasza wioska, twarze rodziców, śnieg, który wesoło chrząścił pod stopami, kiedy szło się na pasterkę, choinkowe szpilki w szparach podłogi ojcowskiego domostwa, i z pewnością na myśl o dzieciństwie i Ojczyźnie robi się Wam miękko koło serca, bo przecież mimo upływu czasu z tych pieczołowicie przechowywanych przez pamięć obrazów nie wywietrzała moc wzruszenia serca i urzekania wyobraźni, prawda? Może wspomnienie także pierwsze Wigilie spędzone na ziemi francuskiej. Może myślicie o tych spośród Waszych bliskich, którzy odeszli od Was na zawsze i którzy już nigdy nie będą dzielić się z Wami opłatkiem?

Może niektórzy z Was myślą również w tych przedświątecznych dniach o piszącym do Was każdego tygodnia Józefie Grzybku?

Niech w Święta w naszych domach powionie ojczystym powietrzem

LISTY Józefa Grzybka

Ja to bardzo często powracam myślą do Was. Usiłuję sobie wyobrazić, jak przygotowuje się do Świąt mój ziomek z dalekiego Cagnac-les-Mines, pan Grześkowiak; zastanawiam się, czy zamieszkała w podpirenejskiej miejscowości Pontacq pani Wiktoria Tarrieu, o której „Tygodnik” wydrukował w końcu października artykuł i która podobno lubi czytać moje „Listy”, spędzi Święta tam u siebie w Basses-Pyrénées czy też pojedzie do brata do Dijon; myślę o p. Stanisławie Hałysie z Athis-Mons, który kiedyś napisał do mnie ciekawy list w sprawie rubryki „Straty Emigracji” (odpisałem mu obszernie w pierwszym numerze październikowym)... Wspominam także zamieszkałego w Grâce-Berleur w Belgii pana Leopolda Ziębowicza, któremu zazdroścę, że potrafi układać takie wzruszające wiersze jak ten, który został opublikowany w „Tygodniku” w drugiej połowie września; i wspominam także pana Witolda Nowaka z Billy-Montigny, który tak rozumnie wypowiadał się na temat zbierania pamiątek Emigracji i który w zeszłym roku tak barwnie i tak uczuciowo napisał w numerze świątecznym o tym, jak starzy emigranci w północnej Francji obchodzą Wigilię i Święta; i dzielnego pana Mieczysława Procha z Troyes, którego działalność na niwie społecznej znają i podziwiają Polacy z całej Francji; i pana Hieronima Strzemiecznego z podparyskiej miejscowości Blanc-Mesnil, który raz do mnie napisał, ale potem nabrał wody w usta i od dłuższego już czasu milczy jak skała (Panie Strzemieczny! Co jest, do kogo? Czyżbym ja w czym Panu uchybił? Jeśli tak, to najuroczyściej Pana przepraszam i niech się Pan przestanie na mnie bocyć. Zgoda?)... I jeszcze myślę o panu Andrzejku Zrębiczu z Roubaix, który w marcu przysłał mi na imienniny taką ładną kartkę, że aż mnie zatkało ze wzruszenia, i o panu Chlebowskiem z Denain, który w swojej wypowiedzi na temat Muzeum Emigracji podkreślił, że my, emigranci, radzi byśmy Polsce nieba przychylić, i o wielu, wielu innych czytelnikach i czytelnicach naszego pisma.

Widzicie, Drodzy moi, mimo iż znam Was tylko ze słyszenia, tylko z publikowanych w „Tygodniku” listów i artykułów, to jednak polubiłem Was tak szczerze, jakbyśmy byli starymi kumami — z całej duszy, prawdziwą i szczerą przyjaźnią. Ach jej, jaka szkoda, że w Wigilię nie możemy się wszyscy spotkać przy jednym stole! Ale byśmy się wyściskali, no nie? Ale byśmy sobie naopowiadali rozmaitych ciekawych historii.

Ale byśmy się naśpiewali kołęd, co? Może pan Ziębowicz zadeklamowałby nam jakiś wiersz? Ja może też przeczytałbym Wam jakiś poemacik, ale nie swój, bo ja nie mam niestety smykałki do poezji. Ja bym Wam chyba odczytał fragment utworu Marii Konopnickiej zatytułowanego „Pan Balcer w Brazylii” — fragment, w którym złożony śmiertelną chorobą w Brazylii emigrant Jan Gruda tak oto pisze do rodziców w Polsce:

„Piszę ja do Was, rodzice moi,
Z struchlałym sercem, z mokrymi oczyma,
A między nami morze wielkie stoi,
Nie daje do was i przez moc mnie trzyma,
Iż srogie puszcze są i góry straszą
Między mną tutaj, a hań, chatą waszą.

...Więc tylko oczy podnoszę nad szczyty,
Rano i wieczór patrzący w tę stronę
Gdzie jest kłosami nasz zagon nakryty,
Gdzie łąki nasze o rosie koszone...
I radbym ptakiem przelecieć tę drogę,
I wiatrem radbym przez nią — a nie mogę!...

Ale byśmy się nad tym wierszem o emigranckiej tęsknocie za Polską wszyscy serdecznie popłakali! I wszyscy znaleźlibyśmy we łzach wielką ulgę, no nie?

Ponieważ marzenia tego zrealizować nie możemy, ponieważ nie możemy wspólnie spędzić Wigilii, podzielmy się chociaż opłatkiem symbolicznym. Niech tym symbolicznym opłatkiem będzie ten świąteczny numer „Tygodnika”, w którym ukaże się to moje pisanie, i dzięki któremu w Święta powionie w naszych domach powietrzem ojczystym.

Życzę Wam,

Drodzy moi,

zdrowych

i pogodnych

Świąt

Józef

Grzybek



**P
K
O**

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

**BANK
POLSKA KASA OPIEKI S.A.**

W związku z licznymi zapytaniami BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A. Oddział w Paryżu uprzejmie informuje swoich Klientów, że obowiązujące przepisy dewizowe w zakresie przekazów pieniędzy za granicę zostały zmienione w sposób następujący:

- karnety wymiany zostały zniesione
- istnieje możliwość KAŻDORAZOWEGO przekazania za granicę kwoty do 300 F. — bez udokumentowania.

Tym samym ZNIESIONY ZOSTAŁ PRZEPIS dopuszczający przekazywanie za granicę tylko raz w roku 250 F.

**P
K
O**

Filizanka

Barbara Gordon

CZARNEJ KAWY

(16)

Kozłowicz nie widział powodu, aby ukrywać przed nią prawdę. Posunął się nawet nieco dalej: sięgnął do przypuszczeń.

— Tego samego dnia, pod wieczór, sędzia Murach zmarł, a raczej zginął otruty. Przypuszczam, że pani siostra zastała go już konającego. Czy powiedział jej coś przed śmiercią, o tym nikt z nas się już nie dowie. W każdym razie świadkowie wypadku twierdzą, że pani siostra sprawiała wrażenie osoby, która kogoś poznała na ulicy, kogoś goniła. Może właśnie tego człowieka, którego szukała przez przeszło dwadzieścia lat. Co do okoliczności śmierci pani siostry, też mamy poważne wątpliwości. Jej rany były poważne, ale nie mogły spowodować tak nagłego zgonu. Ten zgon przyspieszyło wstrzyknięcie nadmiernej dawki morfiny. Ubolewamy nad tym. Może zdążyłaby jeszcze przed śmiercią wskazać nam osobę, o której rozpoznanie prosił ją sędzia Murach. Przypuszczam, że ta osoba spostrzegła się, iż grozi jej zdemaskowanie, i zabiła sędziego. Czy pani siostrę także, będziemy się starali wyjaśnić.

Pani Skowrońska wstała, kobieta gospodarna ceni czas, swój własny i cudzy. Uważała jednak za słuszne podzielić się na zakończenie rozmowy z tym sympatycznym i wzbudzającym zaufanie człowiekiem swoimi myślami, stanowiącymi z pewnością owoc wielu przeżyć i przemyśleń. Tak to czuła i musiała mu o tym powiedzieć:

— To straszna rzecz, proszę pana, taka wojna. W dawnych wojnach też ginęli ludzie, ale wtedy tylko, kiedy trwały. A ta ile to ludzi zabijała, zostawiając ich żywymi. Ot tak, jak Matyldę, moją siostrę. I jeszcze wciąż ludzi zabija, jakby jej jeszcze było mało. Ale pan kapitan odnajdzie tego człowieka, co tak ciągle tę wojnę w sobie nosi, prawda? Ja wierzę, że pan tego mordercę odnajdzie.

— Muszę go odszukać, proszę pani. Tak jak pani powiedziała, on nie umie przestać zabijać. Niestety, tacy jak on, potrafili tak poukrywać się, że niełatwo ich wykryć. Jeszcze jedno, jeśli pani pozwoli. W rzeczach pani siostry, które oczywiście, wydamy pani, nie znaleźliśmy listu od sędziego Muracha. Czy siostra miała go przy sobie?

— Tak. Bo tam był adres.

— Dziękuję pani. Proszę, niech pani poczeka tu, w sekretariacie. Zaraz wrócę z pogrzebu sędziego nasi pracownicy, pomogą pani w załatwieniu wszystkich spraw.

Podala mu rękę na pożegnanie miękko, nieśmiało. Prawdopodobnie nie miała wprawy w takich gestach. W kręgu rodziny ktoś by sobie ręce ścisnął? A ten krąg to było całe jej życie.

ROZDZIAŁ 9

Kozłowicz denerwował się:

— Trzeba nam było zwyczajnie od razu opieczetować mieszkanie Murachów. To niedopatrzanie. Lubię takie ceregiele.

— Właśnie — mruknął przekornie Socha — ty byś to pewnie zrobił. Ale niech bym ja spróbował. Pani doktor zrobiłaby rwetes na cały powiat i województwo. Ty jej nie znasz. Ma taaaakie chody. I o co ci właściwie chodzi? Naprawdę myślisz, że ten kawałek gazety jest gdzieś albo był w mieszkaniu Murachów?

— Kto to może wiedzieć. Może być.

— Słuchaj — Socha nastroił się bardziej

ugodowo — a czy nie prościej byłoby sprowadzić taki sam rocznik z jakiejś biblioteki albo z Berlina?

— Już telefonowałem w tej sprawie. Obiecali, że się pospieszą. Ale wiesz, jak to jest. A ja się boję.

— Czego? Kawałka papieru?

— Jeżeli ktoś go zniszczył, pół biedy. Ale jeżeli ktoś go ukrył, może drogo za to zapłacić. Nawet życiem.

Socha spoważniał. Kozłowicz prawdopodobnie wie, co mówi i co ma na myśli. Miał trochę żalu, że nie ze wszystkim mu się zwierza, ale trudno.

Kozłowicz spostrzegł się:

— Przepraszam cię, powinienem ci wyjaśnić, o co mi chodzi. Powiedziałem ci wszystko o Krychowej. Teraz dalszy ciąg. Otóż w tej części rocznika, którą skleiliśmy, jest wydrukowany początek reportażu z Guterhofu. A na tej brakującej stronie jest dalszy ciąg historyjki o tym, jak to pięknie hitlerowski personel szpitala dba o chore dzieci. Tam na pewno były nazwiska personelu, może nawet zdjęcia. Tak, na pewno były zdjęcia. To była ta nić, którą trzymała w rękę Murach. Urwała się nam.

Socha usiłował przejawiać optymizm:

— Może jeszcze znajdziemy tę stronę.

— Pytałeś doktor Murachową?

— Pytałem — zachmurzył się Socha. — Nic z tego.

Kozłowicz miał żywą wyobraźnię. Łatwo mu było zrekonstruować tę scenę. Socha, drobny, szczupły, stoi potulnie na progu przedpokoju, przed nim postawna kobieta w czerni, istna kasztelanka, pani zamku, jak ją sobie ochrzcił na prywatny użytek kapitan. Spoziera wyniośle i z pretensją. „Co?” — dziwi się, unosząc w górę piękne, regularnie zarysowane brwi — „kawałek gazety? Czy widziałam? Niech pan sobie poszuka wśród tych stosów papierów, jeśli panu zależy. Ja mam inne zmartwienia. Powinien pan zdawać sobie z tego sprawę”...

Tak musiało być i tak chyba było. Socha skarży się:

— Powiedziała, że ma co innego na głowie niż kawałek starej gazety.

— A Blinowa?

— Posłałem tam sierżanta Grabka. Zaraz go zawołam, niech powie, co zwojował.

Kozłowicz nie ma pretensji do Sochy, że nie odwiedził osobiście pani Anieli Blinowej. Tych dwoje nie czuje ku sobie sympatii, to widoczne.

Sierżant Grabek ociera pot z czoła. Melduje:

— Nic z tego, obywatelu poruczniku. Pani Blinowa była bardzo zdenerwowana, że rewizję chcemy przeprowadzić. Zajrzałem tu i tam, ale ja z góry wiedziałem, że nie ma czego szukać.

— Dlaczegoż to? — spytał Kozłowicz zaintrygowany.

— Ja przecież znam tych mikrusów, obywatelu kapitanie. I te ich skarby. Niech to będzie stara kłamka albo łuska po naboju, albo obrazek z ładnym samochodem, żaden tego na wierzchu nie trzyma. Po kątach, po szufladach. A jeżeli matka taka, co porządek lubi, jak Blinowa na przykład, to w ogóle w domu tego nie trzymają. On to ma gdzieś schowane. Jeżeli ma.

— Właśnie. Skąd mamy tę pewność?

Sierżant uśmiechnął się wyrozumiale:

— Między dziećmi nic się nie ukryje. Do nas tylko nie dociera, co oni broją. Ale ja mam swoje sposoby. Bo to jak dzieci, czasem się posprzeczą, pokłóca, to coś im się wymknie niechęć. Zwłaszcza dziewczynkom. Dziś na ten przykład miałem taki wypadek. Schodzę od Blinowej, a tu mnie Siostra Wirkusówna zatrzymuje. Czerwona jak burak ze złości. Pokazuje mi: przed drzwiami ktoś jej starą szczękę końską na sznurku zawiesił. Mówię, że pewnie dzieciaki. Dla psoty. „A pan, panie Grabek zawsze tych bandytów broni!” — wrzasnęła i drzwiami trzasła, aż tynk na schodach poleciał. No to poszedłem do tych „bandytów” na podwórko. Ani śladu po nich. Podobnież do lasu poszli w Indian się bawić. Tak mi powiedziała taka jedna Ewka. Ta to lubi skarżyć, niech ją! Zła była na nich, że jej nie zabrali, wystarczyło, żebyśmy zapytał, który to z nich ten prezent Wirkusównie zrobił, od razu mi wykłepała. Że Jurek Blina. Bo Wirkusówna mu podobnież hełm podarła, papierowy, który sobie z kawałka gazety zrobił. Chciała cały ten hełm, ale tylko strzępek jej w rękę został. Z resztą Jurek uciekł. Ale się zemścił. No i co, pytam Ewki, co on z tą resztą hełmu zrobił? Ale już ta mała zmiyka pokapowała się, że za dużo chce wiedzieć, i umknęła mi. Ja myślę, obywatelu kapitanie, że to właśnie ten kawałek gazety, co go szukamy.

Kozłowicz zerwał się na równe nogi:

— Sierzancie, idźcie jak najprędzej do tego domu. Jak tylko odszukacie Jurka, nie spuszczajcie go z oka. Widzę, że macie sposoby na młodzież. Róbcie, co chcecie, ale ten skrawek tygodnika musicie od niego wydobyć. I musicie na niego uważać. Boję się o niego. Grozi mu niebezpieczeństwo.

Gdy sierżant odszedł, Kozłowicz wyjaśnił swoje obawy:

— Jurek mógł przyjrzeć się zdjęciom, chociaż nie rozumie chyba po niemiecku. Teraz on z kolei może być jednym, który wie, kto z mieszkańców Kramna pracował kiedyś w Guterhofie. Rozumiesz, jakie to ma znaczenie? Może stać się następną ofiarą.

— Czy wezwać Wirkusównę? Trzeba odebrać od niej ten skrawek, który oderwała od hełmu Jurkowi.

— Wirkusówna... — powtórzył w zamyśleniu kapitan. — Tak, masz rację, ale najpierw musimy mieć to, co ma Jurek Blina.

Chłopiec, którego imię i nazwisko tak często tego popołudnia padało w gabinecie komendy powiatowej, puszył się i nadymał jak paw. Ostatecznie, to nie byle co, znaleźć się nagle w centrum zainteresowania dorosłych, a szczególnie milicji. Wprawdza matka, po jego powrocie z indiańskiej wyprawy wojennej, sprawiła mu tęgie lanie i za to, że: „milicja w naszym domu! Taki porządny dom! W życiu takiego wstydu nie miałam! Takiej z ciebie pociechy doczekałam się na stare lata!” — i za ową szczękę końską przed drzwiami siostry Urszuli, z którą wygodnie jest utrzymywać dobre stosunki, bo zawsze za parę złotych jakieś dobre lekarstwa szpitalne można od niej wyciągnąć. Ale za to wszyscy chłopcy z całej ulicy są świadkami, że ważna musi z niego być osoba, skoro sierżant Grabek łązi za nim przez całe popołudnie krok w krok. Łązi, a od czasu do czasu przyzywa go kiwnięciem dłoni i zaczyna się wtedy trućcie.

— Gdzie schowałeś tę resztkę papierowego hełmu?

— Pan sierżant chce z nami w wojsko bawić się? Jak tak, to mogę zrobić drugi hełm. Jeszcze ładniejszy. — Jurek nie boi się ani sierżanta Grabka, ani nauczycieli w szkole. Nie boi się, jak to mówią, diabła ani pogana, ani księdza, ani nawet dentystki. Jurek boi się tylko mamy. O tym nie musi Grabek wiedzieć, więc można z nim podrozczyć się.

— Głupią, bracie — odzywa się dobrodusznie sierżant — do prawdziwego wojska pójdziesz, sam zobaczysz, jak to jest. Że to żadna zabawa. Na tej gazecie coś takiego jest napisane, co mi potrzebne.

— E tam — Jurek wydyma lekceważąco policzki. Z poczuciem wyższości kogoś, kto wie lepiej, tłumaczy sierżantowi. — Bo to prawda! Tam mało co napisane. Same obrazki...

I tu spostrzega, że popełnił błąd. Zdradził się z faktem posiadania tego skrawka gazety. Ale trudno, słowo się rzekło.

Sierżant cieszy się jak dziecko:

— No widzisz, właśnie o te obrazki mi chodzi.

— Mnie też.

— Takie ciekawe? — nalega sierżant ostrożnie.

Jurek okazuje szczery entuzjazm:

— Po jednej stronie jakies gęby, nieważne. Ale po drugiej, to by panu sierżantowi oczy wyszły. Walka samolotów. Jeden atakuje, drugi pikuje i prrrrrrrr...

Szereg dźwięków, imitujących serię z karabinu maszynowego rozdarł ciszę podwórka, na którym odbywały się pertraktacje.

— Właśnie takiego zdjęcia brak mi do mojego zbioru — upiera się łagodnie sierżant.

— Zbiera pan sierżant obrazki? Nie wiedziałem — Jurek konferuje jak równy z równym. Zbieracz to klan. Wiek nie odgrywa wśród nich roli.

— Tak — ożywia się sierżant — wojenne. Mam walkę czołgów, walkę łodzi podwodnej z samolotem, no i takie różne inne... — fantazja już mu dalej nie dopisuje. Co z czym jeszcze może walczyć? Kuchnia polowa z ambulansem sanitarnym?

Nagle mały kontrahent zmienia ton. Mówi pogardliwie:

— E tam. Ja już właściwie nie zbieram obrazków. Przerzucam się.

— Na co? — Sierżantowi robi się już słabo.

— Na znaczki lotnicze i medale wojskowe.

— Wiesz co? Dam ci za ten hełm serię ze sputnikami.

— E tam. Mam na pęczki.

— No to co chcesz?

Jurek podrzuca czubkiem buta drobne kamyki. Celuje nimi w gromadkę wróbli, skaczących po trawniku. Ale nie trafia. Może nie chce trafić? Przecież chodzi o to, żeby strzelać, a nie żeby trafiać. Namysłą się, znów ma minę waźniaka:

— Sam nie wiem...

Sierżant postanowił zrobić ofiarę z własnych zbiorów:

— Dam ci przedwojenny start balonu z Doliny Chochołowskiej.

To już coś — myśli Jurek, ale nie kapitułuje tak łatwo:

— Pan sierżant uważa, że ja taki zielony? O, nie. Za ten szpargał już mi niejedno obiecywano.

Sierżant dziwi się naiwnie, starając się opanować podniecenie:

— A co takiego?

Jurek wylicza, zaginając niezbyt czyste i pokiereszowane palce:

— Pani doktor Murachowa furę „kryminałów”, to raz. Pan doktor Lebioda nową wędkę. To dwa. Siostra Wirkusówna scyzoryk, co ma dużo ostrzy, taki myśliwski. To trzy. A mama konfitury na deser przez cały miesiąc, a jak nie oddam jej, to mnie spierze. A pan sierżant tylko znaczek... Niech nawet z balonem.

Sierżant deklaruje desperacko:

— Dostaniesz to wszystko ode mnie. Bez lania. Wszystko, co tobie tamci obiecali...

Jurek dochodzi do wniosku, że ta transakcja w końcu zaczyna mu się opłacać.

Wędkę wymieni z Grześkiem na łuski, za te łuski dostanie od Władka trzy medale. „Kryminały” po przeczytaniu będzie wypożyczać kolegom za znaczki. Scyzoryk i lot balonem zachowa, oczywiście, dla siebie.

— Dobra już, dobra — mówi protekcyjnie. — A kiedy to wszystko będzie?

— Jeszcze dziś wieczorem — przyrzeka sierżant. — Wiesz, że ja dotrzymuję wam zawsze słowa.

Jurek wie, że sierżantowi można wierzyć. Ma na ogół dobrą opinię wśród młodego pokolenia. Nawet jego własne dzieci go chwala.

— Zaraz przyniosę...

— Pójdę z tobą — ofiarowuje się skwapliwie sierżant.

— Ani mowy — Jurek jest twardy. — Gdzie ja to mam, moja sprawa. Nikomu nie do tego.

Sierżant przeżywa rozterkę. Jurek gotów wycofać się. Do tego nie wolno dopuścić. Z drugiej strony sierżant zobowiązał się wobec kapitana, że nie odstąpi Jurka ani na krok. Ale, ostatecznie, cóż mu się może stać dosłownie w zasięgu wzroku sierżanta, pod bokiem matki, we własnym domu?

— No dobrze — zgadza się niechętnie — ale ja będę tu niedaleko. Gdybyś mnie potrzebował, krzyknij.

Jurek się dziwi: dlaczego może potrzebować sierżanta przy opróżnianiu swojej skrytki? Ale wyraża zgodę i nie protestuje, kiedy sierżant wkracza za nim na klatkę schodową.

Uzgadnia się, że sierżant zostanie przed strychem na schodach, a Jurek uda się sam na strych. To urządzi sierżanta. Opiera się o balustradę i zapala papierosa, żeby się odprężyć.

Słyszy najpierw, jak Jurek chodzi po strychu. Potem taki dźwięk, jak gdyby otwierało okno, szafę albo drzwi. Potem lekki stukot i cisza. Długa chwila ciszy. Za długą chwila i zbyt wielka cisza, żeby sierżant czuł się nadal związany słowem, danym Jurkowi. Odrzuca nie dopalony papierosa, przydeptuje go obcasem i wkracza na strych. Jak to na strychu — latem — duszno, gorąco. Mnóstwo gratów. Sznury od bielizny. Półmrok, który rozpraszają małe okienka. Ale Jurka nigdzie nie ma. Sierżant szuka chłopca gorączkowo po wszystkich kątach i zakamarkach, nigdzie go nie widać, ale trzy-nastoletni chłopak nie szpilka, w myśliwcu się nie schował. W tej chwili sierżant ma ochotę głośno zakląć, kierując obraźliwe słowa pod własnym adresem. Powinien był to przewidzieć: żaden z chłopaków nie zaprowadzi nikogo dorosłego wprost do swojej kryjówki. Raczej wyprowadzi go w pole, tak właśnie, jak to zrobił w tym wypadku Jurek. Przeciąg porusza uchylonymi drzwiczkami otworu, wiodącego na dach. Z dachu opuszczona drabina wskazuje drogę, którą przed kilkoma minutami odbył mały spryciarz. Drabina oparta jest o daszek drewnianego baraczku, służącego mieszkańcom domu za skład rupieci, narzędzi ogrodniczych, drewna na opał. Oczywiście, sierżant powinien się być domyśleć, że Jurek ukrywa swoje skarby poza domem, stanowiącym orbitę, po której krąży jego matka. Do składowiska po drewno na opał posyła się zawsze ktoś z dzieci. Poza nimi, któż tam chodzi. Sierżant nie cofa się już w głąb domu. Rzykuje, że drabina i daszek nie wytrzymają jego ciężaru i obiera tę drogę niebezpieczniejszą, lecz krótszą. Ładuje jednak pomyślnie, chwalać sobie w duchu nawyk odbywania codziennych porannych ćwiczeń gimnastycznych dla przykładu młodemu pokoleniu Grabków.

Drzwi od komórki jeszcze chwieją się na zawiasach.

— Jurek! — woła niespokojnie sierżant.

Ale i tu nikt mu nie odpowiada. Oczy, porażone jaskrawym blaskiem zachodzącego słońca, z wolna osuwają się z panującą w składowisku ciemnością. Dopiero więc po chwili sierżant dostrzega ciało chłopca, bezwładnie rozciągnięte na stercie porąbanych drewniak.

Sala operacyjna powiatowego szpitala zalana jest jaskrawym światłem bezcienionych lamp. Koncentruje się ono na drobnym kształcie, nie zajmującym nawet połowy powierzchni operacyjnego stołu. Mogłoby się komuś zdawać, iż to nie błyszczące szkłem i nikłem okrągło-wklęsłe tarcze są źródłem oślepiającej jasności, ale właśnie ten nieduży, nieruchomy kształt owinięty w prześcieradła, dookoła którego co raz nachylają się wysmukłe postacie w białych, jak gdyby odprawiało się tu dziwne nabożeństwo. Ruchy tych postaci są precyzyjne, skoordynowane, szybkie. Ciszę przerywają raz po raz oderwane słowa, którymi porozumiewają się między sobą. Od czasu do czasu zadźwięczy szkło stolika z narzędziami, brzęknie metalicznie potrącony instrument.

Na wyraźne życzenie kapitana Kozłowicza ordynator szpitala, doktor Gawroński, osobiście zajmuje się Jurkiem Bliną. Na szczęście, sprawa nie jest tak groźna, jak mogłaby się z początku wydawać. Jurek jest w stanie szoku, nieprzytomny, ale rany powinny zagoić się pomyślnie.

Cios zadano mu tępym końcem siekiery. Niedużej siekiery, leżącej zawsze tuż przy wejściu do komórki Blinów i służącej Jurkowi do łupania polan na drobniejsze drzazgi na podpałkę. Może napastnik chciał tylko ogłuszyć Jurka, może nie chciał go zabić — zresztą, kto to wie. Jurka uratowało to, że potknął się w chwili, kiedy spadał na niego cios, zadany od tyłu. Potknął się, czy pośliznął na drewnkach, rozsypanych na podłodze drewnutni. Może dosłyszał kroki za sobą, chciał się odwrócić i wtedy upadł. Upadek ten sprawił, że siekiera drasnęła go tylko w głowę, cała siła jej uderzenia dosięgła ramienia chłopca i zgmiotła mu obojczyk. Teraz trzeba wyjąć kilka drobnych odłamków kości, doprowadzić wszystko do porządku, założyć gipsowy pancerz.

Wszystko to dzieje się na sali operacyjnej, do której oczywiście nikt poza personelem nie ma dostępu, ale ani kapitan Kozłowicz, ani porucznik Socha nie opuszczają szpitala. Czują się w jakiejś mierze odpowiedzialni za to, co się stało. Socha od czasu do czasu zaciska zęby, żeby nie zakląć soczyście i powtarza:

— Bo ja bym z nimi inaczej, z tymi małymi łobuzami. Dałbym raz po tyłku i zaraz by się ta zatracona stronica znalazła. A potem na pocieszenie tabliczkę czekolady. Nie trzeba było wdawać się z nimi w rozmowy. Też mi dyplomacja ze smarkaczami.

Kozłowicz zgadza się jednak z sierżantem Grabkiem: taki mały cwaniak, zmuszany siłą, raczej podre i zniszczy przedmiot sporu niż go odda.

Sierżant Grabek jest załamany. Uważa, że to wszystko jego wina. Dał się nabrać Jurkowi i stał całe nieszczęście.

W izbie przyjęć sądny dzień. Matka Jurka Bliny lamentuje głośno, na cały szpital, odgryza się nieznanemu napastnikowi, dziwiąc się, że go jeszcze święta ziemia nosi, nie rezygnuje z lania, jakie sprawi swojemu urwisowi, gdy tylko dojdzie on do zdrowia, ma za złe nieudolność i safandulstwo milicji miejscowej i wojewódzkiej. Siostra Urszula, która właśnie zjawiała się na nocny dyżur, uspokaja ją, troskliwie poi nasercowymi kroplami.

Oparci o okienną ramę tkwią obok siebie w bezruchu i milczeniu doktor Teresa Murachowa i doktor Piotr Lebioda. Doktor Murachowa również dopiero co tu przybyła, ale już zdążyła przywdziać swój biały lekarski fartuch. Czuje się głęboko dotknięta faktem, że kapitan Kozłowicz nie tylko nie dopuścił jej na salę operacyjną, ale oznajmił także, iż dyżur swój będzie mogła podjąć dopiero po rozmowie z nim. Czeką teraz na tę rozmowę. Spogląda co chwilę na zegarek, dając bez słów do zrozumienia, że ucieka cenny czas, należący nie do niej, ale do pacjentów.

8

Było już późno. Czas by się było położyć. Nowicjusz próżno szukał, gdzie by ubranie ulokować. Dwa krzeselka zajął Werbel na swoją garderobę. Wierzch zaś pudła był zastawiony pustymi słojami i naczyniami aptecznymi.

Wtem z materialni rozległ się krótki, nerwowy odgłos dzwonka elektrycznego.

— Tyran! — zawołał Werbel. — Otwieraj!

Zaspány Józef po małej chwili wysunął się spoza szaf ze szkłem i poszedł otworzyć.

We drzwiach, prowadzących do apteki, ukazał się młody człowiek, w kapeluszu na bakier, z twarzą rozpromienioną.

— Jak się masz, Kulasie! — zaczął przybyły krzykliwie.

— Jak się masz! Wyczekiwałem z niecierpliwością. Spać mi się chce, a ty marudzisz!... Przecież miałeś mnie zastąpić?...

— Więc co? — odparł zagadnięty. — Dziś moja wychodnia, mogłem i wcale na noc nie wrócić!... Złaz z łóżka, niech cię... podyżuruje!... Ale!... To macie nowego pueru!... Dzień dobry panu! Moje uszanowanie panu puerowi!...

Władysław się skłonił z daleka.

Werbel zbierał ubranie.

— Cóżeś dziś porabiał? — zapytał.

— Co? Fiu! Używałem jak pies w studni. Najpierw spotkałem się z Jankiem Kręckim w cukierni, później byłem na „Nitouche”*. Powiadają ci, Kirszenmanka śpiewa! No, paradnie! Słowo honoru! Znakomita!... Zaraz, czekaj!... Aha!... „Był sobie dragon, tęgi żołnierz!” Floridor jest niezrównany! Po teatrze poszliśmy na piwo do Czarnej Róży! Janek mnie namawiał, żebym jeszcze z nim szedł... lecz dałem pokój... floty braknie... koniec miesiąca!... Wstawiliśmy po cztery przepalanki, trzy szkła piwa... kawałek chabaniny w buzię i... jestem!... Tylko... na „Nitouche” idź, idź koniecznie!

— Pójdę, pójdę... naturalnie!

— A cóż Zimorodek i Grzebała?... Śpią...

— Pewnie!... Czas i na mnie! Dobranoc ci!... Jutro idę do babki...

— A idź... do dziadka! Żebyś pan zdrow był...

Werbel, utykając z lekka na lewą nogę, powlókł się do sypialni.

(c. d. n.)

* „Nitouche” (właściwie: *Mam'zelle Nitouche*) tytuł popularnej niegdyś francuskiej operetki, której twórcami byli kompozytor Herve (1825—1892) oraz dramaturgowie: Henri Meilhac (1831—1897) i Arthur Millaud (1844—1892).

Wacław Gąsiorowski



6

się przez laboratorium do sypialni pomocników. Za Werdą poszli Werbel i Smaczyński, za nimi Władysław i Józef.

Na środku niewielkiej izdebki, zastawionej trzema łózkami i kilku kufkami, piętrzyły się rzeczy Władysława z niewielką szafką na przedzie.

— Któż był taki mądry? — irytował się Werda. — Wynieść mi zaraz stąd! W naszym mieszkaniu nie ma miejsca na takie graty! Szafę i skrzynię zabrać na strych, a łóżko także!...

— Za pozwoleniem! — protestował poruszony Władysław. — Łóżko będzie mi potrzebne!...

— Na co? Przecież pan będzie spał w pudle!...

— Cha! Cha! Do pudła... do pudła... — skrzeczał Smaczyński.

— Ależ, panowie! Mnie pan Miłecki właśnie... mówił!...

— Co pan Miłecki! Ja pana pokażę. Słuchać! — wrzasnął zaperzony Werda, wymachując rękoma. — Józef, Wojciech! Wyrzucić mi w tej chwili!...

— Panie — prosił Władysław — szkoda! Przecież książki wiele miejsca nie zabiorą, przydać się mogą i panom! Jest tam biblioteka po ojcu... chętnie pożyczę...

— Macie! Smarkacz pan jesteście! Będziecie starszych rozumu uczyli!...

— Zostawcie! — wtrącił się Werbel: — Nie irytujcie się! Puer ma przewrócone w głowie! Wyniesie się to wszystko do suszarni, i po hałasie!...

Ze stołu w laboratorium zwlókł się drugi służący, Wojciech, i klnąc, jął razem z Józefem wynosić szafę i skrzynię na strych. Panowie farmaceuci powrócili wzburzeni do materialni i zaczęli raczyć się piwem. Władysław blady, drżący stał wsparty pod ścianą w sypialni. W głowie mu się mąciło, nie mógł zebrać myśli. Za cóż go sponiewierano? Czym zasłużył sobie na takie obejście? Wszak dopiero dwie godziny jest w aptece...

Mała, kopcąca lampka rzucała niepewne światło. Stos rzeczy Władysława zmniejszał się stopniowo; została w końcu pościel i podłużny kuferek.

— To weź do materialni — dyrygował Józef, potrącając nogą tłumok — a kuferek stanie w laboratorium pod stołem! — Gdzie więc będę spał? — zapytał Władysław niepewnym głosem.

— Gdzie? Jak przyjdzie czas, to się pan dowie! — odparł hardo Józef.

— Tylko bardzo proszę grzeczniej odpowiadać! — zaczął ostro Władysław, hamując wybuch gniewu.

3

B u d a



ARSZAWA udawała się na spoczynek. Wielki zegar kolejowy ponurym basem obwieścił godzinę dziesiątą. Ulice wyludniały się stopniowo, sklepy zamykano z łoskotem, dokoła zalegała pustka i cisza przerywana dalekim echem turkotu nieuchwytnego szmeru.

Na rozległym placu śródmieścia, w trzypiętrowej, narożnej kamienicy czuwała jeszcze pierwszorzędna apteka, bijąc potokami białego światła rozplywającego się w cieniach ponurej nocy marcowej.

W aptecce kończono dzienne obrachunki. Pan Edward Gędźba, współwłaściciel firmy „Gędźba i Miłecki”, stał pochylony nad szufladą kasową i sapiąc przeraźliwie, rachował pieniądze, starszy pomocnik, Werda, dodawał książkę odręcznej sprzedaży, z materialni dochodził szept prowadzonej rozmowy; służący Józef zamiatał podłogę.

— Proszę! — zaczął po chwili pan Gędźba, wysypując do szuflady drobne pieniądze do zmiany i odkładając na bok sporą paczkę banknotów.

— Receptura ośmnaście kopiejek dziesięć, odręczna dwadzieścia czterdzieści, wody pięć — dyktował Werda — razem czterdzieści trzy pięćdziesiąt.

— Hm! — mruknął pryncypał — mało, panowie, zapisujecie... z groszówek blisko piętnaście rubli!...

Pomocnik wrzucił ramionami i wyszedł w głąb aptecznych pokoi.

Gędźba pieniądze do sąsiedniego gabinetu odniósł, do kasy schował i obejrzawszy nie wykupione lekarstwa, zakomenderował w stronę laboratorium: — Zamykać!

Dwu zaspanych służących zaczęło powoli opuszczać karbowane żaluzje, w materialni rozległy się głębokie westchnienia.

Pryncypał atoli miał jeszcze zamiar dłuższą chwilą zabawić, bo rozsiadł się na czerwonej, aksamitnej kanapce pod oknem i zawołał cichym, przeciągłym głosem:

TYGODNIK POLSKI
LA SEMAINE POLONAISE

MEDCAP
23, rue Taitbout, Paris IX

4

— Panie Władysławie!
Z głębi lokalu apteki wybiegł siedemnastoletni młodzieniec i rumieniąc się z lekka, obrzucił pytającym spojrzeniem swego chlebodawcę.

— Panie Władysławie! — powtórzył cicho Gędźba, wpadając w ton słodkiej przyjaźni. — Co pan robi?...

— Ja... panie?! — odpowiedział z cicha młodzieniec. — Do prawdy nie wiem!...

— Rozumiem. Jest pan pierwszy dzień w aptece! Otóż muszę pana objaśnić. W aptece jest robota zawsze: gdy jej nie ma, trzeba umieć ją znaleźć. Jeszcze pan nic nie umie, należy więc ciągle przyglądać się i uważać. Tymczasem trzeba być posłusznym chłopaczkiem, grzecznym. Trzeba wstawać rano, nie tak bardzo, o siódmej, i przede wszystkim zetrzeć kurze w aptece, stoły, szuflady, łóżka i trzy dolne półki dookoła. W sobotę, raz na tydzień, przychodzi kobieta, która obciera całą aptekę. Panu Władysławowi może się to nie podoba... ale jest to zwyczaj przyjęty od dawna. Papierosów palić nie wolno. Raz w tygodniu, od południa, we środy, będzie miał pan wychodnię. Pomocnicy dostają pieniądze na życie, pan jednak będzie miał obiady i śniadania; na bułki otrzyma pan sześćdziesiąt kopiejek miesięcznie. Mam nadzieję, że pan...

— Będę się starał zasłużyć sobie na względy — przerwał rezolutnie Władysław.

— Tak sądzę. Niech pan przy tym pamięta, że dawniej inną trzeba było przechodzić szkołę!...

Za drzwiami materialni rozległ się stłumiony chichot. Gędźba brwi zmarszczył i ciągnął dalej:

— Kiedy ja byłem uczniem u Wankego, mówiono mi „ty”! Pan Władysław zrozumiał? „Ty” mnie mówiono! Musiałem nadto czyścić wszystkie naczynia, szpadle, menzurki, a nawet chodzić w piątki z panią Wanke do miasta. Czy pan Władysław rozumie? Twarda była szkoła, ale dobra! Dziś czasy się zmieniły... byle smarkacz rolę pana odgrywa! Będąc uczniem, wstawałem o szóstej, dyżuruwałem przez całe trzy lata, w nocy biegałem po piwnicach i górach, parobek był wobec mnie osobą! Rygor zawsze ogromny... za uszy się nieraz oberwało! Czy pan Władysław rozumie?...

Zapytany kiwnął machinalnie głową.

— To bardzo dobrze! Proszę to, co mówiłem, dobrze sobie zapamiętać!

Gędźba wstał z kanapki, odwrócił się plecami do młodzieńca,

7

— O! Patrzcie!... — odrzekł pogardliwie służący. — Jeszcze pana tu nie było, a ja już byłem! Grzeczniej! Pójdiesz pan do pudła, i już!...

— Słuchaj ty... bo...

— Ja się tam grózb pańskich nie boję! Jeszcze! Powiedział panu pan Werda, że pan do pudła pójdzie!

— Chodź, głupi — przerwał Wojciech — co będziesz słuchać!

Władysław w bezsilnym uniesieniu zagryzł do krwi wargi. Ładnie go tu przyjmowano! Gdybyż choć jedno dobre słowo usłyszał! Więc całe trzy lata praktyki?!... Nie! On nie zniesie — rzuci wszystko i pójdzie sobie! Pójdzie? Gdzie? Zabrzmiało w uszach pytanie i otrzeźwiło go. Tak, on tu zostać musi, bo inaczej być nie może...

Potok nasuwających się Władysławowi myśli przerwało wejście Smaczyńskiego i Werdy.

— Puer, do pudła — zaskrzeczał pierwszy.

— Proszę stąd! — potwierdził Werda. — Tu nie miejsce dla pana!...

— Panowie — próbował perswadować Władysław — pójdę, ale cóż ja wam...

— No, no! Bez romansów... i spać — przerwał starszy pomocnik — a o siódmej proszę być na nogach.

Władysław poszedł w milczeniu do materialni, ścigany śmiechem Smaczyńskiego.

Werbel, wpół rozebrany, leżał na łóżku dyżurnego, paląc papierosa. Wojciech znosił pościel Władysława. Wreszcie zbliżył się do stojącej pod oknem wielkiej, czworokątnej komody i rzekł, spoglądając na nowicjusza:

— To jest pańskie pudło...

Władysław po raz pierwszy w życiu zapoznawał się z dziwacznej konstrukcji łóżkiem.

Była to wielka, czworokątna skrzynia, której przednia ściana wysuwała się i łącznie z pustym wnętrzem komody stanowiła rodzaj szlabana na ziemi, deski rozłożonej na podłodze. Chcąc się położyć w tym zaimprovizowanym łóżku, należało najpierw stanąć na poduszkach, a następnie uchwyciwszy się krawędzi skrzyni, nogi powoli posuwać w kierunku pudła. Wstawanie było mniej skomplikowane, bo polegało tylko na umiejętności chodzenia na czworakach.

Władysław obojętnie patrzył na swoje pudło. Zaciął się w sobie i postanowił przemóc wszystko.

5

skinął na służącego, palto wdział i trzaskając drzwiami apteki, wrzasnął przeraźliwie:

— Dobranoc panom!

— Dobranoc! — odpowiedziały chórem głosy z materialni. Apteka była zamknięta.

Pan Władysław spojrział dziwnie za wychodzącym pryncypałem, skłonił się jego plecami i ocierając pot z czoła, wszedł do materialni.

Na jego widok gwar i hałas powstał nie do opisania.

— Patrzcie, jaki puer* czerwony! — wołał drugi pomocnik, Stefan Werbel, targając z lekka rękaw Władysława.

— To ci mu Gędzius wypalił! — chichotał starszy uczeń, Smaczyński.

— No, no! dajcie pokój! Małemu to dobrze robi, nosa mu utarli, nic nie szkodzi! — mitygował Werda.

— Jakby młodego pana nie trzeba było nakręcić! — mruczał Józef, służący, rozstawiając na środku materialni żelazne łóżko dla dyżurnego.

Władysław, milcząc, usiadł przy małym stolczku obok szafy z flaszkami.

— Mieliliśmy puera warchoła, teraz będziemy mieli melancholika — zaczął Werbel.

— Niech go starzy wezmą w obroty, to się w mig melancholia ulotni — dorzucił Smaczyński.

— Przepraszam panów — spytał nieśmiało Władysław — czy w aptece nie ma jakiej dzisiejszej gazety?...

— Gazety! Cha! Cha! — wybuchnęli zebrani.

— Panowie! Puer ma fioła!... Proponuję *aqua sedativa* na głowę!

— Daj pokój, Michałku! Komuś się zdaje, że będzie się zabawiał lekturą!... — cedził pogardliwie Werbel.

— Sądzę, że od jutra rana zaprenumeruje się kilka pism dla łaskawego użytku!... Naturalnie! Taki pan Władysław! — drażnił Smaczyński. — Boli pana główka? Pewno boli?...

Do rozmowy znów wtrącił się Józef:

— Et, proszę panów, to nic, ale z tym panem to nie tylko łóżko, pościel i rzeczy przyjechały, ale jeszcze szafa i całe dwie skrzynie książek. Aż niepodobna! Gdzie się to podzieje?... Stoją na środku pokoju u panów!...

— Co?! — wykrzyknął Werda, marszcząc brwi, i skierował

* P u e r (tac.) — chłopiec.

Drogi Czytelniczki! Drogi Czytelniczy!

Jak ten czas szybko płynie! Już po raz czternasty spędzimy wspólnie Święta i po raz czternasty witamy razem Nowy Rok!

Czegóż Wam i sobie życzyć? Chyba — jak zwykle — jak najmniej zmartwień, kłopotów, nieszczęść, czyli jak najmniej okazji, by do mnie się zwracać z prośbą o rady.

Nie znaczący to oczywiście, że nie chcę otrzymywać od Was listów. Cóż bym bez nich robiła? Są przecież namacalnym dowodem zainteresowania Czytelników moją rubryką, są świadectwem, że mi ufacie i że jestem wam potrzebna. Wolalabym tylko, żeby więcej było w Waszych listach radości niż smutku, sukcesów niż porażek, miłości niż zawodów.

Ale życie jest życiem, ustaniem nie tylko różami. Są i kolce. Chodzi o to jed-

nak, by umieć dostrzec nawet w najtrudniejszych chwilach jaśniejsze punkty, by ufać, że się wszystko jakoś lepiej ułoży.

Wszystkim żonom pokrzywdzonym, wszystkim mężom nieszczęśliwym, wszystkim samotnym i zagubionym — życzę, by nadchodzący rok stał się dla nich radośniejszy.

Wszystkim szczęśliwym, wszystkim zakochanym, kochającym i kochanym — życzę, by zawsze świeciło dla nich słońce.

Drogi Czytelniczki! Drogi Czytelniczy! w przededniu Świąt i Nowego Roku 1971 przyjmijcie ode mnie najlepsze, najserdeczniejsze, najgorętsze życzenia: **WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!**

Wasza ANNA



KOCHANA PANI ANNO!

Wysłałam za mąż przed czterema laty. Miałam bardzo ciężkie dzieciństwo i nie mogłam się uczyć. Wcześniej zaczęłam pracować, bo mu-

siałam pomóc matce. Byłam najstarsza z czworga rodzeństwa, a nasz ojciec umarł. Chodziłam do szkoły tylko przez cztery lata, to znaczy tyle, żeby nauczyć się pisać, czytać i rachować. Nic więcej. Mam dziś trzydzieści lat i nic nie umiem. Ale los się do mnie uśmiechnął. Pознаłam bardzo mądrego i wykształconego pana, starszego ode mnie o dziesięć lat. Pokochał mnie i ożenił się ze mną. Początkowo było mi bardzo dobrze. Dbałam o

niego, o dom, gotowałam, troszczyłam się o dziecko. Tak minęły pierwsze trzy lata. Mąż doskonale zarabiał. Ale gdy dziecko się trochę odchowowało, mąż mi powiedział pewnego dnia, że nie po to się ze mną żenił, żeby mieć tylko kucharkę, sprzątaczkę i nianię. Że chce, bym z nim bywała, by do nas przychodzili goście. Zrobiło mi się trochę przykro, bo wcale nie miałam ambicji towarzyskich. Przeciwnie, boję się ludzi, nie umiem prowadzić rozmowy, język znam, ale robię błędy i nawet mąż się ze mnie śmieje, a co dopiero obcy. Nie miałam jednak rady i rzeczywiście zaczęłam z mężem wychodzić. Po kilku razach mąż mi powiedział, że zachowuję się kompromitująco. A niedawno zaczął ze mnie kpić przy ludziach. Okropnie się zdenerwowałam i zaczęłam płakać głośno w towarzystwie. Mąż na mnie krzyknął, kazał mi w tej chwili wracać do domu samej, a gdy sam wrócił powiedział, że już nigdy nigdzie mnie nie zabierze, bo mu przynoszę wstyd. Co mam robić pani Anno? Przecież wiem, że nie umiem się zachować, ale nikt mnie tego nigdy nie uczył. Sama nie chciałam nigdzie chodzić, bo czułam, że nic dobrego z tego nie wyniknie dla mnie. Ale co teraz?

NIWYCHOWANA

DROGA PANI!

Dziwi się pani mężowi i może mu pani to ode mnie powiedzieć. Człowiek wykształcony, mądry nie ma prawa tak postępować. Ma natomiast obowiązek, jeśli ożenił się z prostą dziewczyną samemu dbać o jej wychowanie i naukę. To bardzo łatwo powiedzieć — przynosisz mi wstyd. Dużo trudniej jest żonę czegoś nauczyć — trzeba się wysilić, trzeba poświęcić trochę czasu i cierpliwości. Znam kilka takich małżeństw, jak wasze i muszę powiedzieć, że mężowie przez parę lat wspólnego pożycia doprowadzili do tego, że ich żony, nieuczzone, nieobyte stały się osobą towarzyską. Niekoniecznie trzeba kończyć szkoły, żeby umieć się zachować i umieć prowadzić rozmowy. Tego się można nauczyć przy mądrym mężu. Tylko ten mąż musi chcieć. Niech pani to wszystko mu przeczyta. To jemu powinno być wstyd, ale nie za panią, tylko za samego siebie.

ANNA

Michalinka ma głos

KIELISZKI, UŚCISKI i WESOŁYCH ŚWIĄT

Julcia Papcikowska powtarza mi zawsze to samo: — Nie trzeba być zazdrosną o męża. Zwłaszcza, jeśli się jest już sporo latek po ślubie. Cóż ci to szkodzi, jeśli rzuca oczkiem w lewo i w prawo? Jeśli na widok ładnej kobietki nabiera apetytu? I tak jeść przyjdzie do domu...

Julcia ma na pewno rację. Niemniej nieraz się denerwuje. Na przykład, kiedy moja znajoma Genusia zaczyna się słodzić, będąc w jego towarzystwie. I kiedy mój mąż ubiera nowy krawat właśnie wtedy, gdy Genusia ma przyjść do nas z wizytą, diabli mnie wtedy biorą.

Dlatego też, gdy Genusia zaprosiła nas na święta, chciałam jej odmówić. Ale Julcia Papcikowska mnie wyśmiała.

— Nie ośmieszaj się. Przyjmij zaproszenie. Wolisz sama pić, piec i gotować (przy dzisiejszej drożyznie), niż iść do drugich na dobrą wyzerkę?

Argument był przekonujący, bo żołądek jednak nie waży mniej od serca. Poza tym i Henio Papcikowski, mąż Julci, tak nalegał, byśmy się u Geniusi spotkali, że zdecydowałam się wreszcie iść do niej na święta.

Towarzystwo było wesołe, ale ja wciąż zerkałam w stronę męża i Geniusi, którzy rozprawiali z ożywieniem w jakimś kącie. Zaczęto sobie popijać. Pierwszy toast brzmiał naturalnie: „Wesołych Świąt!” I wzajemne uściski. Spozstrzegłam, że uścisk Geniusi i mego męża wcale nie był świąteczny. Już chciałam zareagować, ale Henio Papcikowski mi przeskodził: „Wesołych Świąt!” — zawołał i mnie uściskał. Teraz z kolei spozstrzegłam, że i jego uścisk też nie był zbyt świąteczny. To mnie trochę wytrąciło z równowagi. Potem znów się podniosły kieliszki i nowe uściski. „Dobrego Roku!” I Heniusi mnie przycisnął mocno z tej okazji. Potem „Na nasze zdrowko!” — i znów pocałunki. Zaczęło mi się w głowie kręcić. To z pewnością ten nadmiar alkoholu. W każdym razie przestałam zerkać w stronę Geniusi i mego męża. Natomiast on zaczął rzucić spojrzenia w moją stronę, ale najbardziej ostre rzuciła mi Julcia Papcikowska:

— Co ty wyprawiasz? Trzeba mieć trochę umiaru! Na to odpowiedziałam jej niewinnie słowami, które mi zawsze powtarzała:

— Nie trzeba być zazdrosną o męża, zwłaszcza gdy się jest sporo latek po ślubie. Co ci to szkodzi, gdy nawet nabiera apetytu w towarzystwie innej kobiety, jeśli i tak jeść przyjdzie do domu?!

— Jeść w domu? — wrzasnęła Julcia — tyś go przecież zaprosiła na drugi dzień świąt do was!

Nawet nie pamiętałam o tym zaproszeniu między jednym kieliszkiem a drugim. Ale od razu otrzeźwiałam. Po co mi to było? Trzeba będzie od rana zacząć piec i pić dla gości. Mąż mój jednak był zadowolony:

— W takim razie zapraszamy również i Geniusi! Co miałam zrobić? Zaprosiłam więc Geniusi i Julcię, i jak już tak się zamachnęłam, to i zapraszam wszystkie moje Czytelniczki. Przyprawiając ze sobą swoich mężów. Będzie wyzerka, będzie picie, tylko nie będzie scen zazdrości. Kieliszki, uściski i wesołych świąt!...

MICHALINKA

TV DU 20 AU 26 DECEMBRE

PREMIERE CHAINE

TELE-MIDI — 13.00, INFORMATION PREMIERE — 19.45, TELE-NUIT — à la fin du programme
MIDI-MAGAZINE — 12.30 (sauf le dimanche)
DERNIERE HEURE — 18.30 (sauf le dimanche)
VIVRE AU PRESENT — 18.35 (sauf samedi et dimanche)
POUR LES PETITS — 18.35 (sauf le dimanche)
ACTUALITES REGIONALES — 19.00 (sauf le dimanche)
„NOËL AUX QUATRE VENTS” — 19.25 (sauf samedi et dimanche)
QUI ET QUOI? — 19.40 (sauf samedi et dimanche)

DIMANCHE 20 DECEMBRE

9.10. Télé-Matin
12.02. La séquence du spectateur
12.30. Gutenberg — une émiss. d'Eric Ollivier
13.45. Monsieur Cinéma
14.30. Télé-Dimanche
17.15. „Lumière de Paris” — un film de Richard Pottier (Tino Rossi, Michèle Alfa)
19.10. Les Trois coups
20.40. „Les Grands Manoeuvres” — un film de René Clair (Gérard Philipe, Michèle Morgan, Brigitte Bardot, Claude Rich, Jean Desailly)
22.25. Plain-Chant — une émission d'Hélène Martin, aujourd'hui: Raymond Queneau.

LUNDI 21 DECEMBRE

13.35. Je voudrais savoir: „De quelques examans de laboratoire”
14.25. „Le Choc des Mondes” — un film de Rudolph Maté.
20.30. „Les Cousins de la Constance” — scénario et dialogues de Paul Guimard réal. Robert Mazoyer, nr. 1
21.35. „Rudolf Nureyev — un danseur” („Marguerite et Armand”, „La Sylphide”) — un film de Pierre Jourdan.
22.40. La porte ouverte — une émission de Claude Santelli

MARDI 22 DECEMBRE

20.30. „Les Saintes Cheries” — nr. 2 „Le Rapport”
21.00. Le Quatrième Mardi — une émission de l'Information Première
22.50. La Porte ouverte

MERCREDI 23 DECEMBRE

16.30. Emissions pour la jeunesse
20.30. „Les Cousins de la Constance”
21.25. Le Noël de Madame Berrichon — une émission de Jacques Martin et Georges Folgoas, réal. François Chatel
22.40. La porte ouverte

JEUDI 24 DECEMBRE

15.45. Emissions pour la jeunesse
18.30. La Piste aux étoiles
20.30. Bienvenue à l'Espérance — une émission de Guy Beart
21.45. „La Légende du quatrième Roi” — un conte de Noël d'Edzard Schaper réal. Jean-Paul Carrère
23.25. La porte ouverte
23.40. Emission musicale
23.55. Eurovision: MESSE DE MINUIT en la cathédrale d'Avila (Espagne)

VENDREDI 25 DECEMBRE — NOEL

11.00. Messe du Jour de Noël célébrée en l'église de Salses (Pyrénées Orientales)
12.00. Eurovision: Messages de Voeux et Benediction donnés par le Pape Paul VI, transmis de la Basilique Saint-Pierre de Rome
13.15. La séquence du jeune spectateur
14.15. Variétés: D'hier et D'aujourd'hui — une émission de J. Bonnacarrère et Pierre Tchernia avec Sheila
15.00. „L'île au trésor” — un film de Victor Flaming.
16.45. La Rate qui se dilate — une émission des variétés, réal. Robert Crible
17.35. S.V.P. Disney — une émission de Pierre Tchernia
18.20. L'année Beethoven
20.30. „Les Cousins de la Constance” nr. 3
21.25. Variétés: Top à la une. Une émission de François Chatel
22.20. La porte ouverte

SAMEDI 26 DECEMBRE

14.30. A la maison que peut-il arriver?
16.30. Samedi et Compagnie — une émission de Jean Nohain
19.25. Accordéon variétés
20.30. Au théâtre ce soir: „Un fil à la patte” de Georges Feydeau, mise en scène de Jacques Cahron, réal. Pierre Sabbagh
22.35. Télé-Party — une émission de Mme Davis-Boyer.

DEUXIEME CHAINE — COULEUR

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, (N) — noir et blanc
AUJOURD'HUI MADAME (C) — 14.30 (sauf lundi et dimanche)
„RENDEZ-VOUS A EADENBERG” (C) — 15.10 (sauf lundi, jeudi et dimanche) — une série: scénario de Juliette Saint-Giniez, dialogues d'Henri Kubnick, réal. Jean-Michel Meurice.
ACTUALITES REGIONALES (N) — 19.00 (sauf le dimanche)
COLORIX (C) — 19.20 (sauf le dimanche)
24 HEURES SUR LA 2 (C) — 19.30
24 HEURES DERNIERE (C) — à la fin du programme

DIMANCHE 20 DECEMBRE

14.25. (C) „La charge sur la Rivière Rouge” — un film de Gordon Douglas
16.00. (C) L'Invité du dimanche — aujourd'hui: Marie Bell.
19.10. (C) „Les Bannis” nr. 8
20.35. (C) „Le Garçon aux Cheveux Verts” — un film de Joseph Losey (Pat O'Brien, Barbara Mal, Robert Ryan).
21.55. (C) On en parle

LUNDI 21 DECEMBRE

20.35. (C) Deux sur la deux — une émiss. de M. et G. Carpentier.
21.35. Les chemins de l'histoire
22.40. (C) Une émission du Service de la Recherche: „Piotr Kamler — réalisateur d'animation” Aujourd'hui: „La Planète verte” et „Le Labyrinthe”

MARDI 22 DECEMBRE

20.35. (C) Les animaux du monde
21.05. (C) Alice au Pays des Merveilles — d'après l'oeuvre de Lewis Carroll, réal. de Jean-Christophe AVERTY
23.00. (C) On en parle

MERCREDI 23 DECEMBRE

15.40. (C) Emission du Service Cinéma
20.35. (C) Les étoiles de la terre — une émission de Paule de Beaumont, réal. Jean-Paul Roux
21.35. (C) Spécial Franck Pourcel
22.15. (C) Post Scriptum

JEUDI 24 DECEMBRE

15.10. (C) Flipper le Dauphin nr. 12
18.30. (C) „Plongée moins 1 000 metres” — en direct des Iles du Levant, réal. Bernard Lion, une émission de „24 heures sur la 2”
20.35. (C) „Les Lettres de mon Moulin” — une émission des variétés, réal. Pierre Badel.
21.35. (C) „Plongée moins 1 000 metres” — remontée de la soucoupe plongeante — en direct des Iles du Levant
21.45. (C) „Le Cantique des Créatures” — une émission de Frédéric Rossif
22.45. (C) En direct d'Australie — réal. Jacques Anjubault
23.25. (C) Les Lieux Saints, commentaire: Jean-François Chauvel
00.50. (C) „Brigadoon” — un film de Vincente Minelli (Gene Kelly, Van Johnson, Barry Jones, Cyd Charisse, Elaine Stewart)

VENDREDI 25 DECEMBRE — NOEL

15.30. (C) L'Invité de Noël — une émission d'André Voisin.
17.20. (C) „Monsieur de Pourceaugnac” — comédie-ballet de Molière, mise en scène de Jacques Charron, réal. Georges Lacombe
18.50. (C) Ca Vaste Monde c'est au dedans de nous qu'il tourne — „Jean Bazaile” — une émission de Marienne Oswald, réal. Gérard Pignol
20.35. (C) „Lancelot du Lac” — réalisation: Claude Santelli
22.50. (C) Nocturne — „Valse de Brahms” — réal. Jacques Trebuta.

SAMEDI 26 DECEMBRE

16.55. (C) Jouez sur deux tableaux
17.50. (C) Télé-Bridge
18.10. (C) „Pop 2”
20.35. (C) Festival d'Aix-en-Provence 1970: „L'Italienne d'Alger” — opéra en 2 actes de Giacomo Rossini, réal. Roger Benamou.
23.00. (C) On en parle.

LEGENDE DES TATRAS



Puisque Noël est de plus en plus synonyme de blanches montagnes, pour les citadins, rendons-nous également chez l'habitant, des „gazda” amis. Nous y trouverons un grand-père aux majestueuses moustaches qui racontera peut-être une légende du temps où les „zbójniki” brigands au grand coeur, volaient les méchants et protégeaient la veuve et l'orphelin. Voici une adaptation de l'une d'entre elles: de Jésus et des brigands. (Adaptation de W. Nowakowska).

De JESUS et des BRIGANDS

Un jour que Jésus et saint Pierre Paul s'en vont par la forêt, ils rencontrent des brigands.

C'était quelque part dans les montagnes, à Luptowo ou ailleurs.

— Que Dieu soit loué, dit Jésus, il salue en soulevant son chapeau.

— Ainsi soit-il, dit le chef des brigands. Où vous allez?

Jésus veut répondre, mais saint Pierre Paul ne lui en laisse pas le temps, il s'empresse:

— Pour l'aumône.

Vous savez, comme si c'était pour quêter qu'ils allaient. Et ça parce qu'il voit les sacs et tout saint qu'il est, pêche par gourmandise.

Le brigand de bien les regarder tous les deux. Il dit:

— Vous venez avec nous.

Il se tourne vers ses compères et cause:

— Le vieux est bon pour porter le sac et fendre le bois, le jeune pour surveiller le feu et faire le manger.



Saint Pierre Paul de se gratter derrière l'oreille, il voit bien que ce sont des brigands car ils sont armés jusqu'aux dents de fusils et de ciupagi, (1) en tant que saint ça ne lui dit rien d'aller en compagnie de brigands et avec Jésus en plus. Il ne se gratte tout de même pas trop fort derrière l'oreille, car il a peur. Il regarde Jésus: Qu'est-ce qui va arriver?

Et Jésus hoche la tête pour montrer que oui. Pour saint Pierre Paul ça semble affreux, mais il n'ose s'opposer parce que, et d'un, il a peur de brigands, et de deux, il doit obéir à Jésus.

Ils lui fixent aussitôt le sac sur le dos et Jésus, lui, reçoit le sac avec le pain. Il n'y avait pas beaucoup de provisions car ils venaient de loin.

Et de marcher.

Ils marchent un bout de route, il fait chaud que ça brûle. Les brigands se couchent à l'ombre et font un somme.

Alors saint Pierre Paul de causer à Jésus:

— Sauvons-nous autrement nous aurons de l'embarras avec eux.

Mais Jésus hoche la tête pour dire non.

Les brigands se réveillent. Ils s'en vont plus avant. Les brigands sont trois.

Vers le soir le manger manque. Parce que Jésus a pris un petit quelque chose et saint Pierre Paul ne s'est pas privé. Ils ont le ventre si creux qu'ils meurent de faim en marchant.

Ils regardent. Un vieil homme est couché sous un arbre.

— Qu'est-ce qui t'arrives? demande un brigand.

— J'ai faim, dit le vieux.

Et le brigand de lui donner son dernier morceau de pain qu'il tenait caché.

Ils vont plus avant, à travers champs.

La grêle et la pluie commence à tomber et avec, un froid que c'est miracle!

Ils regardent.

Un petit enfant pleure dans un champ.

— Pourquoi tu pleures? demande le deuxième brigand.

— J'ai froid.

Et le deuxième brigand d'enlever son kozuch (2) d'en couvrir l'enfant et le voilà en chemise, même qu'il tremble comme une feuille.

Ils vont de nouveau plus avant, ils regardent. Une chaumière brûle. Des enfants pleurent et appellent: maman, maman!

Et le troisième brigand de sauter dans le feu et de rapporter à travers les flammes la mère aux enfants, même que ses cheveux ont roussis.

Ils vont plus avant et arrivent à une auberge pour y passer la nuit. Là, l'aubergiste les reconnaît. Elle envoie prévenir le maire et le bailli. Le maire arrive avec du renfort, les brigands sont ficelés, avec eux Jésus et saint Pierre Paul.

Et les voilà enfermés dans le grenier à grain. Saint Pierre Paul de pleurer, il cause doucement à Jésus:

— Je te l'avais bien, dit saint Pierre Paul, que nous aurions de l'embarras avec eux. Qu'est-ce qui va nous arriver?

Jésus ne dit rien, seulement il écrit sur la terre avec son doigt.

Le lendemain ils sont tous conduits à la ville sur une charrette.

Au tribunal. Des gendarmes les encadrent. Dans la salle du jugement, sur des chaises, les juges sont assis.

Ils sont trois, tout comme les brigands.

— C'est vous qui avez volé?, dit le plus âgé des juges.

— Oui, c'est nous.

— C'est vous qui avez mis le feu?

— Oui, c'est nous.

— C'est vous qui avez tué?

— Oui, c'est nous.

Ils ne demandent rien à Jésus et à saint Pierre Paul parce que les brigands ont dit tout de suite qu'ils les avaient forcés, bon vouloir ou pas, à les suivre.

— Ton verdict? demande le juge le plus âgé au juge à sa main droite.

Sans beaucoup réfléchir, il dit: — la mort.

— Qu'est-ce que tu en penses?, demande le juge le plus âgé au juge à sa main gauche.

Et lui sans beaucoup réfléchir: — la mort.

— Vous les trois, vous serez pendus, dit

le juge le plus âgé aux brigands, et vous deux vous pouvez retourner chez vous.

Et saint Pierre Paul de s'arracher aussitôt du banc, il est prêt à partir, mais Jésus se penche et écrit quelque chose avec son doigt sur le parquet.

— C'est notre verdict de juge que tu écris dans la poussière sur le parquet?

Et Jésus de relever la tête et de dire:

— Qu'est-ce que t'as fait hier?

Le juge se fait tout pâle, même qu'il est de plâtre sur la figure.

Jésus dit: — Tu as pris un bâton pour chasser de ta porte un homme affamé.

Ses deux collègues le regardent et tous ceux présents, alors Jésus à celui se tenant du côté de la main droite:

— Qu'est-ce que t'as fait hier?

Le juge se fait tout pâle, même qu'il est de plâtre sur la figure. Et Jésus de dire:

— Tu as battu un petit enfant jusqu'au sang.

Son collègue le regarde et tous ceux présents, alors Jésus se tourne vers celui du côté de la main gauche.



— Qu'est-ce que t'as fait hier soir?

Il se fait tout pâle ce juge, même que sa figure est de plâtre.

— Tu as chassé ta propre mère de ta maison.

Tous ceux présents le regardent.

Et il s'est fait silence dans la salle du tribunal, même qu'on entend les mouches voler.

Alors Jésus se lève et à saint Pierre Paul: — Allons-nous en.

Et la lumière de briller au-dessus de sa tête. Les brigands sont les premiers à Le reconnaître, ils tombent à genoux:

— Seigneur Jésus, saint Père, bénis-nous!

Jésus fait le signe de croix sur eux et les voilà changés en trois pommiers.

Après, il disparaît avec saint Pierre Paul.

Les gens ont compris que c'était Dieu et ils abattent la maison du tribunal pour que personne après Jésus n'y donne de jugement. Devant les pommiers ils ont élevé une croix qui s'y tient encore.

Et ils ont chassé les trois juges de la ville.

Voilà comment c'était autrefois — mais maintenant il n'y a plus de brigands et Jésus ne se promène plus à travers le monde.

(1) Hacherreaux de montagnards.

(2) Fourrure avec la laine à l'intérieur.

LES „SZOPKI” DE CRACOVIE
(voir page 3)

Autrefois, les artisans exerçant leur métier en plein air, tels les maçons, cherchaient à s'occuper pendant la morte saison. Ils construisaient de délicates et splendides „szopki” — (elles tirent leur origine de la crèche classique, mais peu à peu l'art populaire les a modelées à sa façon), avec lesquelles on allait de maison en maison à la Noël, en chantant des cantiques et même des couplets se rapportant aux personnes visitées. La tradition se passant de père en fils, il y eut des familles célèbres de modélistes de „szopki”.

La tradition a survécu. Chaque année, sur la place du vieux Marché à Cracovie, aux pieds de la statue de Mickiewicz, s'entassent les „szopki” et bien entendu elles donnent lieu à un concours. On peut en voir de magnifiques au musée folklorique de Cracovie. L'inspiration reste la même: les innombrables églises de Cracovie dont les flèches élancées hérissent le panorama de la ville.



Tygodniowa GAWĘDA

„Zycymy wom dobrze... co by się wom dazyło, mnożyło, syćko dobrze wodziło w komorze i oborze...”

W ubiegłym roku było pięknie: na święta Bożego Narodzenia Tatry były bielutkie, śnieg aż miło. Jak będzie w tym roku? Już we wrześniu w górach był pierwszy śnieg, w listopadzie sporo go napadało, a święta bez śniegu to jak koń bez ogona. Ale chyba i w tym roku sypnie, i wszystko będzie tak jak Pan Bóg przykazał. Już po pastercie, zaczną się rozchodzić po rozświetlonej nocy do rozświetlonych domów (a narosło ich w ostatnich latach jak grzybów po deszczu) Zakopanego, Kościeliska, Witowa, Chochołowa, Dzianisza, Murzasichla, Bukowiny, Szaflar, Białego Dunajca — p o d ł a ż n i c y. Już wychodząc z kościoła będą obsypywali dziewczęta owsem, od którego aż pękate mają kieszenie, a potem przyjdą do chałupy, szeroko rozrzuca ziarna owsa po izbie i głośno, dobitnie zaczną:

„Na szczęście, na zdrowie,
na to Boże Narodzenie,
co by się wom dazyło, mnożyło
syćko dobrze wodziło,
w komorze, oborze,
wszędyl dobrze...”

Wstaną gospodarze, by powitać miłych gości, by godnie przyjąć, do stołu zaprosić, ale podłaznicy jeszcze nie skończyli:

„Cobyście mieli tyło wołków,
kielo w płocie kołków,
telo owiecek,
kielo w brzysku mrowiecek,
telo dzieci,
co pod piecem śmieci,
w kozdym kątku
po dzieciątku
i na piecu troje,
ale ... syćko swoje...”

Pod wigilijnym poście wszystko smakuje, a tym bardziej smakuje, specjalnie na tę okazję przygotowane, by nie trzeba się było podłazników wstydzic. Tak więc, choć i podłaznicy i gospodarze podjedli już sobie przedtem przy stole wigilijnym, i teraz nie zabraknie znakomitej (wiercie mi, że naprawdę znakomitej!) kiełbasy swojej roboty, mięsowa znajdzie się w niejednym i dziuczyna (tylko nikomu tego nie mówcie, bo to, wiecie...), oszczypki, kołaczki, no, i — rzecz prosta — coś mocniejszego pod to wyborowe jedzenie. W izbie ciepło, jasno, wesoło... Kolędy podhalańskie, jak ta, zaczynająca się od słów o Panu Jezusie: „Hej, Małucki, kieby rękawicka...”, śpiewane na przemian z innymi, znanyymi w całej Polsce, ustępują powoli góralskim przyspiewkom, pieprznym często, ale zawsze do wciwnym, a — jeśli chodzi o młodych — i modnym przebojom.

A w czasie świąt zaczną swe obchody kolednicy, najczęściej przebrani za pastercy i owce. Przylecą z koszyczkami i zaczną swe powinszowania:

„Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok, co by wos nie tropił gościec ani urok, co by wom się dazyło, mnożyło, syćko dobrze wodziło, w oborze, komorze — zycymy wom dobrze”.

Rzecz prosta, i kolednicy nie odchodzą z pustymi rękami, i oni są ugoszczeni, jak wszyscy. Nie zapomina się przy takiej radosnej okazji i o zwierzętach, niechże i one się cieszą, dostaną podwójną porcję, a bywa i taki monolog, gdy gazda klepiąc konia po karku i podsypując mu do żłobu, powiada do niego:

„Zebys i ty, stary, wiedziol, ze to swięto Wilio. Podjedz se godnie. A co by się nom w nowym roku syćko dazyło... Co bys w tym roku, co nom Ponjezusek nagodził, jeździł na same wesela, radośniki i tam, ka się ludzie radujom a ciesom, a nie tam, ka płacom. Niek cie Krzyśc Panie bron, co bys musiol jeździć z pogrzebem, gazde abo gaździne, abo kogo inzego z familii zawieźc na Pęksów brzyzek”. *)

Wstaną gospodarze, by powitać miłych gości, by godnie przyjąć, do stołu zaprosić, ale podłaznicy jeszcze nie skończyli:

„Cobyście mieli tyło wołków,
kielo w płocie kołków,
telo owiecek,
kielo w brzysku mrowiecek,
telo dzieci,
co pod piecem śmieci,
w kozdym kątku
po dzieciątku
i na piecu troje,
ale ... syćko swoje...”

Pod wigilijnym poście wszystko smakuje, a tym bardziej smakuje, specjalnie na tę okazję przygotowane, by nie trzeba się było podłazników wstydzic. Tak więc, choć i podłaznicy i gospodarze podjedli już sobie przedtem przy stole wigilijnym, i teraz nie zabraknie znakomitej (wiercie mi, że naprawdę znakomitej!) kiełbasy swojej roboty, mięsowa znajdzie się w niejednym i dziuczyna (tylko nikomu tego nie mówcie, bo to, wiecie...), oszczypki, kołaczki, no, i — rzecz prosta — coś mocniejszego pod to wyborowe jedzenie. W izbie ciepło, jasno, wesoło... Kolędy podhalańskie, jak ta, zaczynająca się od słów o Panu Jezusie: „Hej, Małucki, kieby rękawicka...”, śpiewane na przemian z innymi, znanyymi w całej Polsce, ustępują powoli góralskim przyspiewkom, pieprznym często, ale zawsze do wciwnym, a — jeśli chodzi o młodych — i modnym przebojom.

A w czasie świąt zaczną swe obchody kolednicy, najczęściej przebrani za pastercy i owce. Przylecą z koszyczkami i zaczną swe powinszowania:

Przetrwały na Podhalu stare obyczaje, doszły nowe, ale zawsze Boże Narodzenie było i jest świętem rodzinnym, świętem radości i dobrych uczuć. Opowiedziałem Wam, Mili, jak to tam jest, toteż teraz pozwólcie i mnie w tym stylu i Wam pożyczyc:

„Na szczęście, na zdrowie, co by się wom i nom dazyło w zdrowiu i szczęciu!”

MARIAN

*) Pęksów brzyzek — tak górale nazywają stary cmentarz zakopiański, na którym pochowani są różni wybitni ludzie, związani z Tatrami. Cytat z książki Stanisława Nędzy-Kubińca: „Posiadły na Groniku”.



W KRĘGU KONTESTACJI

Dokończenie ze str. 15

miących najważniejsze elementy istoty ludzkiej. I tutaj ojciec oraz przedstawicielka młodego pokolenia wyrażają stanowisko do siebie zbliżone. Postęp dokonujący się w najistotniejszych sprawach jest zbyt powolny. Zbyt wielu ludzi przywiązanych jest do materialnego dobrobytu i komfortu. Nawet ci, którzy zwalczają zasadę społeczeństwa konsumpcyjnego, marzą w głębi duszy tylko o tym, aby sami mogli z jego słodyczy korzystać.

— Epoka nasza stwarza przy tym sztuczne potrzeby — dodaje p. Budzyń. — Człowiek, który zbudował maszynę, aby ulżyć mu one w jego pracy, stał się ich niewolnikiem. Jednostka ludzka się nie liczy, jest ona dziś częścią składową, dodatkiem do maszyny. Zgadza się w wielu punktach kontestacji dzisiejszego świata 18-letnia Bogumiła i ojciec jej stwierdzają jeszcze raz, że niesłuszny, nielogiczny jest podział ludzi na generacje. Można być młodym, a dojrzałym, i odwrotnie, można być dorosłym, a ciągle jeszcze grzeszyć młodzieńczym fanatyzmem.

— Ja mam w liceum profesorkę francuskiego, która liczy sobie chyba ze czterdzieści lat — mówi Bogusia. — Ale usposobienie i poglądy ma tak młode! Jest na pewno dużo młodsza duchowo od wielu swych uczennic! Ci, którzy chcą kontestować za wszelką cenę, tego jednak nie rozumieją. Nie chcą tego widzieć. Uważają, że potrzebna jest kontestacja dla kontestacji. Natomiast nie zastanawiają się już, co trzeba nowego stworzyć, jak powinien wyglądać świat, którego urządzenie będzie naszym zadaniem.

Tutaj zaznacza się różnica w postawie brata i siostry. Bolesław pograżony jest w skrajnym pesymizmie. Obra-

zy jego i jego wypowiedzi zdają się przepowiadać bliskość jakiegoś kosmicznego apokalipsy. W wypowiedziach Bogumiły jest więcej konstruktywizmu. Nie wszystko potępia i stara się sformułować to, czego by chciała.

Młodsze siostry, Mirosława i Wanda, biorą mniejszy udział w toczącej się dyskusji, ale one również interesują się wieloma poważnymi zagadnieniami. Starają się przede wszystkim zorientować, do czego mają zamikowanie, zdolności, w jakim zawodzie mogą być szczęśliwe i użyteczne dla ogółu.

Mirosława lubi dzieci, dom. Umie zajmować się nimi i myśli o tym, żeby w przyszłości pracować z nimi, nieść im opiekę i ulgę w cierpieniu. Przed wyższymi studiami ma obawy. Zwłaszcza przeraża ją matematyka. Lęka się, że sobie z nią w wyższych klasach nie poradzi i że nie zdoła zdać matury.

Bogusia zdaje się podzielać to uprzedzenie młodszej siostry do matematyki. Jest w klasie maturalnej typu A, uczy się trzech języków obcych i matematyki nie uważa za niezbędną. Z tym z kolei nie zgadzają się ani ojciec, ani Bolesław.

— Matematyka jest dziś potrzebna wszystkim, nawet artystcie... Najmłodsza, 14-letnia Wanda, lubi muzykę, taniec, balety, dla siebie przewidziała już zawód: chce być fryzjerką. Czy pozostanie przy tym postanowieniu, czy jeszcze zmieni zdanie? Przyszłość to okaże.

Dlaczego u wielu młodych przejawia się zniechęcenie, brak chęci do nauki? Pan Budzyń tłumaczy to mechanicznym, nieludzkim charakterem naszej epoki:

— Dawniej człowiek pracując wykonywał jakąś pracę, jakieś dzieło od początku do końca. W XX wieku nastąpiła „robotyzacja” człowieka. Człowiek wykonuje dziś tylko jakiś drobny fragment całości projektowanej pracy. To go zmniejsza w jego własnych oczach, daje mu najróżnorodniejsze kompleksy. Odbiera mu to wiarę w jego własne siły i wiarę w celowość pracy, wysiłków, studiów. Któż poza artystą może dzisiaj wykonać jakieś dzieło sam, od początku do końca? Jest to w naszej epoce niemożliwe...

DLACZEGO RYBA NIE BIERZE?

W ŚRÓD wędkarzy często usłyszeć można opowieści o wielkich, starych i przebiegłych rybach — które wielokrotnie widzieli w wodach swych ulubionych zakątków — mimo usilnych starań, gardzących jednak najlepszą przynętą. Kładziemy to zwykle na karb fantazji, halucynacji spowodowanych zbyt długim wpatrywaniem się w spławik, ale oto w sukurs wędkarzom przyszli uczeni.

Zoologowie holenderskiego uniwersytetu w Groningen przeprowadzili bowiem serię doświadczeń nad zdolnościami ryb do uczenia się na błędach. Chodziło właśnie o wykrywanie różnic między naturalnym pokarmem i sztucznie zarzucaną przynętą.

Specjaliści usiedli więc z kijami nad stawem z karpami, skrupulatnie notowali swe wędkarskie sukcesy, a oznakowane ryby wrzucali po wyłowieniu ponownie do wody. Okazało się, że o ile pierwszego dnia zdobył trafiła się przeciętnie co pół godziny, to w ciągu następnych dwóch tygodni częstotliwość zmalała do trzech godzin. Rzadko trafiła się ryba polkająca haczyk po raz drugi, a zupełnie wyjątkowo — po raz trzeci.

Eksperyment ponowiono po roku, mieszając wykształcone poprzednio karpie z „naïwnymi”. I tu znowu statystyka wykazała ponad wszelką wątpliwość, że nauka nie poszła między wodorostry. Tylko wyjątkowo głupie ryby — dobrze im tak — dały się brać na stare kawał. Większość podejrzliwie omijała najbardziej tłuste robaki.

Wędkarze mówią, że ryba raz zerwana lub wypuszczona — więcej haczyka nie weźmie. Że istnieją przebiegłe i mądre ryby. W ogóle trzeba wierzyć wędkarzom...

Pani Stefania Budzyniowa odnosi się do wszystkich wypowiedzi młodych z wielką pobłażliwością i zrozumieniem: — Nie prowadzą takiego trybu życia jak powinni — stwierdza. — Uprawiają za mało sportu, mają za mało rozrywek takich, jakie są potrzebne młodym. Do szóstej wieczorem w szkole, potem, po zjedzeniu kolacji, pracują do jedenastej nad odrabianiem lekcji. Zmęczeni są, dla siebie nie mają czasu. Rozumiem to i jestem zawsze po ich stronie. Uważam, że młodzież nie jest dzisiaj szczęśliwa. Każde z dzieci ma tyle do zrobienia, że nie może spędzać czasu ze swymi rówieśnikami, za mało żyje w gromadzie, za bardzo jest od niej odrywane. Tyle byłoby dobrych, kształcących rozrywek, tyle przyjemnych zabaw wspólnych, gdyby był czas na to! Czasami dzieci chodziły do Domu Młodzieży i Kultury, ale i to odpadło. Więcej tam spotykały bałaganu a niżeli przyjemności.

Kto więc w końcu jest szczęśliwy w dzisiejszej epoce? — nasuwa się pytanie całej rodzinie pp. Budzyniów. Przeważa tu nastrój krytycyzmu i kontestacji, jednakże — poza katastrofistą Bolkiem — ogół rodziny broni się przed zbyt skrajnym pesymizmem. Najlepszym dreszczem tego dowodem są trwające dyskusje. Rozmawiają, wypowiadają swe myśli, gdyż wierzą, że może się to na coś przydać. Świat będzie taki, jakim stworzą go ludzie.

Kontestacja jest dzisiaj słowem modnym i używanym obecnie bardzo szeroko. Kontestować (pochodzi od łacińskiego „contestari”) znaczy nie uznawać prawa lub roszczenia czyjegoś do określonej rzeczy. Kontestować, czyli podawać w wątpliwość można posiadanie przez kogoś władzy, zwierzchności, dóbr materialnych. Kontestować można aktualny porządek społeczny, słuszność lub prawdziwość jakiegos sądu, ważność lub celowość zwyczajów, tradycji, prawa.

Używany jest dziś również często rzeczownik kontestator, tzn. ten, który kontestuje. Niedawno jeszcze rzeczownik ten w ogóle nie istniał i nie figurował we francuskich słownikach czy encyklopediach.

TYDZIEŃ KULTURY POLSKIEJ W FRESNES-SUR-ESCAUT

W OŚRODKU kulturalnym imienia sławnego poety Fryderyka Garcíi Lorca w Fresnes-sur-Escaut odbywał się ostatnio Tydzień Kultury Polskiej, zorganizowany przez Stowarzyszenie „France-Pologne”, wspólnie z władzami miejskimi. Patronat nad imprezą objął Konsulat Generalny PRL w Lille oraz deputowany, wiceprzewodniczący Rady Generalnej Nordu, mer Vieux-Condé p. **Georges Bustin**.

Program Tygodnia był interesujący i różnorodny: wystawa ukazująca oblicze współczesnej Polski, wystawa filatelistyczna obejmująca ciekawe emisje znaczków polskich, wystawa wyrobów przemysłu ludowego i artystycznego, a także sprzedaż tych artykułów.

Na otwarcie imprezy przybył mer Fresnes, mer Vieux-Condé, deputowany p. **Bustin**, wicekonsul p. **Turzański**, dyrektor Ośrodka Kulturalnego pani **Thiemet**, dyrektorzy szkół, nau-

czycielstwo, lekarze i wiele innych osób.

Pani **Thiemet** w ciekawym przemówieniu, pełnym serdecznych uczuć dla Polski, przypomniała o ważnych wydarzeniach z dziejów Polski oraz o jej osiągnięciach ostatnich lat. Obecny był na uroczystości ojciec prelegentki, p. **Tiemet**, bohater Ruchu Oporu we Francji, który w latach ostatniej wojny walczył ramię w ramię z Polakami przeciw okupantowi, przywiązał się serdecznie do swych towarzyszy broni i nawet nauczył się ich języka. W inauguracji Tygodnia Kultury Polskiej wziął udział również inny znany kombatant ostatniej wojny, p. **Czesław Kaczmarek** z Raismes. Jest on autorem książki „Le roi d'évasion”, powieści autobiograficznej opowiadającej dzieje jego ucieczki ze Stalagu w Austrii. Książka ta zyskała sobie przychylną opinię krytyki.

Podczas uroczystości p. deputowany **Bustin** opowiadał o swych wrażeń z pobytu w Polsce, którą odwiedził wraz z

delegacją francuskich parlamentarzystów. Na czele tej delegacji stał p. **Achille Peretti** — przewodniczący Assemblée Nationale. Przyjęcie ze strony Polaków, podkreślił mówca, było wyjątkowo serdeczne.

P. wicekonsul **Czesław Turzański** zwrócił uwagę w swym przemówieniu na to, że przy organizowaniu wystawy we Fresnes wyróżniła się specjalnie młodzież. Pragnęła ona, aby wystawę obejrzała jak największa liczba ludzi. Fakt ten świadczy o tym, że sprawa przyjaźni francusko-polskiej jest w rękach młodego pokolenia, które pragnie zapewnić jej kontynuację i trwanie.

Po obejrzeniu wystawy i wysłuchaniu wyjaśnień udzielonych przez p. **Roger Legrand** — przewodniczącego komitetu departamentalnego „France-Pologne” w Nordzie, nastąpiła tradycyjna lampka wina oraz projekcja filmów krótkometrażowych przedstawiających dorobek kulturalny Polski Ludowej.

KARCZMA POD KLUKĄ

Dokończenie ze str. 8—9

Nie uswiadczy się ich bowiem na sali, a to dlatego, że znaleźli się już tacy zbieracze przedmiotów niecodziennych, że chcieli patelnię i dokument wziąć ze sobą na pamiątkę „Hobbyści”.

Zawsze można na własne oczy patelnię zobaczyć m. in. w zajeździe „Pod Zagłobą” w Trzebnicy przy drodze z Wrocławia do Poznania. Nagroda spoczywa bowiem w tego oszklonej szafie, zamkniętej na solidny klucz. Co nie oznacza, że kierownik lokalu, w dni niepowodzenia w staropolski żupan przybrany, na życzenie gości skrytki nie uchyli, by mogli napis wygrawerowany samodzielnie przeczytać. Lokal mieści się w starych mieszczańskich izbach, a jego specjalnością są kurczaki po polsku i staropolski krupnik „korzeniami przyprawiony, a na tęgim ogniu podgrzany”, podawany w kamiennym dzbanie i do kamiennych kielichów rozlewany.

Wyróżniona restauracja „Halka” w Łodzi mieści się w lokalu o wnętrzach przypominających czasy Księstwa Warszawskiego. Kelnerzy podają potrawy w brązowych frakach. Specjalnością zakładu jest zraz à la Sobieski z kaszą gryczaną. Restauracja „Warmińska” w Olsztynie szczyty się znowu na pojezierzu mazursko-warmińskim łowioną rybą — sielawą na ileś tam sposobów przyrządzoną, która tym lepiej smakuje, że sale przypominają dawne warmińskie izby chłopskie, a kelnerki ubrane są w regionalne stroje. Tu można zjeść także kiszki mazurskie i peklowaną dziczyznę z sosem grzybowym.

Długo można by tak wliczać różne specjały — zupę piwną, bliny, kluski ziemniaczane lub kluski z ciasta drożdżowego gotowane na parze i do gęsi lub kaczki pieczonej podawane, karpia po polsku, czyli w sosie z migdałami, rodzynekami i innymi składnikami, wołowinę pieczoną w glinie, rolały przeróżne, nie mówiąc już o bigosach, barszczach, pieczonych prosiakach... Nie sposób jednak wymienić wszystkiego, podobnie jak podać adresy wszelkich możliwych lokali, znanych z dobrej, polskiej kuchni. Na wszelki wypadek wymienię więc jeszcze kilka co przedniejszych restauracji: „Roztocze” w Zamościu woj. lubelskie, „Zdrojowa” w Goczałkowicach woj. katowickie, „Stylowa” w Pabianicach w woj. łódzkim, „Balaton” w Koszalinie, „Albatros” w Jędrzejowie i „Pod kogutem” w Bielinach w woj. kieleckim, „Bałtyk” w Wejherowie w woj. gdańskim, „Panorama” w Nowym Sączu i „Rzym” w Suchej w woj. krakowskim, „Polonia” w Nowej Soli w woj. zielonogórskim, „Turystyczna” w Lesku w woj. rzeszowskim, „Lido” w Antoninie w woj. poznańskim, „Kaszubska” w Kartuzach w woj. bydgoskim, „Światowid” przy szosie z Warszawy do Poznania, nazwaną tak — jak się łatwo domyśleć — na cześć organizatora konkursów. I tak dalej, i tak dalej.

Cała Polska bez mała znalazła by się w tym spisie. Bo też co roku przybywają nowe, atrakcyjne lokale. Przykładem niech będzie gospoda „Pod kluką” w Ślupsku, mieście powiatowym województwa koszalińskiego, położonym niedaleko wybrzeża morskiego. Kształt swój zawdzięcza gospoda słowińskiej chacie. W tym miejscu mała uwaga — Słowińcy byli słowińskim plemieniem, zamieszującym ten region, wytrzebionym przez Niemców; pozostały po nich nieliczne pamiątki w pobliskim Słowińskim Parku Narodowym. Pozostały również recepty dawnych potraw, ulubio-

nych przez Słowińców. Np. zupa kminkowa, nalewka jałowcowa, kiełbasy na specjalną modłę preparowane, pieczenie różne i ciasta. Dania te można teraz skosztować właśnie w gospodzie „Pod Kluką”. Podają kelnerki w strojach regionalnych na zastawie ozdobionej miejscową ornamentyką. W powietrzu roznosi się delikatny zapach suszonego drzewa i ziół specjalnych, podniecających apetyt. Do jada przygrywa kapela na słowińską nutę. Jajospisy drukowane są starodawnym szryftem i pięknie oprawione. Barmanka, a przy barze siedzi się na huśtawkach, a nie tradycyjnych stołkach, otóż barmanka sprzedaje na życzenie specjalnie dla tej gospody przez artystów ludowych wykonane pamiątki. Latem można zająć miejsce na świeżym powietrzu, w słowińskiej zagrodzie, i zamówić kawałek barana pieczonego na wolnym ogniu i na oczach gości

A cóż to jest „kluka”? — Jest to kij sękaty z rzeźbioną głową zwierzęcą. Kto syt jada i napoju umie go w swe dłoń, ten ma prawo sprawować władzę nad miastem.

Komu jednak chce się trudzić rządami po sutym posiłku?

Zbigniew MIKOŁAJCZAK

Stanisław Ignacy Witkiewicz -de la première moitié du vingtième siècle

Suite de page 25

principaux romans: „L'Adieu à l'Automne”, „L'Inassouissement” et „L'Unique Issue” — romans où l'on trouve un avant-goût du „Voyage au bout de la nuit” de Louis-Ferdinand Céline, comme aussi de „La Nausée” de Jean-Paul Sartre, et dont l'action se situe dans les années cinquante du vingtième siècle — mettent en scène des forces totalitaires et niveleuses (dans „L'Inassouissement”, ces forces sont représentées par l'armée chinoise qui conquiert la Pologne et s'apprête à envahir le reste de l'Europe), qui pour réaliser le bonheur du plus grand nombre — dont l'incertitude ne laisse pas de croître — s'attachent, tout en professant un optimisme proprement confondant, à collectiviser et à mécaniser la vie. Cette révolution — qui n'est évidemment qu'une dérision de progrès et qui constitue en réalité une gigantesque attentat contre la vie psychique de l'homme individuel — fait retourner l'humanité à l'état animal. L'art et la métaphysique sont ravalés au rang de superfétations et s'atrophient. Les rares artistes et philosophes qui s'opiniâtrent à penser que sans l'art et sans la philosophie, la vie ne saurait être qu'une „insupportable cochonnerie”, et à mettre le premier devoir et la dignité de l'homme dans la communion avec le Mystère de l'Existence ne peuvent plus atteindre à ce Mystère qu'en ayant recours à la folie, à la drogue, aux perversions sexuelles. Mais pour héroïques et tragiques soient-ils, ces dernier Mochicans de la métaphysique et de l'art authentique ne sont que des bouffons. En effet, le dépérissement de la

PAS-de-CALAIS

PALOMA DANCING

właściciel

JAN HOMA

35, rue CHARLES MARLARD
(naprzeciwko szpitala Ste Barbe)

BRUAY-en-ARTOIS

WYNAJMUJE SALE NA:

- ◆ bankiety ◆
- ◆ wesela ◆ zabawy ◆
- ◆ zebrania towarzyskie itd.

Najlepiej

a
j
t
a
n
i
e
j

kupisz

W DOMU

TOWAROWYM

NOBAL

9, RUE DE PARIS
62, LENS

culture est une nécessité historique, et il est ridicule et vain de chercher à y obvier.

La profondeur et l'acuité des thèmes proposés à notre méditation par Witkacy n'ont d'égal que son dédain envers les procédés traditionnels de la narration romanesque. Ses ouvrages foisonnent en longues discussions sur la métaphysique, la religion, la peinture, la musique, etc. „Je ne m'abaisse pas à raconter des histoires vécues, mais je m'efforce (...) de créer un nouveau type de roman: un roman intellectuel, voire philosophique — je voudrais pouvoir lire de tels romans, et c'est parce qu'il n'en existe pas que j'écris, et non pas pour le fric ou la considération, car de toute façon je n'aurai jamais ni l'un ni l'autre” — affirmait-il. Et lorsqu'il lui arrivait d'être visité par „la face d'abruti du lecteur qui s'ennuie, qui est dégoûté, qui s'indigne”, il ne prenait pas de gants pour lui dire ce qu'il pensait: „Patiente un peu, mon petit chat — lui conseillait-il — tu vas peut-être te décrocher un peu, peut-être un jour cela te fera du bien si tu te surmontes un peu en ce moment, stupide chéri — ne te rebutes pas prématurément, on va la satisfaire, va, ton attente, foireuse charogne”...

„Il apparaît de temps en temps sur la surface de la terre des hommes rares” — dit La Bruyère. Cet écrivain qui s'employa pendant toute sa vie à scruter les profondeurs du Mystère de l'Existence appartenait à cette race d'éclaireurs que l'humanité envoie sans le savoir en reconnaissance dans les lieux interdits. Quiconque se flatte de penser se doit de le dire.

S. K.



DYREKCJA:
Stanisław BRONIAZ
Tłumacz przysięgły

8, rue du Pont des Comines 59—LILLE—Tél. 55.11.05
Oficjalny przedstawiciel „Orbisu“

Załatwia:

- BILETY lotnicze — okrętowe — kolejowe po cenach oficjalnych — zniżki urlopowe — rodzinne i turystyczne
- Dla AUTOMOBILISTÓW sprzedaje mapy samochodowe, BONY HOTELOWE i BENZYNOWE z 30% zniżką w Polsce
- PRZEKAZY PIENIĘŻNE do Kraju po KORZYSTNYM KURSIE
- PACZKI DO POLSKI bez CŁA (żywność, tekstylia, węgiel)
- SPROWADZANIE KREWNYCH z Polski do Francji na urlop po najtańszych cenach
- TŁUMACZENIA urzędowe, porady oraz wyrabianie dokumentów podróży i wiz.

PODRÓŻE INDYWIDUALNE DO WSZYSTKICH
KRAJÓW ŚWIATA
WYCIECZKI ZBIOROWE DO POLSKI W 1971

WYJAZDY ODBYWAJĄ SIĘ W KAŻDĄ SOBOTĘ
z LILLE, VALENCIENNES, St. QUENTIN-AULNOYE
PARYŻA i METZ

RADIOODBIORNIKI-TELEWIZORY

Lodówki, maszyny do prania i inne
artykuły gospodarstwa domowego

LENG-PICARD ET C-ie

16, Place de la Liberté; 423, rue de Lannoy
TELEFONY: 73.39.43, 73.29.47 ROUBAIX (NORD)



BANQUE ROY

64, rue Faidherbe — LILLE

- ZAKUP I SPRZEDAŻ ZŁOTA (ANONIMOWO)
- GIELDA (BOURSE)
- WYMIANA OBCYCH WALUT (CHANGE)

Nasz specjalny
Oddział Nieruchomości
załatwia sprawy:

- POŻYCZEK
- KUPNA I SPRZEDAŻY DOMÓW

Bizuteria

REYDELLET & Fils

29-31, rue de Bellain-DOUAL

piękna selekcja

PIERŚCIONKÓW ZARĘCZYNOWYCH
i OBRĄCZEK ŚLUBNYCH

„MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives)
Siedziba: 199, rue de Paris LILLE,
Telefon: 53-10-03

Konfekcja męska,
damska i dziecięca
■ Suknie ■ spódnice
■ swetry ■ bluzki
■ popeliny ■ tergal

PIERZE ▲ WSYPY ▲ POSZWY ▲ DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

DAR LAUREATA

Od kilku lat w numerze gwiazdkowym Tygodnik Polski ogłasza tradycyjny już Wielki Konkurs Świąteczny z nagrodami. Warunkiem, a także celem Konkursu jest zwerbowanie nowych Czytelników naszego pisma. Zdobywcą I nagrody za rok 1969 został p. Franciszek Grześkowiak z Cognac-les-Mines. Otrzymał on bezpłatny przelot samolotem z Paryża do Warszawy i z powrotem oraz 10-dniowy pobyt w Polsce latem 1970 roku.

Tymczasem do Redakcji nadszedł list (publikowany 13 września br.), w którym p. Grześkowiak dziękując serdecznie i wyrażając radość z wygranej, prosi równocześnie o przekazanie ekwiwalentu za nagrodę na rzecz Budowy Pomnika Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie: „Po dłuższym namyśle doszedłem do wniosku, że pieniądze przeznaczone dla mej osobistej przyjemności, mogą być obrócone na ważniejszy cel. Moim zdaniem, tym ważniejszym celem jest budowa w Warszawie Centrum Zdrowia Dziecka”.

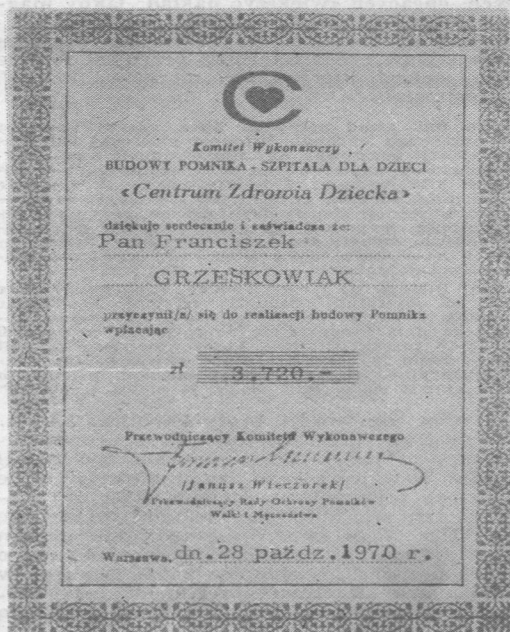
Redakcja Tygodnika Polskiego zadość uczyniła wzruszającej decyzji p. Grześkowiaka, przekazując kwotę 3.720 złotych Komitetowi Wykonawczemu Budowy Pomnika „Centrum Zdrowia Dziecka”. Obok reprodukowujemy podziękowanie przesłane na ręce naszego Czytelnika.

KU CZCI POLEGŁYCH CZTERECH POLAKÓW

W Blendecques odbyła się uroczystość z okazji 52-rocznicy zakończenia pierwszej wojny światowej. Wiele osobistości francuskich wzięło w niej udział, a wśród nich wicekonsul PRL z Lille p. Marian Milewski.

Wszyscy zebrani udali się w pochodzie pod pomnik, wzniesiony ku pamięci czterech żołnierzy polskich poległych w walce o wyzwolenie Blendecques.

Po odegraniu przez miejscową orkiestrę, tradycyjnego hejnału poległych i hymnu narodowego Francji, pp. Mer Marquand, wicekonsul Milewski wraz z innymi osobistościami złożyli wieńce u stóp pomnika poległych Polaków. Po podobnej uroczystości pod Pomnikiem Poległych w czasie I i II wojny światowej rada gminna Blendecques wydała małe przyjęcie dla przybyłych na uroczystość osobistości.





6-LETNIA KRYSIA PISZE LISTY DO DZIADKA PO POLSKU

TRUDNO nawet obcemu nie wzruszyć się tymi listami, pisanymi niewprawną jeszcze ręką dziecka, pisanymi jednak samodzielnie, nie pod dyktando rodziców, a pod dyktando jej własnego, dziecinnego serca.

6-letnia Krysia Seweryn — wnuczka pana Witolda Nowaka z Billy-Montigny — mieszka od niedawna wraz z rodzicami w Bar-sur-Loup koło Grasse w departamencie Alpes-Maritimes. Rzadko więc widuje obecnie dziadka, do którego jest bardzo przywiązana. Nieraz zamyka się w swoim pokoju i pisze do dziadka listy. Sama adresuje kopertę, zakleja, żeby jej nikt już nie poprawiał. I potem przychodzi ten list do Billy-Montigny i wszyscy, a szczególnie pan Witold Nowak, wzruszeni czytają:

„Kochany Dziadzia i Babcia i Ciocia! Ten Dziadzi list obudził Krysę o 7 rano. Wczoraj byliśmy w lesie zrywać mimoszę... W innym liście Krysia pisze: „Krysi leciała z noska krew i nie była w szkole. Krysia włożyła watę do noska i już nie leciała. W ogrodzie są truskawki i czy w Billy też są?... W jeszcze innym informuje dziadka:

„...Tata kupił ładne płyty polskie i francuskie i tata kupił też Krysę 2 książki do czytania i 1 książkę do malowania. Dużo buzi od Taty, Mamy i Krysę Seweryn”...

Wiele takich i podobnych listów przyszło do Billy-Montigny, które pan Witold Nowak skrzętnie chowa. Krysia zajmuje w jego sercu szczególne miejsce nie tylko chyba dlatego, że jest jego jedyną wnuczką, ale również dlatego, że może być dumny z inteligencji tej 6-letniej dziewczynki, jej wiedzy, dobrej znajomości języka polskiego i francuskiego, jej zamiłowania do czytania książek. Bo Krysia książki dosłownie pochłania. Nie takie dla dzieci

w jej wieku, ale całe bajki i opowieści.

Pomijając duże zdolności 6-letniej Krysę Seweryn, w jej historii jest i odpowiedź na utyskiwania wielu starszych polskich emigrantów, że ich dzieci, wnuki nie znają języka polskiego.

Ze starego, na długo jeszcze przed wojną wydanego elementarza, pan Witold Nowak nauczył języka polskiego swoją córkę Bożennę — matkę Krysę i młodszą córkę — Grażynę. Z tego samego elementarza uczył następnie języka polskiego swą wnuczkę Krysę. Prawie codziennie, systematycznie odbywały się w domu państwa Nowaków lekcje języka polskiego. I mimo że Bożenna i Grażyna chodziły przecież do francuskiej szkoły, nauczyły się poprawnie wiać językiem polskim w słowie i piśmie. „Bo do mnie córka nie odważyłaby się napisać listu w innym języku jak polskim” — mówi pan Witold Nowak. A jak ważna jest znajomość języka polskiego, nie tylko ze względu na sentyment do ojca i jego starej ojczyzny, najlepiej świadczy fakt, że Bożenna Seweryn, z domu Nowak, wraz ze swym mężem, również pochodzenia polskiego, obecną pracując w Bar-sur-Loup otrzymała właśnie dzięki znajomości języka polskiego, Grażyna zaś też czynnie wykorzystuje swą znajomość języka polskiego, pracując w Biurze Podróży GRALLA w Lens. Jeszcze nie wiadomo, jakie przysługi odda kiedyś język polski 6-letniej dziś Krysę Seweryn.

uka



Zdjęcie wyżej: Krysia z mamą, panią Bożenną Seweryn zwiedza obecnie wybrzeże śródziemnomorskie. Niżej: pamiątkowe zdjęcie rodziny Nowaków w Billy-Montigny w ogródku. Brak tylko ojca Krysę, który to zdjęcie wykonał. Na zdjęciu od prawej: p. Witold Nowak, obok jego córki Bożenna Seweryn wraz z 6-letnią Krysą, dalej Grażyna. Od lewej: p. Sabina Nowak



W

ROKU 1968 drukowaliśmy na łamach „Tygodnika Polskiego” fragmenty wspomnień **Tomasza Skorupki** (1862—1935) z powiatu Gostynin w Poznańskim, zatytułowane „Kto przy Obrze temu dobrze”. Przypominamy, że Obrza to rzeka uchodząca do Warty (lewy dopływ), a sam tytuł nadany wspomnieniom przez autora to jedno z licznych wielkopolskich przysłów ludowych. Tomasz Skorupka, chłop wielkopolski, rolnik i wzorowy gospodarz spisał swoje wspomnienia z całego życia w latach późnej starości, doprowadził je niemal do dnia swojej śmierci, a że żył w czasach niezwykle ciekawych choć trudnych, pamięć zaś miał dobrą, więc jego dzieło napisane z dużym talentem stało się rewelacją w pamiętnikarskiej literaturze ludowej. Oprócz spraw ogólnych ujętych z perspektywy wsi — a w jego oczach toczyła się w Poznańskim walka kulturalna, walili się trony i odradzała się Polska — wspomnienia Skorupki to przede wszystkim kronika jego rodziny, jego otoczenia wiejskiego, bliskich i dalekich krewnych, sąsiadów, przyjaciół, kronika powiatu gostynińskiego, w całości zaś dzieło jedyne w swoim rodzaju, tym bardziej cenne, że powstałe pod piórem chłopca.

Praca Tomasza Skorupki zyskała duże uznanie w recenzjach fachowych krytyków literackich, jak i specjalistów literatury ludowej oraz historyków tak w kraju, jak i w prasie polonijnej na obu półkulach. I zyskała słuszenie. Stała się przecież jednym z cennych źródeł do dziejów polskiej wsi, do którego mierzą się coraz częściej badacze interesującym się jej przeszłością.

Dlaczego piszemy teraz o tym ponownie?

Otóż dlatego, że któregoś dnia ostatniej jesieni znalazła się na naszym biurku redakcyjnym nowa książka zatytułowana „Moje morgi i katorgi”, której autorem jest **Wawrzyniec Skorupka**, jak się okazuje jeden z rodzących synów Tomasza Skorupki, dziś już mężczyzna 74-letni.

„Moje morgi i katorgi”, to dalszy ciąg dziejów poznańskiej wsi, których napisania podjął się ojciec Tomasz we wspomnieniach „Kto przy Obrze temu dobrze”, dalszy ciąg jakby sagi **rodu Skorupków**, poznańskich chłopów. I choć część ze Skorupków poszła w świat, rozproszyła się od Westfalii po War-

szawę i Kraków, to pozostali członkowie rodziny z Wawrzynicem na czele po burzliwych przejściach trwają wiernie na roli w powiecie gostynińskim. Nieraz wprawdzie przyszło Wawrzynicowi rozstać się z ojcowiskiem a później własnym gospodarstwem, rozstawać z przymusu wskutek tragicznych wydarzeń, które szły przez Europę, ale wracał na ojcowiznę i na swoje, by po **katorgach** chwytać za plug i orać swoje morgi.

W czasie, wspomnienia syna zająbiają się ze wspomnieniami ojca. Syn urodził się w 1896, ojciec zaś żył do 1935 roku. **Równoległość wspomnień** w

Saga RODU SKORUPKÓW

czasie obejmuje ok. lat **trzydzieści**, nie jest jednak powtórzeniem tych samych wydarzeń. Nawet wtedy, kiedy Wawrzyniec, autor drugiej części sagi rodu Skorupków jest jeszcze w ojcowiskim domu, mowa w niej o czym innym. Ojciec, sędziwy gospodarz pisze o kłopotach gospodarskich i stosunkach we wsi, syn zaś o tym, jak chodził na załoty ze starszym bratem, który chciał się żenić, jak przebiegali w pannah, jak oceniali ich walory... Opisy te są kapitalnym materiałem do poznania zwyczajów i niepisanych praw, jakie przy zawieraniu małżeństw panowały na ówczesnej wsi polskiej. A gdy brat już miał się żenić, przyszła hiena wieść o zamordowaniu austriackiego następcy tronu Franciszka Ferdynanda w dniu 28 czerwca 1914 roku w Sarajewie. Niebawem rozpoczęły się

żniwa, najgorętszy okres prac na polach. Wiemy dzisiaj, co w ówczesnej sytuacji politycznej sądzono na dworach europejskich monarchów o wydarzeniu w Sarajewie, co sądziła i jak działała europejska dyplomacja, jaka była reakcja opinii publicznej wielkich mocarstw, ale niewiele wiemy o tym, co na ten temat mówiono na polskiej, a ściślej na poznańskiej wsi. Od wydarzenia w Sarajewie — pisze Wawrzyniec Skorupka — „czytało się w gazetach pogłoski o możliwości wybuchu wojny, ale na wsi nie przejmowano się tym zbytnio. Raz, że był to najgorętszy okres w pracach żniwnych, po drugie, że pogłoski takie wybuchały co pewien czas, co tłumaczono sobie wymysłem gazet ludowych, chcących zwiększyć nakład, jakby magnesem przyciągającym czytelników wiejskich”.

Zbliżającą się groźbę złych czasów do rodzinnego Kosowa Wawrzyniec Skorupki przyniósł dopiero wymowny epizod, który autor „morgów i katorg” tak przedstawia:

„Na dwa dni przed upływem lipca przybył do nas podczas obchodu listonosz z prośbą od kierownika agencji pocztowej, aby mu wymienić dwa banknoty stumarkowe papierowe na złote monety, które ojciec przed kilku dniami z poczty naszej w Kosowie w tej wysokości odebrał, gdyż — jak listowy twierdził — są potrzebne agencji do wypłaty. Ojciec nie podejrzewając podstępny, wymienił mu żadaną kwotę, pozbywając się złotych monet, dwudziestu kraków dziesięciomarkowych z czystego złota. Błąd swój zrozumiał dopiero następnego dnia.

Dlaczego? Dlatego że wtedy Niemcy, ściągawszy złote pieniądze od obywateli, odstąpili przybicie: nie będzie oddał waluty w złocie, będzie wojna. Zapamiętałem dobrze, że tego dnia skończył się obieg monet w drogich kruszaczach. Co gorsza, listonosz, który wówczas przyszedł do naszego domu, wręczył bratu za pokwitowaniem rozkaz mobilizacyjny. Order brzmiał surowo: pierwszym pociągami stawić się w Rawiczu w 50 pułku piechoty!”

Wawrzyniec odprowadził brata **Antoniego** na stację kolejową, aby przez Leszno dojechał do Rawicza i nigdy go już w życiu nie zobaczył. **Poległ pod Verdun** w walce z Francuzami, do których nie miał żadnych pretensji, w interesie zaborczej monarchii nabrzmiałej zbrodnią i winami wobec jego rodaków. Nie zginął sam. W beznadziejnie głupim ataku na francuskie karabiny maszynowe padło około 1500 poznańskich chłopów z tak zwanego w potocznej mowie „**Kaczmarkenregiment**”, czyli pułku Kaczmarków, inaczej Polaków wcielonych siłą do pruskiego wojska.

PARYŻ  **PARYŻ** 

**ŻYCZENIA
ŚWIĄTECZNO-NOWOROCZNE**

Zarząd Główny de la „Fédération des Combattants Alliés en Europe” przesyła ORGANIZACJOM KOMBATANTÓW ALIANKICH w EUROPIE, ich RODZINOM i SYMPATYKOM serdeczne życzenia WESOŁYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA i SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU

Président de la Fédération des Combattants Alliés en Europe
(—) Paweł Poziemski

SERDECZNE ŻYCZENIA ZUPRO

Zarząd Główny Związku b. Uczestników Polskiego Ruchu Oporu we Francji składa swym CZŁONKOM i ich RODZINOM, SYMPATYKOM, BRATNIM ORGANIZACJOM, KOMBATANTOM POLSKIM w Kraju i za granicą serdeczne życzenia WESOŁYCH ŚWIĄT i SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU

Za zarząd:
Sekretarz Generalny Prezes
(—) mec. Denizart (—) Paweł Poziemski

**UWAGA POLONIA
z TROYES i OKOLICY!**

Jak co roku, Towarzystwo Pomocy Oświatowej organizuje 2 stycznia 1971 roku w Salle de la Bourse de Travail w Troyes

WIELKI BAL NOWOROCZNY

podczas którego do tańca przygrywać będzie znana orkiestra pod dyrekcją p. PALEJA, doskonałego skrzypka. Początek balu o godzinie 21.

Miejscową Polonię serdecznie zaprasza na bal
ZARZĄD POMOCY OŚWIATOWEJ

**STOWARZYSZENIE B. UCZESTNIKÓW
POLSKIEGO RUCHU OPORU WE FRANCJI
ZUPRO W PARYŻU**

zaprasza Rodaków na

BAL SYLWESTROWY

w czwartek, dnia 31 grudnia 1970 roku
w salonach Merostwa 4 Dzielnicy (Paryża,
Place Baudoyer. Metro: Hotel de Ville
Orkiestra prof. Daniela Krawczyka
BUFET WŁASNY

LYON

RODAKU! RODACZKO!

Jeżeli chcesz wyjechać w tym roku do Polski, odwiedzić Rodzinę — nie czekaj na ostatnią minutę

NAPISZ JUŻ TERAZ PO INFORMACJE NA ADRES:

POLONIA

26, Cours Vitton — 69 — LYON 6-ème

POLONIA wyrobi Ci paszport ♦ załatwi wizy przejazdowe ♦ bilet do każdej stacji w Polsce ♦ wyśle pieniądze do Polski na pomoc Rodzinie ♦ sprowadzi Rodzinę lub znajomych na wakacje do Francji.

POLONIA organizuje wyjazdy grupowe do POLSKI bez przesiadki z PARYŻA lub METZU do POZNANIA, KATOWIC, KRAKOWA.

W drugim roku wojny przyszło przybrać znienawidzony mundur również naszemu autorowi. Cesarz Wilhelm II potrzebował gwałtownie armatniego mięsa. Polacy stanowili tu dla niego cenną rezerwę, Wawrzyńca Skorupkę powołano do wojska wraz z kilku kolegami rówieśnikami. Przechodzą rekruckie ćwiczenia w Bojanowie, Biedrusku i Głogowie. Polaków przemieszano w kompaniach z Niemcami. Od razu nastąpił podział, kpiny z polskich rekrutów nie znających niemieckiego, uważanie ich za coś gorszego i niższego. „Z biegiem czasu wspólna niechęć i antypatia zaszły tak daleko, że groziły wyładowaniem w jakikolwiek sposób, a że bójka była wobec surowego rygoru nie do pomyślenia, nastąpiło to w inny sposób.”

Niemcy zaproponowali rozstrzygnięcie sporu przez indywidualną walkę swego reprezentanta, jakiegoś znanego boksera berlińskiego, któremu Polacy mieli przeciwstawić swego. Niemiec miał opinię niezwyciężonego. Ze strony polskiej „narodowego honoru podjął się bronić Ignacy Cieślak od Borku, chłopak nieduży ale krępy.” Skorupka tak opisuje przebieg tej walki:

„Nasz przedstawiciel jako mniej obrotny w ruchach otrzymał kilka porządnych ciosów w czcigodną facjatę, mimo to nie zachwiał się. I jemu udało się dosięgnąć czułych miejsc przeciwnika, gdzie ulokował szereg potężnych uderzeń, po których Niemiec zrozumiał, że robotę z Polakiem będzie trudna. Dlatego zmienił taktykę walki, usiłując zastosować chwyt kombinowane, co mu się też udało. Niestety, to co miało się stać wybawieniem, okazało się grobem jego sławy, gdyż nasz Ignacy jak poczuł Niemca w swych łapach, tak go szczerze ścisnął, że po chwili zmuszony był wpaść omdlałego z ręką wypuścić, kładąc go niezbyt delikatnie na deski, a Niemiec upadając, nieszczyśliwym wypadkiem zaczęły głową o brzeg ławki i dotkliwie się pokaleczył. Zwycięstwo nasze było zupełne, Polak rozłożył Niemca, Sienkiewiczowski Zbyszko z Bogdańca pokonał Rotgera!”

Odtąd ustaliły w kompanii drwiny Niemców pod adresem Polaków. Ale za to odgrywali się na „kaczmakach” podczas ćwiczeń pruscy podoficerowie. Skorupka charakteryzuje nastroje w wojsku, metody szkolenia i propagandy, która w chwilach niepowodzeń na frontach miała przekonywać żołnierzy, że Niemcy są i tak niezwyciężone. Przytacza też przy tym ciekawe epizody, jak Polacy potrafili zawsze nawiązać kontakty z polskimi dziewczętami pracującymi w okolicznych dworach i na folwarkach i niemal zawsze mieli dodatkowe i lepsze jedzenie, czego Niemcy, zwłaszcza berlińscy, byli pozbawieni.

W marcu 1916 roku przeniesiono Skorupkę do kompanii karabinów maszynowych w Głogowie (dziś woj. zielonogórskie), by po jakimś czasie wyśłać go na front galicyjski przeciw Rosjanom, gdzie wojsko pruskie miało ratować swego „niezwyciężonego” a w rzeczywistości dostającego wciąż po spodniach austriackiego sojusznika. Z okien wagonu poznał wtedy autor Kraków, Bochnię, Tarnów, Rzeszów, Jarosław, Przemyśl a następnie Lwów, skąd przewieziono go do Stanisławowa, następnie do Tlumacza, by wyładować na bezpośrednim zapleczu frontowym.

Skorupka daje teraz opisy walk, w których uczestniczył, przytacza szereg bojowych epizodów, w których poległo wielu żołnierzy. Przypomina też m. in. jak zawiadomił pewną Niemkę z okolic Magdeburga, której mąż poległ tuż obok niego, ale wcześniej usiłował go ratować z narażeniem własnego życia, chociaż nieszczęśliwie miał rozzerwane na strzępy obie nogi i męczył się przez wiele godzin. W „podzięce” od Niemki otrzymał list zapytaniem: „A gdzie jest zegarek mego męża...”

Przygody wojenne Wawrzyńca Skorupki trwały jeszcze kilka lat, po zakończeniu wojny światowej przyszło bowiem Powstanie Wielkopolskie, a później wojna polsko-rosyjska. Opisał je dokładnie nie zapominając nigdy o Kosowie, rodzinie, kolegach, znajomych, o czym informuje w miarę posiadanych informacji.

Okres międzywojenny to żeniactwo autora, założenie własnego gospodarstwa w Zakowie pod Leszmem, działalność społeczna na terenie wsi i powiatu, opis stosunków społecznych oraz stosunków z ludnością niemiecką, której była tu pewna ilość, teren był to bowiem wówczas nadgraniczny, i wreszcie relacje o niemieckiej dywersji przeciw Polsce. Sprawy ogólne stanowią wciąż tło do kroniki rodziny Skorupków i osobistych przeżyć. Jest w kronice m. in. opis śmierci ojca Tomasza, jego pogrzeb w Starym Gostyniu, później opis śmierci matki, która zmarła niedługo po ojcu.

„Smutne były nasze rozważania nad jej trumną — wspomina — z powodu zimowej pory tylko mirt i barwinek okrywały jej zwłoki, a przy policzkach siostry złożyły pełne kłosa pszenicy, uszczelnionej z wieńca dożytkowego... Nakryliśmy trumnę wiekiem i taki pozostał nam jej ostatni obraz.”

Trudno w krótkim omówieniu powtórzyć w największym nawet skrócie choćby tylko część inte-

resujących stron dzieła „Moje morgi i katorgi”, trzeba jednak wspomnieć o latach drugiej wojny, która zastała Wawrzyńca Skorupkę wójtmem we wsi Lipno. Musiał oczywiście uciekać i ukrywać się przez cały okres. Był parobkiem u pewnego Polaka. Żona tułała się osobno, on osobno, gdyż poszukiwała go policja niemiecka. Gdy Polaka, u którego pracował, wysiedlono do GG, służył u Niemca, któremu sprezentowano polskie gospodarstwo. Mąskował się doskonale i dzięki temu przetrwał. Groździł skrzętnie w pamięci wszystko co się wokół niego działo, a gdy wrócił na swoje, spisał tragiczne dzieje wsi i powiatu: akcje wysiedlenia, aresztowania zakładników, egzekucje publiczne — w Gostyniu, w Starym Gostyniu, w Lesznie... niemiecznie nazw polskich wsi.

Przy latach powojennych wspomina Skorupka o walkach politycznych, omawia zmiany w zasadach gospodarowania wiejskiego, pisze o swej działalności w Polskim Stronnictwie Ludowym, w Samopomocy Chłopskiej, o różnego rodzaju akcjach na wsi...

Od 70 roku życia wziął się do pisania wspomnień. Napisał i ogłosił je za pośrednictwem Wydawnictwa Poznańskiego. W pisaniu przeszkadzały mu dzieci: 9 wnuków, jednej córki i dwóch synów. Im poświęcił ostatnie wiersze swojej pracy „Moje morgi i katorgi”:

„Żadna błyskotka nie zajmuje długo ich uwagi, rzucają przedmioty i pchają się do stołu, ażeby widzieć, co się tam pisze. Nie rozumieją, że dziadek założywszy okulary na nos śleczy nad papierami, żeby im zostawić pamiętnik po sobie.

Może ktośś z nich, gdy dorosną, może Jarek, Jurek i Mirek pójdzie w ślady dziadka i przekaże swoim wnukom obraz wsi polskiej następnego rolniczego pokolenia.

Oby tak było. Amen”.

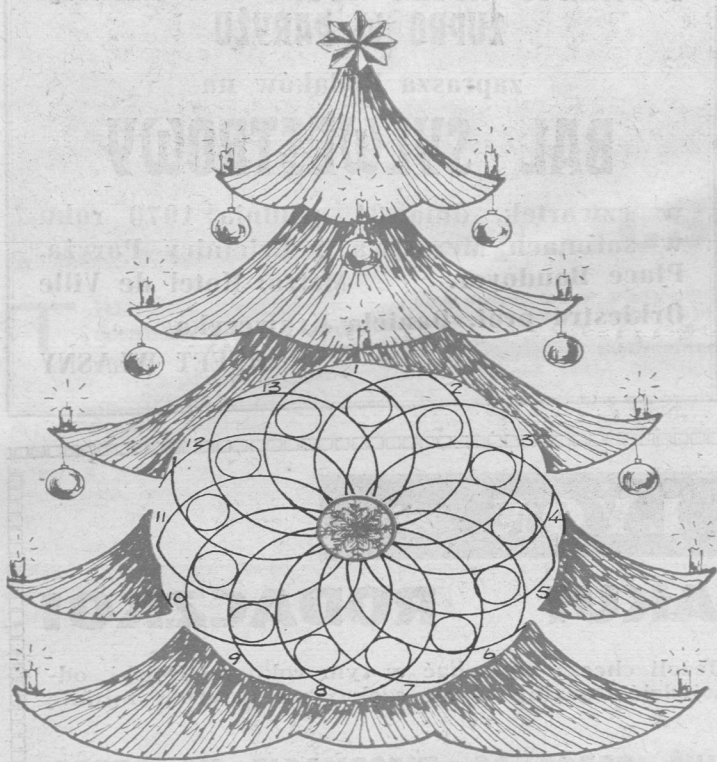
Oby tak było. Saga rodu Skorupków będzie wtedy miała swój dalszy ciąg, tym cenniejszy, że przedstawiający autentyczny obraz wsi wielkopolskiej z pierwszego ręki, ze wszystkimi jej sprawami, radościami i smutkami, zwyczajami, trudami i kłopotami.

ZET

Fragmenty wspomnień W. Skorupki „Moje morgi i katorgi” wydrukujemy w drugiej połowie przyszłego miesiąca.

(Red.)

Rozrywki umysłowe



Rozetka z choinką

Do podanej figury prosimy wpisać prawokrotnie dośrodkowo 13 wyrazów 5-literowych, których znaczenia zamieszczamy poniżej. Litery środkowe tych wyrazów, które się znajdują w polach z kółkami, czytane kolejno w kierunku ruchu wskazówek zegara dadzą hasło zadania.

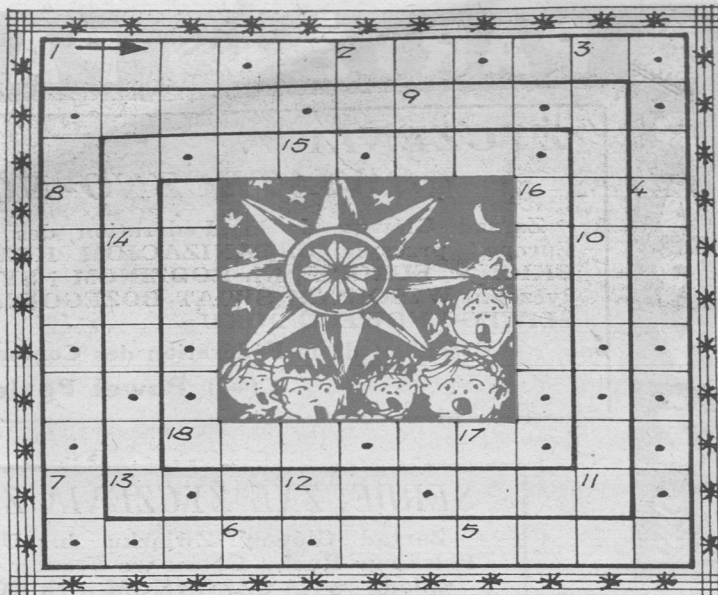
ZNACZENIE WYRAZÓW:
 1) konkurent, 2) dzieci korzystają z nich do jazdy „na barana”, 3) wkładają na twarz przebierańcy,

4) ustne przyrzeczenie, zobowiązanie, 5) płat słoniny, 6) wirująca zabawka dziecienna, bąk, cyga, 7) buta, zarozumiałość, wygórowane pojęcie o sobie, 8) lekka tkanina włochata, 9) skrzypce góralskie z drewna jaworowego, 10) urok, czar, wdzięk wywołujący miłe wrażenie, 11) hok, ciżba, ciasnota, 12) instrument muzyczny dęty z metalu albo gwałtowna burza wirowa, 13) tradycyjna potrawa wigilijna z gotowanej pszenicy.

Spirala

Rozpoczynając od lewego rogu rysunku i posuwając się w kierunku strzałki dośrodkowo, prosimy wpisać jednym ciągiem 18 wyrazów o podanych niżej znaczeniach, mając na uwadze, aby ostatnia litera jednego wyrazu była jednocześnie pierwszą literą następnego wyrazu. Litery, które się znajdują w kwadratach z kropkami, czytane w kierunku wpisywania dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW:
 1) przedstawienie odtwarzające Narodzenie Pańskie, jaśseika, 2) drogowskaz na kopercie dla listonosza, 3) tajny alfabet, umówione znaki, 4) krańcowo różne sprzeczności, przeciwstawny pogląd, 5) drewniana szpilka szewska, 6) kosztowny naszyjnik, 7) obrońca sądowy, mecenas, 8) jest dla nosa, a nie nos dla niej, 9) robot lub pistolet maszynowy, 10) niezwykłe, wybitne uzdolnienie, 11) dostateczna ocena szkolna, 12)



wzywaniu, odezwa, 13) płaczące narzekanie, 14) amerykański myśliwy uprawiający bezkrawowe łowy, 15) gmach magistratu, 16) historyczna budowla pamiętkowa, 17) pościąg pośpieszny, 18) każdy sobie skrobie.

KONIKÓWKA

Rozpoczynając od litery „B” w lewym górnym rogu rysunku, prosimy ruchem konia szachowego objechać wszystkie pola szachownicy i z napotykanymi po drodze literami odczytać tekst rozwiązania. Na wszelki wypadek przypominamy, że na jedno-

razowy ruch konia szachowego składa się posunięcie o jedno pole na wprost we wszystkich kierunkach i o jedno pole na ukos albo najpierw o jedno pole na ukos a później o jedno pole na wprost.

Rozwiązanie krzyżówki z przysłowiem z nr 47

DLA BLIŻSZEJ DROGI NIE SCHODŹ Z GOŚCINCA.

POZIOMO: 1) przeżytek, 4) strop, 7) tabor, 9) pądalec, 10) karnisze, 11) sciana, 13) wiek, 14) ostry, 15) targ, 18) zwada, 19) darń, 20) płac, 22) regaty, 24) ewolucja, 27) zelówka, 28) amant, 29) kukła, 30) licytacja.

PIONOWO: 1) potok, 2) żarcie, 3) kadź, 4) szlachta, 5) racja, 6) posłaniec, 8) bariera, 9) przesady, 12) wyprawka, 13) wizerunek, 16) relacja, 17) pastylka, 21) aliant, 23) guzik, 25) astma, 26) owal.

Rozwiązanie zadań z nr 48

POLSKIE MIASTA

POZIOMO: 1) zuch, 3) brąz, 7) sadza, 8) cug, 9) pąk, 10) widmo, 11) akcesoria, 14) parodia, 17) kefir, 19) welon, 20) koncept, 21) diabeł, 22) kryska.

PIONOWO: 1) zasypka, 2) cudak, 4) racja, 5) Zagłoba, 6) zakwas, 12) czajka, 13) refleks, 14) powód, 15) rolka, 16) danie, 17) konar, 18) rutka.

LOGOGRYF Z PRZYSŁOWIEM

PSIE GŁOSY NIE IDĄ W NIEBIOŚY.

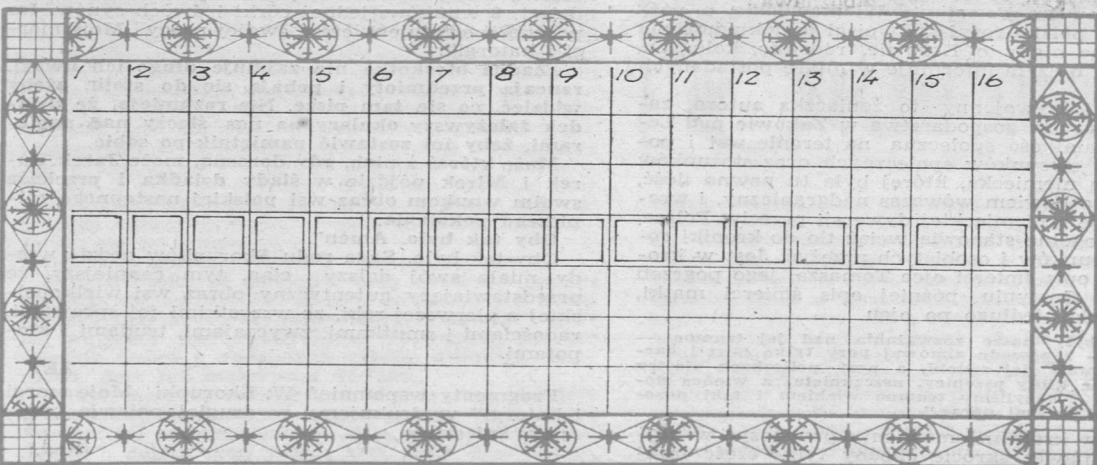
ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) podpora, 2) podstęp, 3) powidła, 4) przekas, 5) program, 6) popioch, 7) pasożyt, 8) płaszcz, 9) pozycja, 10) pewniak, 11) paciierz, 12) przemyt, 13) pupilek, 14) produkt, 15) prządka, 16) prawica, 17) podnóże, 18) pepitka, 19) петельka, 20) pójbuty, 21) „Popioły”, 22) poborca, 23) proszek, 24) przymus.

LOGOGRYF

Prosimy odgadnąć 16 wyrazów 7-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je pionowo do odpowiednich krutek rysunku, mając na uwadze, że wszystkie początko-

we litery są jednakowe. Litery, które się znajdują w kratkach o podwójnej ramce, czytane poziomo dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:



1) szczyt tatrzański dominujący nad Zakopanem, 2) wzmacniacz głosu w radioodbiorniku lub telewizorze, 3) wesoły, dowcipny ulicznik paryski, 4) urzędowa uroczystość, 5) wodna dorożka wenecka, 6) linia oddzielająca dwa państwa, 7) część szynki z kością goleniową, 8) stary grat, 9) cztery kwarty, 10) rada by dusza do raju ale właśnie one nie puszczają, 11) korkociąg, trybuszon, 12) reumatyzm, zapalenie stawów, 13) najwyższy stopień zdolności, wielki talent, 14) obietniki na wierzbie, 15) dwudziesta czwarta część doby, 16) sądowa kara pieniężna.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX. Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51 C.C.P. 92.20-76 Paris

34/7 rue Chauteur, Lodelinsart Mme Ol. Kuc C.C.P. 66.69.45 Belgique

Cena prenumeraty:

kwart.: 9 F. — 90 Fr. B
 półr.: 15 F. — 150 Fr. B
 rocznie: 25 F. — 250 Fr. B

Président Directeur Général: Danuta JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE

Zakłady Graficzne „Tamka”, Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 3.

• LOT •

POLSKIE LINIE LOTNICZE LIGNES AERIENNES POLONAISES

życzy Czytelnikom „Tygodnika Polskiego”
i wszystkim sympatykom
wielu miłych podróży do Polski
nowymi, odrzutowymi samolotami TU-134



WESOŁYCH ŚWIĄT

oraz

wszelkiej pomyślności

W NOWYM 1971 ROKU

PARYŻ

(COMMUNIQUÉ)

Le vif succès remporté par notre voyage du 23.12. au 03.01.71 n'a pu satisfaire toutes vos demandes et nous vous prions de bien vouloir nous en excuser. Pour se faire pardonner NO TO CO a décidé de vous offrir 2 autres séjours dans la capitale polonaise des sports d'hiver.

(C'était un communiqué de NO TO CO)



NO TO CO

81, rue Raspail - 91 - SAVIGNY S/ORGE
Tel: 805-65-28

...CET HIVER VENEZ SKIER A ZAKOPANE

- Aller en avion
- Retour en train — couchettes
- Pension complète dans de grands restaurants

...DEMANDEZ NOTRE BROCHURE, Renseignez-vous.

| Prix par personne | RESIDENCE NO TO CO | | | Visa + Europe Assistance 80 f. |
|------------------------------------|--------------------|---------|---------|---|
| Studio occupé par | 1 pers. | 2 pers. | 3 pers. | |
| Départ: 6/2/71 Retour: 14/2/71 | 874 f. | 798 f. | 776 f. | |
| Départ: 14/2/71 Retour: 28/2/71 | 899 f. | 843 f. | 815 f. | |

DELEGACJA RYBNIKA Z WIZYTĄ W BRATNIM St.-VALLIER

MIASTECZKO Saint-Vallier w departamencie Saône-et-Loire należy do tych nielicznych miast Francji, które zawarły akt bliźniactwa z miastami polskimi. Przed dziesięciu laty Saint-Vallier zawarło jumelage ze śląskim Rybnikiem. W ramach tego bliźniactwa odbywają się spotkania delegacji obu miast i wzajemne wizyty.

Ostatnio przybyła do Francji delegacja Miejskiej Rady Narodowej Rybnika z przewodniczącym Rady p. Zientkiem oraz radnym miejskim i dyrektorem liceum p. Jarozem na czele. Na lotnisku Le Bourget w Paryżu powitał delegację mer Saint-Vallier p. Chalot.

W czasie swego pobytu na terenie zaprzyjaźnionej gminy delegacja polska zapoznawała się z osiągnięciami Saint-Vallier w okresie ostatnich lat. W czasie trwania wizyty podpisano dodatkowy protokół o wymianie doświadczeń obu zarządów miejskich oraz protokół o współpracy kulturalnej.

Postanowiono m.in., że w roku 1971 nastąpi wymiana 40-osobowych grup dzieci i zorganizowanie im kolonii letnich. Rybnik przygotowuje również na rok 1971 dla Saint-Vallier wystawę, obrazującą osiągnięcia gospodarcze, socjalne i kulturalne Rybnickiego Okręgu Węglowego.

Rada Miejska Saint-Vallier zorganizowała uroczyste posiedzenie, w którym udział wzięła polska delegacja oraz konsul generalny w Lyonie p. Szott wraz z p. konsulem Seilerem. Tematem obrad była sprawa zacieśnienia przyjaźni i współpracy między obu

bratnimi miastami. Posiedzenie odbyło się w bardzo serdecznej atmosferze. Po zakończeniu obrad nastąpiła wymiana tradycyjnych upominków delegacji polskiej i rady miejskiej Saint-Vallier.

Przed wyjazdem z Francji delegacja Rybnika złożyła wizytę, wraz z merem Saint-Vallier p. Chalot, konsulowi generalnemu PRL w Lyonie p. Szottowi.

Wystawa w Montigny-en-Gohelle

„POLSKIE ZIEMIE ZACHODNIE”

Z inicjatywy Stowarzyszenia „Odra-Nysa” zorganizowana została w Montigny-en-Gohelle (P.-de-C.) wystawa pod nazwą „Polskie Ziemie Zachodnie”. Otwarcie jej nastąpiło w tym samym dniu, co ogłoszenie tekstu porozumienia polsko-zachodniemieckiego. Podczas trwania wystawy wyświetlane były filmy dokumentalne o Polsce.

Na vernissage wystawy przybył mer Montigny p. Paul DOUTREAUX, wicekonsul PRL w Lille p. Czesław TURZANSKI, sekretarz komitetu departamentalnego „Odry-Nysy” w Pas-de-Calais p. Stanisław KUBIAK i wiele innych osobistości. W przemówieniach, które zostały przy tej okazji wygłoszone, przypomniano o związkach przyjaźni łączącej Polskę z Francją i o roli, jaką odegrała przy zacieśnianiu tej przyjaźni Polonia francuska oraz Stowarzyszenie „Odra-Nysa”. Polacy zawsze z wdzięcznością będą pamiętali, że zachodnią granicę Polski, którą uznaje już obecnie rząd zachodniemiecki, pierwsza ze wszystkich krajów Zachodu uznała Francja.

Na otwarciu wystawy było obecnych wielu przedstawicieli miejscowej Polonii, która swą rzetelną pracą przez wiele lat oddawała wielkie usługi Polsce, Francji i przyjaźni obu krajów.

Gwidon MIKLASZEWSKI

HUMOR SPOD CHOINKI!



-MOŻE TO NIE JEST
AKURAT TAKA PRALKA,
O JAKIEJ
MARZYŚZ...



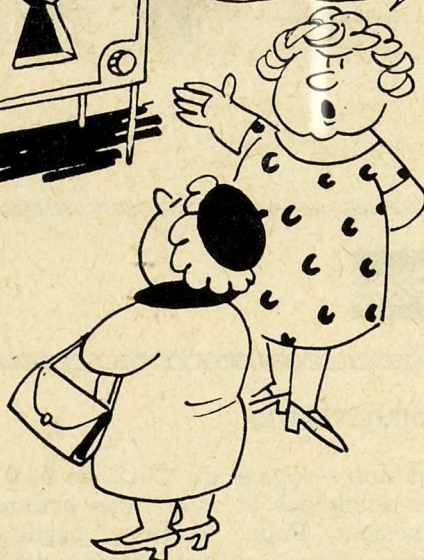
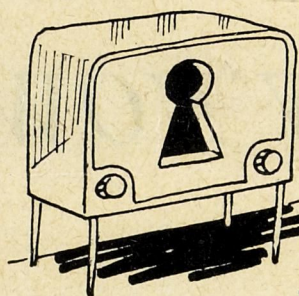
-PRZECIEŻ SAM
POWIEDZIAŁEŚ,
ŻE CHOINKI
SĄ, ZBYT
DROGIE!



-O, KOCHANIE, WIDZĘ
ŻE CHOWASZ JAKIŚ
PREZENT
DLA MNIE!..



-TEN TELEWIZOR
DOSTAŁAM OD MOJEGO
SUBLOKATORA!..



-POPATRZ, JAKIE FUTERKO
DOSTAŁAM OD ŚWIĘTEGO
MIKOŁAJA!



-MAMO! TATA
JEŹDZI NA MOIM
PODARKU!!

